

Beata Konopka

Błękit paryski

Rozdział 1

Nie cierpię gotować. Bo, bądźmy szczerzy, nie potrafię. Należę do mniejszości, do jakiegoś dziwnego podgatunku kobiet antykulinarnych. W kuchni jestem ostatnią łamagą. Zawsze coś przypalę i przesolę. I tak jak nie ma dymu bez ognia, to u mnie nie ma sosu bez jakichś dziwnych, podejrzanych grudek. Taka karma.

Tego dnia musiałam się jednak postarać. Mogłam, co prawda, kupić coś gotowego i smacznego. Ale niestety umowa z przyjaciółmi była taka, że na nasze comiesięczne kolacyjki gotujemy sami, a ambicja nie pozwalała mi oszukiwać. No dobra, może i nie ambicja. W tym zakresie jestem kobietą bez ambicji. Ale po co uciekać się do oszustwa, skoro i tak dopadnie cię smutna prawda? Przecież wszyscy moi znajomi doskonale wiedzą, na co mnie stać. Znalazłam więc jakiś przepis w necie i zabrałam się za kucharzenie. Czasu było niewiele, bo za dwie godzinki miały zlecieć się kochane głodomory. Praca tego dnia trochę mi się przeciągnęła, bo klient ciągle zmieniał zdanie i teraz musiałam galopować w kuchni. Może raczej kuśtykać, biorąc pod uwagę moje talenty kulinarne.

„No nic, nie łam się, Lena - myślałam - coś ci chyba tym razem wyjdzie”. Co prawda, główne danie na mojej poprzedniej kolacji przypominało rozpaćkaną breję w kolorze zgniłozielonym i raczej nie zachęcało do jedzenia. I gdyby nie sztuczki Julki, która potrafi zamienić niejadalne w jadalne, to pewnie nikt by tego nie tknął. - Tym razem chociaż kolor podrasuję - mruczałam do siebie, zawzięcie miksując mrożone jagody. - Może coś w fiolecie? Albo błękicie paryskim? Błękit paryski. „O tak, kolacja pod paryskim niebem na pewno byłaby rewelacyjna” - rozmarzyłam się nad parującym garnkiem z makaronem.

„Taki wypad do Paryża dobrze by mi zrobił. Chociaż na kilka dni. Muszę dziś poruszyć ten wątek - rozmyślałam. Może namówię którąś z dziewczyn. Może zlitują się nad zdruzgotaną przyjaciółką". Jeszcze nie tak dawno nie wyobrażałam sobie wyjazdu bez niego. Łzy napłynęły mi do oczu, a w sercu poczułam szpilę. „Lena, opanuj się - strofowałam sama siebie. Dla ciebie on już nie istnieje. Nie ma go w twoim wymiarze. Może Julka albo Marta wyrwałyby się z domowych pieleszy i pojechały ze mną? Pogadamy dziś przy kolacji. Na Weronikę nie mam co liczyć. Superzazdrosny mąż jej raczej nie puści. On też był superzazdrosny i co z tego wyszło? Po dziesięciu latach spędzonych razem rzucił mnie jak w jakiejś kiepskiej telenoweli, dla... asystentki. Jakie to kiczowate i banalne". Stałam przy kuchence z gigantyczną kopyścią w ręce, myślami szybując zupełnie gdzie indziej. Nagle jakiś podejrzany syk ściągnął mnie jednak z powrotem na ziemię.

- O matko, garnki mi kipią! - wykrzyknęłam sama do siebie. Ale czy ja miałam teraz głowę do pichcenia? Poszłam jednak za radą Julki („Żeby szybko dojść do siebie, musisz się stale czymś zajmować, żeby nie było czasu na rozdrapywanie ran, które się wtedy szybko zabliznią") i gotowałam, co zupełnie nie uchroniło mnie przed gorzkim rozpamiętywaniem. „Przecież to nie ja od siebie odeszłam. To on odszedł". I jak zwykle, wszystkie myśli, jak nitki do kłębka, prowadziły do niego. „Dosyć, dzisiaj zamierzam się dobrze bawić z przyjaciółmi przy winku i dobrym jedzonku" - próbowałam wprawić się w lepszy nastrój, chociaż jedzonko właśnie usiłowało wymknąć się spod pokrywki.

- Co te pokrywki tak dzwonią? Zupełnie na melodię mojego dzwonka u drzwi.

No tak, bo faktycznie ktoś dobijał się do mnie. „Zapewne Julka - pomyślałam. Ona jest zawsze przed czasem".

- Witaj, dobrze, że już jesteś, będziesz moim królikiem doświadczalnym i spróbujesz, co mi dziś wyszło. Może coś doprawisz - zagadałam od niechcienia. Chociaż jak zawsze mocno liczyłam na pomoc Julki, która swoimi potrawami naprawdę dobrze trafia w kubki smakowe.

- Cześć, cześć! Zostaw to gotowanie, dzisiaj lecimy na miasto, trzeba się rozerwać, zmiana planów, kochanie - Julka obezwładniła mnie swoim nonszalanckim podejściem do ciężkiej pracy, jaką wykonałam, starając się sklecić coś jadalnego i oryginalnego zarazem.

- Ubieraj się, reszta ekipy czeka już w knajpie - popędzała Julka, patrząc z politowaniem na moją kuchnię, którą wyglądała jak po przejściu małego tornada.

Posłusznie wykonałam polecenie, kierując się w stronę garderoby. Kątem oka dostrzegłam jednak, jak Julka oniemiała, spoglądając na jedną z moich potraw - w cudownym niebieskim kolorze.

- O matko - jęknęła - kolejna Bridget Jones.

- Słuchajcie, kochani... Kochane - poprawiłam się.

Tym razem dziewczyny przyszły bez swoich drugich połówek. Stwierdziły, że musimy pogadać tak od serca, a z facetami wiadomo, nie byłoby tak luźnej atmosfery. Poza tym nie chciały chyba mi robić przykrości obecnością osobników płci męskiej, których od jakiegoś czasu szczerze nie znosiłam. Wiem, niesprawiedliwie, ale czy życie jest sprawiedliwe?

Byłyśmy już po smacznej kolacji, słodkim deserze i kilku lampkach wina. Przyćmione światło, blask świec, ciepłe kolory wnętrza, stylowe meble - wszystko składało się na romantyczny nastrój tej knajpki, który tym razem nie pomagał. Popatrzyłam na nie. Na przyjazne, uśmiechnięte buzie moich przyjaciółek od serca. Blond piękność Weronika, czasami rozkapryszona i zwariowana, ale zawsze mogę na nią

liczyć. Marta z burzą rudych kręconych włosów, dowcipna i zawsze skora do pomocy. Julka niezwykle wrażliwa i ciepła, przyciągająca wzrok twarzą anioła i długimi ciemnymi włosami.

- Wiecie - ciągnęłam dalej - że ostatnio miałam dość ciężki okres. Więc przyszedł mi do głowy pewien pomysł, który być może, może, eee... - zaczęłam się zacinać.

- Wal śmiało, kochanie - rzuciła wesoło Weronika. - Dla ciebie wszystko.

„No zobaczymy” - westchnęłam w duchu. - No więc myślę, że mój nastrój poprawiłby znacznie wyjazd do Paryża. Nigdy tam nie byłam. To, co prawda, miasto zakochanych. Więc może to wydać się wam dziwne, ale, ale... - znowu się zacięłam - czuję po prostu, że muszę tam pojechać - wyrzuciłam w końcu z siebie na jednym oddechu. - Ale chciałabym was prosić, żebyście pojechały za mną - na taki kilkudniowy babski wypad - skończyłam z czarującym uśmiechem.

- Superpomysł - rzuciła zachwycona Julka.

- To kiedy jedziemy? - wołała Marta.

- Ja już zaczynam się pakować - przekrzykiwała Weronika.

- Cieszę się, że chcecie mi towarzyszyć. Ja wszystko zorganizuję, sprawdzę loty, wyszukam jakiś hotelik i dam wam znać - starałam się przekrzyczeć ten radosny harmider, jaki zrobiły dziewczyny, ściągając na siebie karcące spojrzenie wyfiokowanej starszej pani siedzącej przy sąsiednim stoliku.

„Może już nie takie dziewczyny - myślałam. W końcu jak ma się pod czterdziestkę, to chyba raczej kobiety, powiedzmy sobie szczerze - stare baby. No, może ciut przesadzam, ale ja w tej chwili czuję się jak stary kapeć, w dodatku wyrzucony na śmietnik. Może w lustrze nie wyglądam tak źle, mały lekko

zadarty nos, duże brązowe oczy, długie lekko falowane kasztanowe włosy. No, trochę podfarbowane, wiadomo. Figura też ujdzie. Chociaż pewne niedoskonałości są. Mogłabym być szczuplejsza i wyższa. No i trochę zmarszczek tu i ówdzie się pojawiło". Zaczęłam obsesyjnie badać palcami twarz.

- Hej, a ty co się tak zamyśliłaś? - z odretwienia wyrwała mnie Julka. - Co się tak obmacujesz? Wszystko jest na swoim miejscu. Znowu naszły cię czarne myśli? Dziewczyno, nie pozwolę ci zwątpić w siebie. Jesteś mądra, urocza, zabawna.

- A wyglądasz... jak milion dolarów - wypaliła rozweselona Marta.

- To opinia kobiety, w dodatku przyjaciółki. Nie liczy się - pokręciłam głową.

- Uwierz mi, moja droga, że baby są dużo bardziej krytyczne od facetów - dodała Weronika. - Na przykład taki cellulit to potrafią wypatrzeć z odległości kilkuset metrów.

- Nie chcemy cię pocieszać, to znaczy chcemy - znowu zaczęła Julka. - Ale nie przez kadzenie ci. Co to, to nie. Jesteś superatrakcyjną babką i masz mnóstwo zalet. No może z gotowaniem trochę u ciebie krucho. Ale wiesz co, muszę ci to powiedzieć... Ten twój były to ostatni frajer. Nie mówiąc o tym, że bydlak. Nie wie, co stracił. Ale się dowie i gorzko pożałuje, że zamienił cię na jakąś infantylną, chudą blond tykę. To kobieta - bluszcz owinie go tak, że się udusi. I dobrze mu tak. Dziewczyno, wypijmy lepiej za Paryż i nowe życie naszej cudownej Lenki - skończyła przemowę i uniosła w górę swoją lampkę czerwonego wina.

Z entuzjazmem wypiliśmy po kolejnym sporym łyku.

- Wiecie co, babki, chodźmy do mnie - zaproponowałam. - Jeść tego, co ugotowałam, już nie musicie. A wino czerwone dobrego gatunku posiadam w dostatecznej ilości. Wygodnie

się rozłożymy na sofie, włączymy jakiś filmik - roztoczyłam przed nimi kuszącą wizję spędzenia reszty wieczoru.

Wszystkie ochoczo przystały na moją propozycję i szeroką nawą ruszyłyśmy na piechotę do mojego mieszkania. Normalnie droga pomiędzy tą uroczą restauracyjką a moim mieszkaniem była krótka i prosta, ale tego wieczoru dziwnie kręta i wyboista. Staraliśmy się za wszelką cenę trzymać pion, ale wino zamiast do głowy poszło nam jakoś w nogi, które trochę się pod nami uginały. Dotarliśmy jednak całe i w komplecie. I desperacko rzuciłyśmy się na sofę.

- Wiecie co? - zaczęła Weronika. Spojrzałyśmy na nią z zainteresowaniem. - Pasek od spódnicy wpija mi się w skórę. Chyba przeholowałam z tym jedzeniem.

- Nie z jedzeniem, tylko z rozmiarem spódnicy - zachichotała Marta. - Ty to musisz się opiąć tymi ciuchami. Wpędzasz nas tylko w kompleksy - dodała z wyrzutem, lustrując własne, już nie tak szczupłe ciało.

- Gadajcie, co chcecie, ja ściagam tę ciasną kieckę. W końcu sami swoi - stwierdziła Weronika i zamaszystym ruchem rzuciła dolną część garderoby, która poszybowała przez cały pokój, aż w końcu zawisła na abażurze lampy stojącej w najdalszym rogu salonu. Zadowolona, w samej bluzce i czarnych rajstopach, z powrotem usiadła na sofie. I zaraz zapytała: - Ale, ale, Lenka, gdzie to winko? Teraz mogę się jeszcze napić.

- Już napełniam kieliszki - odpowiedziałam wesoło. - Dziewczyny, pijemy za Paryż.

- Tak, Paryż to wyjątkowe miejsce, miasto zakochanych, stolica mody - powiedziała Marta z rozmarzonymi, nieobecnyimi oczami, jakby już tam była.

- Trzeba będzie zabrać jakieś kreacje. Żebyśmy nie wyglądały jak jakieś oskubane gęsi - dodała Weronika.

- Raczej kwoki, w naszym wieku - parsknęła Julka. -
Chociaż nie wiem jak wy, ale ja cały czas czuję się młodo.
Lata lecą, za chwilę czterdziestka na karku, a mi wydaje się,
że mam wciąż dwadzieścia pięć lat.

- Ten świat jest jednak źle urządzone - zaczęła lekko już
wstawiona Marta. - Spójrzcie, mamy już swoje lata i
wiadomo, że nasze figury i twarze lekko nadgryzł już czas.
No, może poza Weroniką. Ona chyba jest w posiadaniu
eliksiru młodości.

- Ale jak patrzę na siebie - mówiła dalej Marta - to widzę,
że tu i ówdzie przydałoby się coś poprawić. Oo, spójrzcie -
przyłożyła dłonie do policzków i naciągnęła na boki skórę, aż
jej oczy zrobiły się skośne. - To przecież trzeba wszystko
naciągnąć.

- A co, zamierzasz zostać Chinką? - parsknęła Weronika.

- To wszystko przez tę grawitację - ciągnęła niezrażona
Marta. - Kto ją wymyślił? - tu z wyrzutem omiotła
spojrzeniem nasze twarze.

- Co tak na nas złowrogo patrzysz? To nie my -
odpowiedziała niepewnie Weronika.

- To Newton. Wróg kobiet numer jeden - zachichotała
Julia.

- Ale przecież jak nasze ciała były jędrne i gładziutkie -
kontynuowała Marta - co trwa niestety tyle, co kot napłakał, to
czy my to doceniałyśmy? - zapytała retorycznie. - No nie
wiem jak wy, ale ja na pewno nie. Jako młoda dziewczyna
wiecznie przejmowałam się, a to pryszczem na nosie, a to za
małym wcięciem w talii, a to za dużymi stopami. A wiecie co?
Jak patrzę na swoje zdjęcia z młodości, to wyglądałam
naprawdę nieźle.

- Nadal wyglądasz super - stwierdziła Julka, mierząc
wzrokiem Martę. - Nie masz co narzekać.

- Pewnie jak będę miała sześćdziesiątkę na karku, to przyznam ci rację. Ale znowu będzie za późno. Widzisz? Świat jest źle urządzony - skończyła chwiejnym głosem.

- Masz zupełną rację, kochana - przytaknęła Weronika. - Człowiek za młodu zupełnie nie doceniał tego, co mu los podsuwa - zaczęła z innej beczki, ale tym samym rozżalonym tonem. - Mogłam być aktorką przez duże A. Wszyscy zachwycali się moimi zdolnościami, no i, nie będę skromna w tym momencie, tak zwanymi warunkami. Ale co ja zrobiłam? Dałam się uwieść facetowi, który nie życzył sobie, żebym grała. Zaraz potem na świecie pojawiło się dziecko i zupełnie wypadłam z obiegu. Próbowałam potem tego i owego. Ale nie odnalazłam się z żadnym innym zawodzie. Teraz siedzę sama w wielkiej chacie, córka, znacie przecież Ewkę, już nastolatka, ma swoje życie, mąż ciągle zabiegany, też nie ma dla mnie czasu. Ale kto mnie dziś obsadzi w jakiejś roli? Chyba gosposi.

Wszystkie ze współczuciem pokiwałyśmy głowami, słysząc ten tekst już chyba po raz setny.

- No, warunków to ci raczej nie ubyło - zauważyła Julka. - A ile masz czasu dla siebie! Ja mam taki młyn, że czasami nie wiem, jaki jest dzień tygodnia. Dzieciaki wymagają jeszcze ciągłej opieki. A wzięłam sobie jeszcze na barki prowadzenie księgarni, no i pokaźny kredyt - żaliła się.

Tak, humor przygasł, a jego miejsce zajęła często goszcząca u mnie melancholia.

- Wy zupełnie nie macie na co narzekać - w końcu nie wytrzymałam. - Weronika - superbabka, na koncie - córka, mąż i wszelkie luksusy. Marta - wiem, nie masz dzieci, nie udało się, ale tak kochającego i oddanego męża mogłaby ci niejedna pozazdrościć. Nie mówiąc już o pracy weterynarza, którą uwielbiasz, i życiu na sielskiej wsi. Julka - następna szczęściara, na koncie - ciepły dom z dwójką dzieci i facetem,

który cię ubóstwia. A teraz przeanalizujmy moje konto - zaczęłam chwiejnym głosem. - I co na nim widzimy? Gówno. Nie mam nic. Apartament, w którym siedzimy i w którego urządzenie włożyłam całe swoje serce, w końcu to mój zawód - projektantka wnętrz, za chwilę trzeba będzie sprzedać, bo muszę spłacić mojego pieprzonego eks - nie żałowałam sobie. - To nasza wspólna własność, i on żąda teraz swojej połowy w pieniążkach. Ja niestety nie mam takiej kwoty. Gdybyśmy byli mężem i żoną, może mogłabym coś więcej wywalczyć. W końcu to z jego winy rozpada się nasz związek. Ale ślubu nie braliśmy - zamilkłam na moment, żeby uderzyć w płaczliwy ton. - Chociaż ja marzyłam o białej sukni, welonie, różanych płatkach sypanych pod moje stopy przez małe drухenki, wypowiedanym słowie TAK i szczęściu w oczach mojej mamy, kiedy wracamy od ołtarza z obrączkami na palcach, a potem tańcach do białego rana - ciągnęłam, odkrywając w sobie nieznane dotąd pokłady romantyzmu. - Ale niestety on nie chciał. Nie mieściło się to w jego światopoglądzie. Dzieci nie mamy. „Najpierw musimy się dorobić”, przemawiał - tu zmieniłam tembr głosu na dużo niższy. - „Mieszkanie, wygodny rodzinny samochód i stabilna, dobrze płatna praca, żeby na tę rodzinę zarobić” - grzmiałam dalej. - A ja potulnie odkładałam ten moment, kiedy pod moim sercem zabije małe serduszko - chlifałam, sama zdziwiona swoim rozczuleniem. Widocznie za długo to w sobie tłumiałam. - A potem, kiedy byłam już tak zdesperowana, że pragnęłam dziecka jak niczego na świecie, nawet wbrew niemu, okazało się, że jest ździebko za późno. A dzisiaj co? Dowiaduję się, że on bierze ślub z tą, tą... zdziwą asystentką, bo ona jest w ciąży. A najgorsze jest to, że ja go chyba wciąż kooochaaaam - ostatnie słowa były już całkiem rozmyte rześnistymi łzami, które obficie spływały mi po policzkach.

- Lenka, nie rozpaczaj, bo nam się serce kraje - zachlipała Julka. I zaraz dołączył do niej chórek złożony z chlipań Marty i Weroniki. Wszystkie rzuciły się na mnie w geście pocieszenia. Teraz szlochałyśmy we cztery, nabierając rozpędu i przechodząc ze szlochu w płacz, a nawet coś, co przypominało już zbiorową histerię. Z otchłani rozpaczy wyciągnął nas nagle jakiś niski, zachrypnięty głos.

- Przepraszam, drogie panie, ale drzwi były uchylone i musiałem sprawdzić, co tu się dzieje. Bo strasznie zaniepokoiły mnie te dzikie wrzaski, jakie się stąd wydobywają. Czy tu kogoś mordują?

Zamurowało nas. W jednej chwili cały alkohol z nas wyparował, a my zastygłyśmy w dziwnych pozach, z rozmazanym makijażem i rozwichrzonym włosom. Weronika bez spódnicy. Ja z głupim wyrazem twarzy. On też nieco zdębiał na nasz widok.

- Ale skoro widzę, że wszystkie panie mają się dobrze... - wyraźnie widziałam, że z trudem powstrzymywał się od wybuchu śmiechu. - ...to nie będę dłużej zakłócał tej wyśmienitej imprezy i pozwolę sobie zamknąć drzwi, z drugiej strony - odwrócił się i zniknął tak szybko, jak się pojawił. Ale jak tylko wyszedł z mieszkania, usłyszałyśmy przytłumiony, ale jednak słyszalny dziki rechot w jego wydaniu.

- Dziewczyny, uszczypnijcie mnie - zawołałam. - Czy ja już mam omamy? Czy wy też widziałyście tu przed chwilą mojego sąsiada?

- Może mamy zbiorową halucynację - odpowiedziała Julka. - Bo ja też widziałam tu przed chwilą jakiegoś przystojniaczka.

- Fiu, fiu, fajnego masz sąsiada - z uznaniem zagwizdała Weronika. - Może nieco starszy od nas, ale ma w oczach to coś. Ma kogoś? Żonaty?

- No nie, chyba nie zamierzacie mnie swatać? - wkurzyłam się. - Nie wiem, czy ma kogoś czy nie. I w ogóle mnie to nie interesuje. A poza tym nie słyszałyście, jak z się z nas śmiał? Kolejny chwast płci męskiej. Wkracza do prywatnego mieszkania, podgląda nas w intymnej sytuacji, a potem kiedy myśli, że już go nie słyszemy, nabija się z nas. Może nawet nie sam. Może z asystentką - znowu popłynęłam na swój ocean goryczy.

- Lenka, Lenka, przystopuj trochę i spójrz obiektywnie na nas. Przecież wyglądamy komicznie - śmiała się Marta. - Wszedł, bo się zaniepokoił. Drzwi były otwarte. Czujnego masz sąsiada. Jak się nazywa?

- Marek Leszczyński ponoć - odrzekłam z przekąsem. - Kto go tam wie? To facet. Na pewno kłamie. Jestem wykończona, gadam już od rzeczy - przyznałam w końcu.

Dziewczyny zaczęły zbierać się do wyjścia. Zamówiły taksówkę i stanowczo nakazały zamknąć mi drzwi na klucz po ich wyjściu, co posłusznie wykonałam i padłam jak nieżywa na łóżko.

Kolejne dni, w lepszym już humorze, spędziłam głównie na buszowaniu po internecie. Znalazłam mały uroczy hotelik w przyzwoitej cenie niedaleko Pól Elizejskich i niezłe połączenie lotnicze. Już miałam złapać za komórkę i podzielić się tą radosną informacją z moimi towarzyszkami podróży, gdy usłyszałam dzwonek do drzwi. Na progu stała wściekła Weronika.

- Nie uwierzysz... - mówiła wzburzona. - Mój mężulek powiedział stanowcze NIE na informację o moich planach wyjazdu do Paryża z wami. Mówi, że nigdzie bez niego nie pojedę. Ale nie martw się. Pojadę, czy mu się to podoba czy nie.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - zamruczałam pod nosem.

- Już sobie sprawiłam kilka kreacji. Za nic nie odpuszczę
- ciągnęła podekscytowana.

- To super. Bo właśnie namierzyłam fajny hotel. I powoli rysuje się plan naszej wyprawy. Wszystko ci opowiem. Siadaj, zaparzę kawę - zaproponowałam.

- O dzięki, chętnie wypiję - odpowiedziała Weronika i zajęła już strategiczne miejsce przy ławie.

- A wiesz, że wpadł do mnie wczoraj mój słynny, rechoczący na widok zrozpaczonych lasek, sąsiad? Gorąco mnie przeproszał za to najście i ten jego niepohamowany wybuch śmiechu - zagadnęłam z sąsiadującej z pokojem kuchni. - Pogadaliśmy chwilkę. Też wypił kawę.

- Co ty nie powiesz? - Weronika nagle znalazła się tuż obok. - I co, ma kogoś czy nie? - zapytała rozemocjonowana.

- W sumie to nie wiem. Rozmawialiśmy raczej na tematy neutralne. Praca, mieszkanie tutaj. Jest architektem. Przeniósł się tu niedawno, mieszka sam. Bardzo sobie chwali ten apartamentowiec. Spokój, cisza. No, może poza naszym ekscesem - uśmiechnęłam się porozumiewawczo do Weroniki.

- Fajny facet. I jak na ciebie patrzył. Tak się zagapił, że nie zauważył nawet jednej babki bez spódnicy - wybuchnęła śmiechem.

Zawtórowałam jej.

- Więc mówisz, że Adam nie zaakceptował twojego wyjazdu z nami? Wiesz, jeśli nie możesz. Ja nie chcę na was niczego wymuszać i psuć waszych relacji - wróciłam do tematu.

- Nie, nie, kochanie, to zupełnie nie twój problem. Ja mam szaloną ochotę jechać z wami i zrobię to z jego aprobatą lub bez - filuternie mrugnęła okiem.

Pogadałyśmy jeszcze przez chwilę, pokazałam jej hotel w internecie. Pokręciła trochę nosem na małe pokoje, ale podobała jej się lokalizacja, więc zaakceptowała. Znała te

okolice. Była tam, oczywiście ze swoim wszędobylskim mężem. Omówiłyśmy termin wyjazdu. Też klepnęła. Jeszcze trochę ponarzekła i wyszła. Zostałam sama.

Wiedziałam, że Weronika zawsze dopina swego. Ale jej mąż też nie dawał sobie w kaszę dmuchać. „Kiedy te dwa żywioły zmierzą się ze sobą, może być różnie” - pomyślałam. Ale w końcu to ich sprawa, ja mam swoje problemy i muszę się z nimi jakoś uporać. Najpilniejsza kwestia to mieszkanie. Nie, najpilniejsza kwestia to obdzwonić pozostałe dziewczyny i umówić się na wyjazd, który miał nastąpić za dwa tygodnie. Tak też zrobiłam. Klamka zapadła, gdy po akceptacji wszystkich warunków przez przyjaciółki, zabukowałam bilety lotnicze i zarezerwowałam hotel. Teraz mogłam zastanowić się, co z mieszkaniem. „Muszę jednak umówić się z tą kreaturą” - pomyślałam nie o kim innym, ale o moim byłym ukochanym o jakże nieadekwatnym imieniu Piotr. Czyż Piotr to nie skała? Opoka? Mężczyzna dający kobiecie oparcie i bezpieczeństwo? W dzień czułam do niego odrazę, w nocy go opłakiwałam. Jakby umarł. Tak, on dla mnie umarł. Pograżyłam się w myślach. Najgorsze były wieczory. Wtedy tęsknota doskwierała najmocniej. Za spojrzeniem ukochanej pary oczu. Za dotykiem męskiej, ciepłej dłoni. Za seksem. W moim odczuciu całkiem udanym, namiętym. Czy można żywić do jednej osoby dwa zupełnie skrajne uczucia? Kochałam Piotrka z przeszłości. Nienawidziłam tego, jakim się stał.

Dlaczego nam się nie udało? Nie wiem. Nie powinnam była tak mu ulegać. Może to nas zgubiło. A może się mną po prostu znudził. Pojawił się lepszy towar na horyzoncie, młody i chętny, żeby go brać. To wziął.

Jak zwykle i ten wieczór musiał się kończyć roztrząsaniem przyczyn. Po karczemnej awanturze, jaką urządziłam mu, gdy

odchodził, mieliśmy jeszcze kilka w miarę spokojnych rozmów. Ale niczego mi one nie wyjaśniły.

„Tak, musi mi pomóc ze sprzedażą apartamentu - pomyślałam. Skoro chce swoich pieniędzy, niech też się zaangażuje. Będę jednak musiała wykonać ten telefon do niego. To jakby wykonać ostatni krok dzielący od przepaści. Brrr”.

Telefon odebrała ona. Jedyne, co zdołałam wykrztusić, to:

- Proszę Piotrka.

Przekazała mu komórkę i usłyszałam jego głos. Dobrze znany, a jednak obcy. Rozmowa była krótka. Umówiliśmy się w kawiarni, na neutralnym gruncie. Tam jedynie mogłam powstrzymać się od awantur. „Muszę przez to przebrnąć. Zakończyć ten rozdział. Potem będzie już tylko lepiej” - pocieszałam się.

Przyszedł elegancko ubrany, wypachniony, wyluzowany. Ale ja też się postarałam: mini, szpilki, makijaż, włosy świeżo od fryzjera i... lekkie środki uspokajające.

- Witaj, Lena! - zaczął. - Miło cię widzieć. Pięknie wyglądasz.

- Daruj sobie te komplementy. Sama wiem, że super wyglądam. Przejdźmy od razu do rzeczy - zripostowałam.

Zajęliśmy miejsce przy stoliku i zamówiliśmy kawę. Zapadło lodowate milczenie. „Pamiętaj, Lena, to ma być rozmowa o interesach, nie uczuciach. Mów bez emocji, kalkuluj na chłodno i nie daj się tym razem wykiwać” - zagrzewałam w myślach samą siebie.

- Musimy sprzedać nasze mieszkanie - zaczęłam w końcu.
- Spodziewam się, że pomożesz w poszukiwaniu kupca i weźmiesz udział w negocjacjach ceny. Dopóki nie sfinalizujemy sprzedaży, będę tam mieszkać.

- Wiesz, Lena... - zaczął, cedząc słowa, jakby go zęby bolały - ...sytuacja trochę uległa zmianie. Po twoim telefonie rozmawiałem z Anetką i okazuje się, że jej bardzo podoba się nasze mieszkanie. Zwłaszcza sypialnia. Jest pięknie urządzona. Wiesz, bardzo chwaliła twój gust. No i duża. Będzie można swobodnie wstawić łóżeczko dla dziecka. I dlatego chcielibyśmy tam zamieszkać i spłacić twoją część.

Bezwiednie zamrugałam oczami. Chyba cała krew napłynęła mi do twarzy, a ciśnienie wzrosło jak u sprintera na setkę. „Te prochy na wyluzowanie w ogóle nie działają - myślałam gorączkowo. On chyba zapomniał, do kogo mówi” - patrzyłam na niego z niedowierzaniem jak na egzotyczny okaz gada w terrarium.

- Ty cholerny gnojku - zaczęłam cicho, ale czułam już, że nie dam rady opanować własnego głosu. - Czyli oprowadzałeś ją po naszym mieszkaniu?! Pewnie wypróbowaliście też nasze łóżko?! I co, dobrze się w nim rżnęło?! - krzyczałam. Nie było chyba osoby na sali, która nie spojrzałaby w moją stronę. Mężczyzna z sąsiedniego stolika wydobył nawet z siebie współczujące „ajajaj”.

A miało obyć się bez awantur. Czy to jest w ogóle możliwe w takich sytuacjach? Nie zważając na nic, kontynuowałam:

- Chcecie mieszkać w tym mieszkaniu, akurat w tym!! To już forma okrucieństwa z twojej strony. Ale skoro tak, to OK. Może w końcu to pozwoli mi jednoznacznie określić, co do ciebie teraz czuję. Litość, że jesteś takim skończonym dupkiem!! - zakończyłam i zaczęłam zbierać się do wyjścia.

- Ale, Lena... Nie rozumiem twojego wybuchu - mówił przyciszonym głosem, z przerażeniem rozglądając się po twarzach siedzących wkoło ludzi. - Dobrze ci zapłacę. I tak miałaś opuścić to mieszkanie - udawał, że nie słyszał dużej części mojego wybuchowego monologu.

- O tak, licz się z tym, że cena nie będzie rynkowa. Jak tylko przelejesz mi tę kwotę na konto, wyprowadzę się - szybko nagryzmoliłam mu na kawałku serwetki okrągłą sumkę.

Spojrzał na kwotę. Skrzywił się, jakby go szerszeń ukąsił w zadek. Ale mając chyba jednak resztki honoru, pokiwał głową:

- OK, zgadzam się. Zaczynam organizować kasę. Myślę, że w ciągu miesiąca otrzymasz przelew.

- A więc czekam teraz na informację od ciebie - odpowiedziałam chłodno i wyszłam, nie oglądając się za siebie. Chociaż kątem oka zdążyłam jeszcze dostrzec znajomą postać siedzącą w rogu kawiarni. To był Marek Leszczyński. A obok niego siedziała jakaś urocza blondynka w czerwonej, wydekoltowanej bluzeczce. „Czy on jest na etacie obserwatora moich upadków? Niedługo otworzę puderniczkę i kto tam będzie zamiast pudru? Marek Leszczyński. Co za wstyd! Znowu będzie mógł się ze mnie ponabijać” - pomyślałam zła na siebie samą.

Rzuciłam się w wir pracy, żeby zatrzeć niesmak po spotkaniu z Piotrem. Co dziwne, bardziej go czułam ze swojego powodu. Znowu nie pokazałam klasy.

Musiałam przed wyjazdem do Paryża dokończyć projekt wnętrza pięknego, dość dużego domu. Praca nad nim była już zaawansowana, ale klient ciągle domagał się poprawek, i nie mogłam sfinalizować całości. Kolejne spotkanie znowu przyniosło zmiany, więc usiadłam przy komputerze i zaczęłam działać. Klient nazywał się Stanisław Chojnicki. Ale na swój użytek nazywałam go Grubciem. Był takim sympatycznym (tak mi się wówczas wydawało), niewysokim, korpulentnym panem po sześćdziesiątce. Co mnie dziwiło, to to, że był wdowcem, mieszkał sam, a budował dla siebie sporą willę z

ośmioma pokojami. Ale w końcu jak ma się tyle kasy co on... „Może ma dużą rodzinę, która będzie go odwiedzać?” - myślałam. Był wymagający, ale dobrze płacił, więc nie narzekałam na ciągłe zmiany w projektach. Traktował mnie po królewsku i tylko tak jakoś dziwnie patrzył głęboko w oczy. Jakby chciał coś w nich znaleźć. Może to bielmo, przez które tyle czasu straciłam z tym palantem.

Usiadłam przy komputerze. Otworzyłam stronę hotelu w Paryżu, żeby poprawić sobie nastrój, no i żeby wiedzieć, po co tak tyram całymi dniami, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. „Czyżby któraś z dziewczyn wpadła w odwiedziny? No chyba że rodzice z kolejną pocieszającą wizytą”. Te wizyty, prawdę mówiąc, tylko mnie przygnębiały. Słuchanie ciągłych wzdychań mamy typu: „I co ty, dziewczyno, teraz sama zrobisz?” albo „W twoim wieku już nie tak łatwo o przyzwoitego, wolnego mężczyznę”. „Więc wezmę sobie teraz dużo młodszego. Na pewno znajdzie się wielu chętnych na dobrze utrzymaną babkę pod czterdziestkę z dużą kasą ze sprzedaży apartamentu swojemu byłemu facetowi”.

Na progu stał nie kto inny, tylko Adam.

- Witaj, fajnie, że wpadłeś.

Starłam się ukryć zdziwienie. „Ciekawe, czy Weronika zna kręte ścieżki swego męża?” - pomyślałam.

- Wiem, że cię zaskoczyłem, ale muszę z tobą porozmawiać, Lena.

- Jasne, wejdz. Rozgość się. Zrobię kawy. Pogalopowałam do kuchni. Nie żebym tak cieszyła się tą wizytą. Bo Adama średnio lubię. Lekko gburowaty i zadufany w sobie. Chociaż na pewno ma swoje zalety. Ale musiałam pobyć chwilę sama i pozbierać myśli. - Co on kombinuje? Bo skoro przyszedł tu sam, to na pewno coś kombinuje. Pewnie chce, żebym okłamała Weronikę, że nie jadę. Albo może jeszcze lepiej: chce mnie odwieść od tej podróży, żeby

zatrzymać Weronikę w domu - mruczałam do siebie, parząc kawę.

- Co słyhać w wielkim świecie? - zagadnęłam, niosąc filiżanki w stronę ławy, przy której właśnie zasiadł Adam - prezes jednego z największych banków.

- Praca, praca, praca - podsumował ostatnie wydarzenia ze swojego życia i zaraz zadzwoniła jego komórka. Pogрузył się w rozmowie biznesowej, zupełnie nie przejmując się, że jest u mnie w gościach i że niecierpliwie czekam na to, co ma mi do zakomunikowania, zamiast sama zabrać się do swojej projektu. W czasie jego burzliwej konwersacji zdążyłam wypić kawę, przejrzeć gazetę i podrapać się w głowę.

- Wiesz, Lenka - odezwał się w końcu, tym razem do mnie. - To ja już będę lecieć.

Lekko osłupiałam. I nim zdążyłam ochłonać i coś powiedzieć, już go nie było. - I zrozum tych facetów - mruczałam do siebie, człapiąc do pokoju z komputerem, który szumnie nazywałam gabinetem. „Dzwonić do Weroniki czy nie? Aa, po co napędzać aferę - machnęłam ręką. W końcu niczego odkrywczego się od niego nie dowiedziałam. Dziwak jakiś albo tak zapracowany, że zapomniał, po co tu przyszedł - myślałam. Muszę zabrać się do roboty, bo czas goni. A jeszcze wieczorem mam w planach cotygodniową lekcję tańca. Jakaś przyjemność też mi się od życia należy”.

Do wyjazdu zostało kilka dni. Czas dzieliłam między pracę, planowanie pięciodniowego pobytu w Paryżu, robienie zakupów na wyjazd i rozmowy przez telefon na zmianę z Weroniką, Martą, Julką i moją mamą. Projektu dla Grubcia niestety jeszcze nie skończyłam. Ale nie martwiłam się tym, ponieważ to on ciągle generował nowe zmiany i to jemu jakoś nie spieszyło się do finału. „Kiedyś przecież będzie musiał zacząć etap wykańczania wnętrza, a to będzie oznaczało koniec

etapu projektowania - czyli mojej pracy dla niego - i będę mogła w końcu zacząć coś nowego".

Raz próbował nawet zaprosić mnie na kolację. Ale się wymówiłam brakiem czasu. Na razie miałam dość facetów. Nawet tak sympatycznych, jak Grubcio.

Efekt buszowania po sklepach była przepiękna szmaragdowozielona suknia, kolejne szpilki, wiosenny płaszcz i praktyczny neseser. Właśnie przemierzając centra handlowe, uświadomiłam sobie, że nadchodzi wiosna. A skoro nadchodziła do nas, to w Paryżu już na pewno rozgościła się na dobre, w całej swej zielonej pełni. To jeszcze bardziej poprawiło mi humor.

W jednym z centrów handlowych, gdy przymierzałam sukienkę i stałam przed dużym lustrem na zewnątrz przymierzalni, bo wewnątrz było jakieś kiepskie oświetlenie, zauważyłam Marka Leszczyńskiego. Też paradował w jakimś eleganckim ubraniu z metką i oglądał się w lustrze. „Czy to nie dziwne, że ciągle się na niego natykam? - pomyślałam. Czy ten świat jest taki mały?" Też mnie zauważył. Uśmiechnął się. Wystawił kciuk do góry na znak uznania i pomaszerował do męskiej przymierzalni.

Raz wybrałam się na zakupy z Julką. Też musiała uzupełnić garderobę. Pożyczyłam jej nawet trochę pieniędzy, bo właśnie rozkręcała księgarnię, więc dochody były dopiero w planach. A i tak wykosztowała się na hotel i przelot. Wzbraniała się, ale widząc, że tylko psuje mi tym nastrój, uległa. I też wylądowała w domu z identyczną szmaragdowozieloną sukienką. Większość kobiet nie znosi, gdy ktoś w ich otoczeniu ma na sobie ten sam ciuch. Ja uważam to za zabawne, gdy z przyjaciółką jesteśmy tak samo ubrane. Jak bliźniaczki w dzieciństwie. Może to efekt braku rodzeństwa? Tęsknota za siostrzaną unifikacją?

No cóż, rodzice w młodości nie postarali się o towarzystwo dla mnie. I teraz w jesieni życia to ja skupiałam całą ich uwagę. Zwłaszcza że ze swojej strony nie zadbałam o potomka. Więc tym bardziej nie powinnam była mieć im tego za złe. Cierpliwie znosiłam ich telefony, odpowiadając po sto razy na pytania: gdzie dokładnie zatrzymamy się w Paryżu, kiedy wylot, kiedy przylot, co tam planujemy robić, czy mam dość pieniędzy i czy na pewno zadzwonię zaraz po wylądowaniu samolotu?

Dziewczyny dzwoniły z całkiem podobnymi pytaniami. Nie mogły zapamiętać godziny wylotu ani nazwy hotelu. Konsultowały jeszcze, co ze sobą zabrać i w ilości ilu kilogramów mogą to nadać na bagaż. Oczyma wyobraźni już widziałam Weronikę z tysiącem wypchanych walizek. Ona na pewno nie zmieści się w limicie. Ale ona może sobie pozwolić na nadbagaż. Dla niej to żaden wydatek.

O mało nie zakrztusiłam się właśnie przeżuwanym jabłkiem, kiedy usłyszałam od Marty, że zapisała się na lekcje aerobiku, bo musi zrzucić parę kilo, żeby pięknie wyglądać w Paryżu.

Telefon od Weroniki był jak zwykle tragikomiczny.

- Lenka, mój mąż chyba całkiem oszalał. Mówi z jakimś takim dziwnym uśmieszkiem, że bez niego na pewno nie pojedę. On chyba coś knuje. Trochę się boję, żeby nam nie popsuł szyków - przeszła teraz w konspiracyjny szept. - O, idzie, muszę kończyć. Pa!

„Ten Adam ma totalnego bzika na punkcie swojej żony” - pomyślałam.

Nieco załamał mnie telefon od Julki, kiedy prawie płacząc do słuchawki, opowiadała mi o chorobie dzieci.

- Właśnie rozchorowały się na ospę. Więc mój wyjazd wisi na włosku - relacjonowała. - Mąż nie da rady połączyć

opieki nad nimi z zastępowaniem mnie w księgarni, a jeszcze sam prowadzi własny interes. Zresztą wiesz, jak jest.

- Julka, daj mi godzinę, coś wymyślę - odpowiedziałam.

Wiedziałam, jak jest. Znałyśmy się przecież od czasów liceum. Wiedziałam, że jeśli nie na pomoc przyjaciół, Julka nie ma na kogo liczyć.

Wykonałam więc telefon do rodziców. Na początku mama była trochę zdziwiona moją prośbą. Ale po kilku minutach rozmowy spodobał jej się pomysł opieki nad pożyczonymi wnukami: Zosią i Pawełkiem, w wieku 5 i 10 lat. Dzieci Julki zdążyła już poznać wcześniej. Wiedziała, że żadne rozkapryszone bachorki jej nie grożą.

Oddzwoniłam do Julki z uspokajającą informacją. Nie posiadała się z radości i już planowała zaprosić świeżo przysposobionych dziadków, żeby wdrożyć ich w nowe obowiązki.

„No, chyba już nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy spokojnie wyjechały” - pomyślałam. Myliłam się jednak.

Dwa dni później, pod wieczór zadzwonił Piotr i zażądał, żebym w ciągu sześciu dni opuściła mieszkanie, ponieważ on właśnie przelał pieniądze na moje konto. Nie pomogły tłumaczenia, że to za krótki termin. Uważał, że skoro zapłacił mi tak horendalną sumę, ma prawo żądać mojej natychmiastowej eksmisji. Nie chciałam mu mówić o wyjeździe, więc nie wiedział, jak bardzo krótki jest ten termin. Tak naprawdę został mi zaledwie jeden dzień na przeprowadzkę.

- W ciągu pięciu dni spokojnie znajdziesz coś do wynajęcia. A spakowanie i przewiezienie twoich rzeczy osobistych zajmie góra jeden dzień - perorował. Tak to sobie zgrabnie obliczył.

- Jak to rzeczy osobistych? A meble, telewizor, mikser? Przecież kupowaliśmy wspólnie.

Okazało się jednak, że cena, którą mu podałam, obejmowała wszystko.

- Aha, i odbierz maila. Wysłałem ci umowę kupna - sprzedaży. Wydrukuj, podpisz i zostaw na stole, jak się będziesz wyprowadzać, Pomógłbym ci, ale Anetce to się nie spodoba. A wiesz, nie chcę jej denerwować. Biedna źle znosi ciężę. Jak chcesz, dam ci namiar na dobrą firmę przeprowadzkową. Też będziemy z niej korzystać.

Nie wzięłam.

„Co się dzieje u licha?!” Po rozwiązaniu jednego problemu pojawiał się zaraz kolejny i każdy stał na przeszkodzie mojej wymarzonej podróży. Mogłam stanąć okoniem i nie wyprowadzić się. Ale miałam już dość i Piotra, i tej jego Anetki. Chciałam jeszcze przed wyjazdem wyczyścić całą sytuację, żeby z wolną głową poszaleć w mieście moich marzeń. Żeby już nic mnie z tym typem nie łączyło.

W pierwszym odruchu sprawdziłam saldo na moim koncie. Słowa tego faceta nie są dla mnie w ogóle wiarygodne.

Ostatnio mocno nadszarpnęłam swoje finanse. Po wszystkich wydatkach i zakupie waluty na wyjazd, na koncie zostało mi 55 groszy na plus. „Ale w końcu mogę skorzystać jeszcze z kart kredytowych, no i niedługo wpłynie kolejna rata od Grubcia” - pocieszałam się, gdy poprzedniego dnia sprawdzałam stan konta w internecie.

Faktycznie okrągła kwota miliona złotych dołączyła do moich 55 groszy. Jeszcze raz przeliczyłam zera. Tyle zer naraz jeszcze nie widziałam. „O kurczę, jestem milionerką! Co prawda bezdomną, ale jednak”.

„Skąd on wytrzasnął tyle kasy? Zarabiał nieźle jako prawnik, ale wydawał jeszcze lepiej. Co mi tam! W końcu

pochodzenie tych pieniędzy to już nie moja sprawa. Im mniej o nim będę myśleć, tym lepiej" - postanowiłam.

Zamówiłam więc na następny dzień transport i zorganizowałam pokaźną stertę pudeł do pakowania. Nie miałam jeszcze planu, gdzie ulokować moje rzeczy, ale pocieszałam się, że coś się później wymyśli.

Nazajutrz zadzwoniłam do Marty, prosząc o pomoc przy przeprowadzce. Pokrótce wyjaśniłam jej mój układ z Piotrem. Skłęła go oczywiście na czym świat stoi i po pół godzinie stawiała się gotowa do upychania moich gratów w kartonach. Nie chciałam odrywać Julki od chorych dzieci ani Weroniki... od jej męża. We dwie dałyśmy sobie doskonale radę.

Trochę tego było. Wyszło w sumie kilkanaście pudeł. Oprócz osobistych rzeczy wzięłam jeszcze porcelanowy serwis. Byłam pewna, że Piotr i tak nie zauważy, że go brakuje. A ja go uwielbiałam.

Po południu Marta wyszła. Przyszło za to dwóch roślących panów w pomarańczowych kombinezonach i zaczęło znosić mój dobytek do ciężarówki. Robili już któryś z kolei kurs między samochodem a moim mieszkaniem, gdy w otwartych drzwiach tuż za nimi pojawił się nie kto inny, a mój ulubiony sąsiad.

- Witam, pozwoliłem sobie zajrzeć, żeby dowiedzieć się, co słyhać u pani, pani Leno? I widzę, że opuszcza pani to piękne miejsce. Ku mojej rozpaczy.

Musiał zrobić krok w przód, bo kolejna paczka w towarzystwie dwóch pomarańczowych osiłków opuszczała mieszkanie.

- A dzień dobry! Tak wyszło, że muszę się wyprowadzić - odpowiedziałam.

- Taaak, rozumiem - pokiwał głową.

Oczywiście, że rozumiał. W końcu tam w kawiarni był mimowolnym, a przynajmniej tak wtedy myślałam, świadkiem mego upodlenia.

- Gdzie pani w takim razie zamieszka? - zagadnął z uśmiechem.

- W sumie to jeszcze nie wiem - wyrwało mi się niepotrzebnie. - Jutro z przyjaciółkami wyjeżdżam do Paryża i na razie mnie to nie ob - cho - dzi - skandowałam radośnie, bardziej w przestrzeń niż do niego.

- Ale musi pani podać jakiś adres tym sympatycznym panom od przeprowadzek.

„No właśnie, przecież ja jeszcze nie wymyśliłam, co zrobić z tym całym dobytkiem” - pomyślałam nerwowo w nagłym ataku paniki. Jakoś w tym całym zamęcie pominęłam ten mały, ale jakże istotny szczegół. Nie chciałam już angażować rodziców. W końcu będą za chwilę mieli dwójkę przyszczatych dzieci na głowie. Pewnie u Weroniki, w jej ogromnej willi, byłoby miejsce na kupkę moich gratów, ale tam było wystarczająco dużo zamieszania z powodu naszego wyjazdu. Nie chciałam siać kolejnego zamętu w jej domu.

On, widząc chyba moją konsternację, zaproponował:

- Wiem, że mało się znamy, ale chętnie użyczę pani swojego garażu. Jest całkiem niedaleko stąd. Jak samochód postoi trochę na dworze, to przecież lakier z karoserii mu nie spadnie. Po powrocie z tego Paryża wymyśli pani, co dalej, i odbierze sobie swoją własność.

Nie wyglądał na złodzieja. W ogóle fajnie wyglądał. Wysoki, dobrze zbudowany, brunet. Zielone oczy i zmysłowe usta. Zagapiłam się przez chwilę. „Lena, przecież masz dość facetów - strofowałam się w myślach. Na dodatek nie gap się na zajętych facetów. Pamiętasz tę blondynkę w czerwieni”.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Przez głowę przegalopowało mi tysiąc różnych myśli. Po co proponował

mi pomoc? Dzięki Piotrowi wyhodowałam w sobie żyłkę do tropienia podstępów. „Może chce upłynnić moje ciuchy? No, większość w sumie starych. Te nowe biorę i tak ze sobą”. Chociaż był wśród nich rarytas, którego nie miałam zamiaru pakować do walizki. Przepiękna czarna suknia z jedwabiu, naszywana prawdziwymi czarnymi perłami, z dużym dekoltem na plecach. Prawdę mówiąc, to dostałam ją od Piotra na którąś rocznicę naszego pożycia, konkubinatu czy jak to się nazywa (i tak brzmi mizernie w porównaniu ze słowem „małżeństwo”). Więc i tak wołałam jej więcej nie oglądać. „A może zaczął się na moją porcelanę? Chociaż Rosenthal to to nie jest. Za dużo by za nią nie dostał”.

- Dobrze - wypaliłam. - Ale dowód osobisty poproszę!

I znowu udało mi się go rozbawić. Ale posłusznie wyjął dowód z portfela. Obejrzałam go na wszystkie strony, szybko kalkulując, że mój dobroczyńca liczy sobie czterdzieści pięć wiosen.

- Ale pan nie jest tu zameldowany - powiedziałam tonem policjanta, który właśnie zwietrzył w rozmówcy przestępcę.

- Jeszcze nie zdążyłem wymienić dowodu, pani porucznik.

- Przepraszam. Zrobiłam się ostatnio strasznie nieufna. Dziękuję za ofertę, skorzystam - odpowiedziałam krótko, jak na funkcjonariusza przystało.

Po zakończeniu pakowania przejechaliśmy więc z tym całym majdanem pod jego garaż i tym razem panowie w pomarańczowych wdziankach wykonali pracę odwrotną. Czyli wypakowali wszystkie toboły z ciężarówki do jego garażu.

- Nie wiem, jak panu dziękować - zaczęłam.

- Zaprosić mnie na kawę - natychmiast odpowiedział.

Nie miałam wyjścia. Wróciliśmy do mieszkania, które za chwilę miałam na zawsze opuścić. Po raz ostatni parzyłam kawę w urządzonej przeze mnie kuchni. - No, chyba nie

będiesz teraz buczeć - mamrotałam pod nosem. - Urządzisz sobie kolejną.

Sąsiad na chwilę udał się do swojego apartamentu i wrócił z butelką wina. Podałam kieliszki i korkociąg. Nalał wino i podniósł swój kieliszek:

- Pani Leno, czy możemy przejść na ty? Proszę do mnie mówić po imieniu: Marku.

- Jasne. Nie ma problemu - odpowiedziałam apatycznie, po raz kolejny omiatając wewnątrz melancholijnym wzrokiem i również wypijając solidny łyk wina.

- Wiesz, byłem kiedyś w Paryżu - zaczął tajemniczo. Widać było, że chce rozproszyć mój zły nastrój i skierować moje myśli na inne, przyjemniejsze tory. - Chętnie powtórzyłbym tę przygodę. Leno, mogę jutro podwieźć was na lotnisko - zaproponował uradowany.

- O, dzięki po raz drugi. Ale mogę przecież wziąć taksówkę. Nie chcę cię więcej fatygować.

- W takim razie nalegam. To będzie dla mnie prawdziwa przyjemność. Wiesz - jakoś dziwnie zmienił mu się głos - w twoim towarzystwie czuję się naprawdę dobrze.

„Hola, hola - pomyślałam. Ja nie wystąpię w roli asystentki. O nie. Masz babkę, to się jej trzymaj, tak jak trzymałeś ją czule za rączkę w tej przeklętej kawiarni”.

- Muszę się już zbierać - podniosłam się gwałtownie. - Przenocuję u rodziców, którzy jeszcze nie wiedzą o tej całej hecy z wyprawką. Więc pewnie dzisiejszy wieczór też będzie ciekawy. Jeszcze raz dziękuję. Mam twój numer telefonu, więc będziemy w kontakcie. Jak wrócę, to zadzwonię - obiecywałam.

Spytał jeszcze o nazwę hotelu w Paryżu. Ale nic mu ona nie mówiła. Zrewanżował się nazwą swojego, która też mi nic nie powiedziała, i wyszedł, życząc mi udanej podróży.

Po raz ostatni spojrzałam na to cudze już mieszkanie. Kawalek życia w nim zostawiłam. Podpisałam dokumenty dotyczące jego sprzedaży. „Dziwne uczucie - myślałam - jakbym podpisywała papiery rozwodowe, chociaż nigdy dotąd nie byłam mężatką”. Zamknęłam drzwi na klucz i z podróżnym neseserem oraz nieodłącznym laptopem pojechałam do rodziców.

Już od progu witała mnie załamująca ręce mama. - Co?! Wyrzucił cię?! Z jedną walizką cię zostawił?

- Nie, mam jeszcze komputer - wesoło zamachałam laptopem. - Mamo, wszystko wam zaraz wyjaśnię. To naprawdę nie wygląda tak źle.

I pokrótce zrelacjonowałam im ostatnie wydarzenia.

- No, ten milion to ci się należał jak nic - podsumowała moją przemowę nieco podniesiona na duchu mama.

- Jak nie dwa - tata nie wydawał się całkowicie usatysfakcjonowany.

Zjedliśmy kolację. Pogadaliśmy jeszcze trochę o pułapkach czyhających na pozbawione męskiego towarzystwa podróżniczki. I zaczęłam obdzwaniać po kolei wszystkie uczestniczki paryskiej eskapady. Umówiłyśmy się na lotnisku. Zbiórka - godzina dziewiąta rano.

Położyłam się spać. Ale długo nie mogłam zasnąć. Nadmiar wrażeń. Około pierwszej w nocy z przerażeniem uświadomiłam sobie, że Piotr nie ma kluczy do mieszkania. Kiedy go z niego z hukiem wyrzucałam, odebrałam mu jego komplet. Termin jego wprowadzki... (jeśli jest wyprowadzka, to powinna istnieć też wprowadzka) wypadnie w czasie mojego pobytu w Paryżu. „Muszę jakoś przekazać mu ten klucz przed wyjazdem. To jest klucz zamykający rozdział życia, o którym chcę już zapomnieć. Póki go nie dostanie, ten rozdział ciągle będzie otwarty”. Tak czułam.

„Teraz to już na pewno nie zasnę” - pomyślałam. Nie zastanawiając się dłużej i nie zważając na chłód kwietniowej nocy, w piżamie i bamboszach wskoczyłam do swojego samochodu, zabierając ze sobą dwa komplety kluczy do apartamentu.

Nie byłam na tyle zdesperowana, żeby dzwonić do Piotra, pytać o adres i jechać wprost w paszczę Anetki, ale byłam na tyle, żeby jechać do mieszkania obcego w sumie faceta, o pierwszej trzydzieści w nocy, w stroju raczej mało wizytowym. No, chyba że wybierasz się na piżama - party.

Po kilku dzwonek do drzwi otworzył zaspany Marek. Zmierzył mnie półprzytomnym wzrokiem i przetarł ze zdziwienia oczy.

- Czy mi się to śni? - zapytał z rozmarzonym uśmiechem na twarzy.

Nie wiedziałam, czy wolałby, żeby to był sen czy wręcz przeciwnie.

- Marek - zaczęłam - mam do ciebie ogromną prośbę. - Proszę, zawieź jutro te klucze mojemu byłemu facetowi. Tu masz telefon do niego - wręczyłam mu karteczkę z nabazgranym naprędce numerem. - Najpierw zadzwoń i spytaj o jego adres, bo nie znam. Wiem, że jest bardzo późno, przepraszam. Jak odwieziesz te klucze, to zadzwoń potem do mnie. Wylatuję o jedenastej, więc, proszę, zrób to do tego czasu. Chciałabym zacząć podróż z czystym kontem - zarzuciłam go potokiem słów. - Zrobisz to dla mnie? - zapytałam błagalnie.

- Dla ciebie, Lena, wszystko - odpowiedział już przytomnie. - Proszę, wejdź.

- Nie, nie, muszę wracać do łóżka.

I co sił w nogach pognałam do samochodu.

Na lotnisku byłam punktualnie. Marta i Julka zjawiły się parę minut po mnie. Brakowało tylko Weroniki. Wiadomo,

ona zawsze się spóźnia - uspokajałyśmy się nawzajem. Choć ja w duchu trochę martwiłam się, czy ten jej zazdrośnik nie zatrzymał jej jednak siłą w domu. Co prawda, poprzedniego dnia brzmiała przez telefon zupełnie spokojnie i nie wspominała już o nikczemnych zamiarach męża udaremnienia jej wyjazdu. Ale kto ich tam wie.

- Zadzwonimy do niej? - zaproponowała Marta. Wyciągnęłam komórkę. Jej numer nie odpowiadał. „Może jeszcze ten tyran zarekwirował jej telefon” - pomyślałam.

Dodatkowo niepokoił mnie brak wiadomości od Marka. „Czy on w ogóle pamięta o mojej nocnej prośbie? Czy może myśli dzisiaj, że to był jakiś dziwaczny sen ze mną w roli głównej. Muszę do niego zadzwonić” - rozważałam po cichu. Jego numer również nie odpowiadał.

Czas leciał nieubłaganie i była już najwyższa pora udać się do odprawy bagażu.

- Może Weronika jeszcze dojedzie. Ale nie będziemy dłużej tu tkwić. Idziemy odprawić bagaż - zdecydowałam. - Bo w końcu żadna z nas nie pojedzie.

- Masz rację - przytaknęły dziewczyny i zaczęły kierować się do odpowiedniego stanowiska.

Ja też już miałam odwrócić się na pięcie, gdy w drzwiach wejściowych dostrzegłam dziwnie ubraną babinę, w zgrzebnej chustce na głowie, dużych na pół twarzy przeciwsłonecznych okularach, ogromnym, obszarpanym płaszczu i gumofilcach, za to z wielką, elegancką skórzaną walizą. Patrzyłam osłupiała, jak babina człapie wprost w moim kierunku i woła mnie po imieniu:

- Lena, Lenka, poczekajcie!

Głos jakiś znajomy. Zastygłam w bezruchu. Podeszła tak blisko, że prawie zderzyłyśmy się nosami, i konspiracyjnym szeptem, nerwowo rozglądając się na boki, powiedziała:

- To ja, Weronika. Musiałam się przebrać, żeby zmylić mojego męża. Bałam się, że będzie mnie śledzić - szeptała zasapana.

Nie mogłam się opanować i wybuchnęłam śmiechem.

- Matko boska, dziewczyno, w życiu bym cię nie poznała. Opowiesz mi wszystko na pokładzie. Teraz musimy się pospieszyć, bo samolot odleci bez nas. Czekamy na ciebie przy odprawie. Doprowadź się do pierwotnego stanu, bo cię kontrola dokumentów nie przepuści.

Dołączyłam do Marty i Julki i podzieliłam się z nimi radosną informacją, że Weronika dotarła na lotnisko i zaraz się tu zjawi. I już za chwilę mogłyśmy z rozdziawionymi ustami obserwować, jak nasza wspaniała przyjaciółka na dwunastocentymetrowych szpilkach i w obcisłej miniówce skrada się od ściany do ściany, ciągnąc za sobą walizę trzy razy większą od naszych.

- A jej co się stało? - wykrztusiła Julka.

- Czy ona zostaje tam dłużej? - spytała Marta, patrząc na swój skromny neseser.

Pomyślnie i, o dziwo, bez żadnych perturbacji przeszłyśmy wszystkie etapy boardingu i już miałam wchodzić na schody prowadzące do samolotu, gdy rozległ się dzwonek mojego telefonu. Odebrałam, zatrzymując się nieco z boku, żeby nie tamować ruchu.

Dzwonił Piotr. Wzburzony.

- Czy mogłabyś nie nasyłać na mnie jakichś mięśniaków? Rozumiem, że masz do mnie żal. Ale żeby w ten sposób nas traktować? Pamiętaj, że moja narzeczona jest w ciąży i potrzebuje spokoju. Rzucił we mnie kluczami, nawymyślał od skurczybyków i nawet jeszcze gorzej. Anetka się tak wystraszyła, że już myślałam, że zacznie rodzić. Dostała skurczów - nadawał jak karabin maszynowy.

- Czyli klucze dotarły - powiedziałam bardziej do siebie niż do niego. - Żegnaj, Piotrze, i mam nadzieję, że nasze drogi już nigdy się nie skrzyżują - rzuciłam w słuchawkę i natychmiast wyłączyłam telefon.

Wskoczyłam radośnie na schody i zaraz siedziałam obok moich przyjaciółek w samolocie. Miałyśmy sobie wiele do powiedzenia.

Rozdział 2

Lot przebiegał spokojnie, a my oczywiście pytlowaliśmy jak najęte.

- Weronika, zdradź nam w końcu, co się stało, że prawie spóźniłaś się na samolot - nie wytrzymałam.

- Dziewczyny, co ja dzisiaj przeżyłam! - zaczęła. - Ale zacznę od początku, bo nie jesteście w temacie. No, może oprócz Lenki.

Tak, ja byłam w temacie aż za bardzo.

- Mój mąż od samego początku był przeciwny mojemu udziałowi w babskim wypadzie do Paryża. Ostatnio jakoś tak dziwnie się zachowywał, mówiłam ci, Lenka - tu spojrzała na mnie. - Z uporem maniaka i jakąś dziwną satysfakcją w głosie powtarzał, że bez niego nie pojedę. Chyba nawet kazał mnie śledzić, bo dwa dni temu miałam dziwne wrażenie, że jakiś facet obserwuje mnie w centrum handlowym - mówiła zaaferowana.

- No trudno, żeby faceci nie zwracali na ciebie uwagi. To dopiero byłoby podejrzane - parsknęła Marta.

- Tym razem obserwował mnie w innym sensie - odpowiedziała lekko urażona brakiem zrozumienia dla powagi sytuacji. - No więc wczoraj obmyśliłam cały plan. I dzisiaj działałam ściśle według niego.

- Ale wzięłaś w planowaniu pod uwagę czas? - ironicznie zapytała Julka, trochę jeszcze zła na Weronikę, że przysporzyła nam nerwów na lotnisku.

- No, niech mnie, wszystko wzięłam pod uwagę. No, może prawie. Rano mąż jak zwykle wyszedł do pracy. Nie zdradziłam mu daty naszego wylotu. Ale bałam się, że ktoś znowu będzie mnie śledził i Adam jednak coś wykombinuje, żebym nie dotarła na lotnisko. Córcia jest akurat na jakiejś dwutygodniowej wycieczce szkolnej w Berlinie, więc też jej nie wtajemniczałam.

Wysłałam więc z domu ubrana w strój do joggingu. Adamowi zostawiłam wiadomość, że wyjeżdżam z wami, ma mnie nie szukać i że za pięć dni wracam. Po wyjściu z domu truchtem przebiegłam kilka alejek w sąsiednim parku. Potem też truchtem wbiegłam do publicznej toalety nieopodal. No, że niby za potrzebą. Ale tak naprawdę to za odpowiednią opłatą pani, która tam sprząta...

- Babcia klozetowa znaczy - wypaliła Marta. - Zgodziła się wymienić ciuchami - ciągnęła dalej

Weronika. - Ja jej dałam mój markowy strój do biegania, a ona swój mniej markowy strój do chodzenia, w który się ubrałam, i dodatkowo zrobiłam sobie charakteryzację. Lenka widziała.

- Tak, w życiu bym cię nie poznała. Tylko walizka była jakaś nie do kompletu. Ale rolę damskiego żula odegrałaś znakomicie - pogratulowałam.

- Walizkę dzień wcześniej ulokowałam u koleżanki, która mieszka niedaleko lotniska, żeby właśnie nie wzbudzać nią podejrzeń. I dziś miałam tak ucharakteryzowana wyjść z szaletu, wsiąść do wczoraj już zamówionej w to miejsce na godzinę ósmą rano taksówki i udać się nią do tej właśnie koleżanki. Tam taksówkarz miał skoczyć po walizkę i odwieźć mnie, i moją walizkę oczywiście, na lotnisko - relacjonowała nasza Mata Hari.

- To który element zawiódł? - spytałam. - Koleżanka!!! Wczoraj upiła się z żalości, bo rzucił ją narzeczony, i dziś spała jak kamień.

- O matko, następna ofiara męskiego rodu - westchnęłam.
- Taksówkarz nie mógł jej dobudzić - kontynuowała Weronika. - Poszłam więc pod jej drzwi i napierdalałam w nie jak wariatka z okrzykiem: „Kurwa mać! Otwieraj!” Aż się sąsiedzi zlecieli i jakoś tak dziwnie na mnie patrzyli. Ale nie mogłam odpuścić tej walizki. Same nowe kreacje w niej mam.

Nie po to tyle po sklepach latałam, żeby bez żadnego ciucha do Paryża jechać.

- Nie mogłaś do nas zadzwonić? - spytała Julka.

- No właśnie, żeby Adam nie zamęczał mnie telefonami, zostawiłam komórkę w domu - odpowiedziała.

- Ale przecież on ma też numery naszych komórek. Będzie dzwonił do nas i prosił cię do telefonu - zauważyła przytomnie Marta.

- Już nie ma. Wczoraj podstępnie skasowałam mu wszystkie numery w telefonie - odpowiedziała dumna ze swojego sprytu Weronika.

- No to pojedzie do mojego albo Julki męża i weźmie te numery od nich - nie dawała za wygraną Marta.

- No tak. Tego nie przewidziałam. Dziewczyny, nie odbierajcie od niego telefonu, błagam was - prosiła Weronika.

- Ale wracając do mojej koleżanki, tej od walizki... W końcu po dwóch godzinach walenia w drzwi otworzyła zaspana i wtedy dowiedziałam się o jej nieszczęściu. Musiałam ją chwilę pocieszyć. Capnęłam walizkę. Taksówkarz zdążył mi już zwiać. Nawet kasy nie wziął. Chyba się mnie trochę przestraszył. I musiałam ile sił w nogach lecieć do terminala. A powiem wam, że w za dużych gumofilcach nie biega się najszybciej.

Wybuchnęłyśmy śmiechem. Wyobraźnia działała.

- To dlatego tak skradałaś się do odprawy. Bałaś się, że mąż ma czujkę na lotnisku - odkryła Marta.

- Ale jak widać, przechytryłam go. Dobrze rozglądałam się wkoło i nie zauważyłam nikogo podejrzanego - cieszyła się Weronika. - Adresu w Paryżu też mu nie podałam. Nie będzie mu się już chciało mnie szukać, pogodzi się z moim wyjazdem. W końcu za pięć dni wracamy.

- To ty też jednak jedziesz na pięć dni? - udawała zdziwienie Marta. - Po wielkości walizki powiedziałabym, że na piętnaście.

- Jednak to wszystko nie wygląda tak różowo - odezwała się trochę złowieszczo. - Nie mówiłam ci, Weronika, ale twój mąż może jednak znać adres naszego hotelu.

- Jak to! Powiedziałaś mu?!!! - krzyknęła Weronika, budząc co niektórych drzemiących pasażerów.

I wtedy opowiedziałam jej krótką historię jeszcze krótszego pobytu jej męża u mnie w domu. Dopiero po opowieści Weroniki zrozumiałam dziwne zachowanie Adama.

- Kiedy parzyłam kawę, musiał buszować w moim gabinecie w poszukiwaniu informacji o naszym wyjeździe. Po to pewnie przyszedł. I na pewno to znalazł. Bo przecież tuż przed jego przyjściem włączyłam laptopa i jeszcze żeby było mu łatwiej, otworzyłam stronę naszego hotelu. A termin wyjazdu był w mailu z potwierdzeniem rezerwacji lotu. Na pewno nie miał problemów, żeby do niego dotrzeć - podsumowałam.

- Czyli wcale nie potrzebował mnie śledzić, bo wszystko wiedział. Czyli cały ten cyrk dzisiaj był zupełnie niepotrzebny - dopowiedziała zrezygnowana Weronika.

- Ale miałaś okazję zagrać jakąś rolę i bynajmniej nie gosposi - próbowałam poprawić jej nastrój.

- No i ten facet w centrum handlowym jednak patrzył w TEN sposób - z zazdrością podsumowała Marta.

- Matko, dziewczyny. Nie ma tragedii. Będziemy miały obstawę w postaci Adama. Przynajmniej nic nam nie grozi w ciemnych uliczkach paryskiego półświatka - powiedziałam z diabolicznym uśmiechem.

- Łatwo wam mówić, bo to nie wasi mężowie będą pałętać się za wami - odburknęła Weronika.

- Zapewniam cię, że dużo bym dała, żeby mój mąż pałętał się za mną po Paryżu - powiedziałam przyciszonym głosem.

- A co, ty chcesz go tam zdradzać czy jak? - na wesołą nutę rzuciła Julka.

- Trudno - otrząsnęłam się ze złych wspomnień. - Jeśli się pojawi, przyjmiemy go do naszego babskiego grona i znaturalizujemy - zajęczałam tekstem z „Seksmisji”, robiąc przy tym szelmowskie oko do Weroniki.

- A na osłodę dodam - kontynuowałam - że zapraszam was na rejs po Sekwanie z wykwinną kolacją i muzyką na żywo. Ja stawiam. Mam co uczcić i mam za co postawić - dodałam.

Popatrzyły na mnie zdziwione. No może oprócz Marty, która już była co nieco wtajemniczona w ostatnie meandry mojego życia.

- Masz kogoś!!! - zapiszczała Julka.

Popatrzyłam na nią z politowaniem: - Wręcz przeciwnie. W tym momencie podświetlił się znaczek symbolizujący nakaz zapięcia pasów. Właśnie schodziliśmy do lądowania.

- Wszystko wam później opowiem. Mamy dla siebie dużo czasu - dodałam.

Hotelik był czysty i zadbany. Urządzony coś jakby w stylu Ludwika XIV. Trochę tandetnie, ale w końcu szukając noclegu, kierowałam się jego ceną. Obsługa miła - wywnioskowałam to z ilości uśmiechów, jakimi byliśmy obdarzane. Bo ich pięknej, śpiewnej mowy ni w ząb nie rozumiałam. Zresztą żadna z nas niestety nie mówiła po francusku. No może oprócz kilku słów typu: mersi, bązur i sawa.

Próbowałyśmy porozumieć się naszą łamaną angielszczyzną z recepcjonistką o pięknych niebieskich oczach, ale nie wykazywała chęci rozmowy w języku

angielskim. Został nam więc język migowy, podpierany świstkiem z francuskojęzycznym potwierdzeniem rezerwacji przez internet.

- A ła - uśmiechnęła się niebieskooka. I wydała nam klucze do pokoiów z numerem 202 i 203.

- Skąd takie wysokie numery? Przecież tu jest załedwie kilkanaście pokoiów - dziwiła się Julka.

Faktycznie hotel był niewielki, więc szybko zlokalizowałyśmy drzwi z odpowiednimi numerami i weszłyśmy do środka. Julka i ja wylądowałyśmy pod numerem 202, a Marta z Weroniką zajęły numer 203.

- Jak tu ciasno - nawet przez ścianę słyszałam narzekania Weroniki. - Gdzie ja się tu zmieszczę z moją garderobą?

- Możesz ostatecznie wynająć pokój 204 i tam porozkładać swoje szmatki - odpowiedziała jej Marta.

Rozejrzałam się po pokoju. Do spania wystarczy. Mały, ale za to przytulny. „Ale te ścianki pomiędzy pokojami to chyba z tektury, wszystko słyhać” - pomyślałam.

Wszystkie chwyciłyśmy za telefony, żeby poinformować swoich bliskich, że dotarłyśmy bezpiecznie. Wszystkie, oprócz Weroniki.

- Głodne? - zagadnęłam wesoło. - Tu niedaleko jest fajna restauracyjka. Przynajmniej tak wyglądała w internecie.

- Kiedy ty jeszcze znalazłaś czas na studiowanie Paryża w necie? - zdziwiła się Marta.

- Za radą Julki nie siedziałam ani minuty beczynn timer - odpowiedziałam tajemniczo. - I faktycznie to była dobra rada - mrugnęłam do mojego doradcy. - Mamy bilety na wieżę Eiffła, rejs po Sekwanie i dwudniową kartę muzealną, dzięki której podobno bez kolejek dostaniemy się do Luwru, galerii d'Orsay oraz zwiedzimy Łuk Tryumfalny - oznajmiłam z tryumfem. - Wybierzemy się jeszcze do dzielnicy Montmartre, obejrzymy Centrum Pompidou i zawitamy w La Defense. To

tylko drobny ułamek paryskiego bogactwa kultury, architektury i sztuki. Ale jesteśmy na krótkich wakacjach.

- Czy my zdążymy to wszystko zaliczyć w ciągu tych marnych pięciu dni? - powątpiewała Weronika. - A kiedy będziemy balować?

- Tak właściwie to czterech - uściśliła Marta. - Więc do dzieła, dziewczyny! Przebieramy się i idziemy na obiad, potem odpoczywamy, żeby jutro z nowymi siłami ruszyć na podbój Paryża.

Restauracja wyglądała całkiem nieźle. No i według opisu w necie należała do w miarę tanich. Zajęliśmy miejsca i kelner przyniósł nam karty z menu.

- Od tych francuskich literek dostaję oczopląsu - narzekała Weronika. - Chyba wybiorę losowo, bo nic z tego nie kapuję.

Składanie zamówienia polegało więc na pukaniu palcem w pozycję na karcie, której nazwa przypadła nam do gustu. Wyglądało to tak, jakbyśmy zamawiały w alfabecie Morse'a.

- Że też nie mogli chociaż jakichś rysunków dodać do tego menu - niezaradności Francuzów dziwiła się Julka.

- Pismo obrazkowe dawno wyszło z mody, niestety - zaśmiała się Marta.

- Co nam miałaś powiedzieć, Lenka? - zagaiła Julka pewnie w nawiązaniu do mojej tajemniczej mowy w samolocie.

- Ponieważ to, co chcę wam powiedzieć, wymaga specjalnej oprawy, bo mam co oblewać, powiem wam wszystko w czasie wypasionego rejsu po Sekwanie.

- Ale to dopiero za kilka dni - jęczała Weronika.

- Teraz za to mogę wam opowiedzieć o mojej lekcji tańca, którą pobrałam niedawno u superprzystojnego tancerza.

- Miałaś indywidualną lekcję u Maseraka? - Weronika podśmiewała się ze mnie.

- Nie - przymrużyłam z uśmiechem oczy. - Ale mój nauczyciel ruszał się całkiem podobnie.

- Ty to masz dobrze - podsumowała Julka. - Ja nie znalazłabym na to czasu, nie mówiąc o kasie.

- Mogę ci fundnąć kilka lekcji, jak chcesz. Nie wiem tylko, co na to powie twój Andrzej - uśmiechnęłam się.

Kelner właśnie wnosił nasze dania. Osłupialiśmy.

Ja dostałam kilka wąsatych krewetek ze skorupą, a nawet oczami, Weronika - porcję szpinaku z jajkiem, Marta - podejrzaną paczkę w kolorze musztardowym, a Julka - marchewkę z groszkiem. Kelner obsłużył nas ze wszystkimi honorami, jakby serwował bażanta nadziewanego truflami w szampańskim sosie z Dom Perignon. Gdy tylko odszedł, wybuchnęliśmy gromkim śmiechem.

- O matko, w życiu się tak nie spłakałam - mówiła przez łzy Marta.

- Przesłanie płynące z naszej kolacji? - zapytała wesoło Julka. - Ludzie, uczcie się języków obcych, a zwłaszcza języka menu, z którego będzie wybierać dania, bo możecie chodzić głodni - odpowiedziała na własne pytanie.

- Napijmy się chociaż wina - zaproponowałam, podnosząc kieliszek. - A potem chodźmy do jakiejś budki z fast foodem.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem wybrałyśmy się na krótki obchód najbliższej okolicy. A najbliższa okolica przedstawiała się imponująco: tętniące życiem Pola Elizejskie i pięknie oświetlony nocną porą Łuk Tryumfalny. Z zachwytem wpatrywałyśmy się w wystawy luksusowych sklepów. Na jednej z nich stały manekiny w przepięknych sukniach ślubnych. Spojrzałam z rozmarzeniem na jedną z nich.

- Niezłe kiecki, co? - zagadnęła Marta. - Moja stara suknia ślubna w porównaniu z nimi to raczej szata pokutna.

- Ja miałam taką falbaniastą, że ledwo mieściłam się w niej w drzwiach - śmiała się Julka.

- Jakbym miała wybierać, to taką poproszę - pokazałam prostą koronkową suknię na wystawie.

- Noo, śliczna - powiedziały chórem.

- A wiecie, że około czterystu lat temu Champs Elysees to były po prostu pola uprawne? Potem aleja wysadzana drzewami, po której w XVIII wieku lubiła przechadzać się Maria Antonina. I dopiero w XIX wieku Pola Elizejskie zostały wchłonięte przez miasto - zagadnęłam, popisując się tekstem z przewodnika.

- Paryż nocą jest przepiękny. Te wszystkie wyeksponowane światłem budowle - zachwyciła się Julka.

- Nie wiem jak wam, ale jak na razie syndrom paryski mi nie grozi - stwierdziłam zadowolona.

- O matko, a co to takiego? - z przestachem zapytała Marta, która podobnie jak ja i Julka po raz pierwszy odwiedzała to miasto.

- Z tego, co czytałam, dotyczy to najczęściej turystów japońskich, więc nie masz się co martwić - odpowiedziałam. - A jest to podobno frustracja spowodowana rozczarowaniem tym miastem. Odczucie, że nie spełnia oczekiwań, że wymarzony czy znany z mediów obraz Paryża rażąco różni się od tego realnego.

- Jak dla mnie, to tu jest zajebicie - z całą mocą zapewniła Marta. - Muszę kiedyś przyjechać tu z moim... - nie dokończyła.

W pierwszej chwili pomyślałam, że przez wzgląd na mnie. Ale zaraz zmieniłam zdanie, bo dostrzegłam niespodziewany przestach w jej oczach. Spojrzałam w miejsce, w którym utkwiał jej wzrok. Byłyśmy na pustej, słabo oświetlonej

bocznej ulicy prowadzącej do hotelu. Nic tam nie dostrzegłam.

- Laski, czy widziałyście to samo, co ja? - zapytała za chwilę.

- Ale co??? - odpowiedziałyśmy chórem, rozglądając się na boki z paniką w oczach.

- Tam w tym ciemnym zaułku. Skradał się jakiś facet, jakby nie chciał, żebyśmy go zauważyły.

- O matko, nie strasz mnie - pisnęła Julka.

- A czy ten facet nie był przypadkiem podobny do Adama? - atmosferę grozy próbowała rozwiać Weronika.

No tak, przypomniwałyśmy sobie, że Adam zapewniał ją, że do Paryża bez niego nie pojedzie. Nie wiedziałyśmy tylko, że będzie się chował po krzakach i straszył nas w ciemnych zakątkach miasta.

- Adam, wyjdź proszę z tych zakamarków i zachowuj się jak człowiek - krzyknęła nakazującym tonem Weronika.

- Wiemy, że to ty - cieńszym niż zwykle głosem zawołała Julka.

Wpatrywałyśmy się w mrok, ale nawet pies z kulawą nogą się nie pojawił.

- Marta, chyba ci się coś zdawało - próbowałam rozładować narastające znowu napięcie.

Chociaż kilka minut wcześniej też miałam wrażenie, że coś szurnęło za nami. Ale myślałam, że to jakiś kocur. Teraz już nie byłam tego pewna.

Następnego dnia po francuskim śniadaniu złożonym z rogalika i kawy oraz po wykonaniu kilku telefonów do bliskich, ochoczo ruszyłyśmy w miasto. Metro dowiozło nas prawie pod sam Luwr.

- Jak tu pięknie! - wykrzyknęła Julka.

Faktycznie ten renesansowy, mocno zdobiony pałac robił wrażenie. A szklana piramida przed nim jeszcze dodawała mu uroku i jakiejś starożytnej tajemniczości.

- A podobno paryżanie nie lubią mieszania stylów - Marta ze zdziwieniem patrzyła na metalowo - szklaną nowoczesną bryłę piramidy.

- Ale w końcu piramida jest również symbolem starożytności. A ta ma nawet identyczne proporcje jak piramidy w Gizie

- popisywałam się świeżo zdobytą wiedzą. - Wiecie, kto tak naprawdę sprawił, że wyrosło tu to szklane cacko? Nie Mitterand, jak się powszechnie uważa, ale jego długoletnia, skrywana przez dwadzieścia lat przed światem kochanka - Anne Pingeot.

- Jakie to romantyczne - westchnęła Weronika.

- No, dla żony prezydenta niekoniecznie - skrzywiłam się.

- Jego nieślubna, skrywana przed światem córka, Mazarine, też nie miała łatwego dzieciństwa.

Zaczęłyśmy jak szalone robić zdjęcia. Każda oczywiście miała własny aparat. Więc jak dorwałyśmy jakiegoś Japończyka (którzy tłumnie zwiedzali Paryż], to nie wypuściłyśmy go z naszych objęć, dopóki nie wykonał wszystkich ośmiu fotek. Po dwie każdym aparatem. W razie czego jakby ta pierwsza nie wyszła (choć nie wiem, co miałyby nie wyjść w cyfrowym aparacie). I na wszystkich to samo ujęcie: cztery dziwnie powyginane babki na tle Luwru. Japończyk za każdym razem działał według takiej samej procedury: przymierzał się do zdjęcia, mówił „cziiiiiz” i szczerzył zaciśnięte zęby, a my powtarzałyśmy za nim posłusznie ten nieco sztuczny uśmiech. Aż od tego uśmiechania dostałyśmy szczękościsku.

- Teraz to na pewno dorwie go ten syndrom paryski - źle wróżyła mu Marta. - Luwr będzie mu się kojarzył z czterema maniaczkami fotograficznymi.

W końcu wybiła godzina dziesiąta. Więc przez szklaną piramidę weszliśmy do środka muzeum. Tam dołączyliśmy do grupy turystów z polskojęzycznym przewodnikiem, do której nas zapisałam przez internet, właśnie na tę godzinę.

Na widok naszego przewodnika stanęłam jak wryta.

- Wiktor??!!! - krzyknęłam z niedowierzaniem.

- Lenka!!! - usłyszałam jego okrzyk. Był w nim zachwyt, ale i jakaś dziwna ulga.

Moje przyjaciółki rozdziawiły buzię.

- Pozwólcie, że wam przedstawię - zabrałam się do przywracania im bardziej rozgarniętego wyrazu twarzy. - To jest Wiktor, mój dawny znajomy z czasów studenckich.

- Jak dobry znajomy? - wyszeptała mi do ucha Marta. - Bo sądząc po tym, jak nerwowo poprawiasz włosy, to więcej niż dobry.

- A to moje przyjaciółki: Marta, Julia i Weronika.

- Bardzo mi przyjemnie. Wiktor Wilk. Teraz muszę oprowadzić grupę po Luwrze. Ale potem mam przerwę i zapraszam na lunch. Będzie mi niezmiernie miło...

- W tej grupie jesteśmy też my - nie dałam mu dokończyć.

- Więc pokaż, co potrafisz - dodałam wesoło.

Faktycznie był niezły w tym, co robił. Opowiadał dowcipnie i ciekawie. Wciągał słuchaczy w dialog. Panie były w niego wpatrzone jak w obrazek. Może nawet bardziej. Bo obrazy dookoła nie przykuwały uwagi tak jak on. Przystojny blondyn z błyskiem w oku. Tak, nie stracił dawnego uroku osobistego. A nawet zyskał. Zmężniał i nabrał charyzmy. Widziałam, że oczarował też moje towarzyszki. Weronika nie mogła wprost oczu od niego oderwać. W ogóle nie zwracała uwagi na otaczające ją eksponaty.

Przy Mona Lisie nie wytrzymałam: - Weronika, na litość boską, nie gap się tak na niego. Może popatrz trochę na to słynne dzieło sztuki.

- Jak ma się taką sztukę przed sobą, to trudno oglądać inną - wyszeptała mi do ucha, zachwycona.

- Uważaj, bo możesz być pod obserwacją twojego męża - pogroziłam jej palcem z uśmiechem.

- Myślisz? - zapytała, rozglądając się nerwowo. - Do tej pory jakoś nie zauważyłam go nigdzie dookoła. Chyba mnie tylko tak straszyl, bo myślał, że w ten sposób wyperswaduje mi ten wyjazd.

- Ciiii - strofowała nas oburzona kobieta obok. - Proszę o ciszę, bo nie słyhać przewodnika - dodała.

- Ale za to widać go znakomicie - odparowała Weronika. Po trzech godzinach zwiedzanie dobiegło końca.

- Gratuluję panu wiedzy w temacie historii sztuki - z czarującym uśmiechem odezwała się Wera, największa fanka przewodnika.

- Dziękuję. Ale to mój zawód. Jestem właśnie historykiem sztuki - odpowiedział Wiktor.

- Przecież ty w ogóle go nie słuchałaś - wyszeptałam wprost w ucho Weroniki, nie mogąc przy tym pohamować śmiechu.

- Drogie panie - zaczął nasz przewodnik. - Jak już powiedziałem, zapraszam na lunch. Całkiem niedaleko jest tu taka nastrojowa restauracja z pysznym jedzeniem. Proszę za mną. Będę prowadził.

Widziałam, że z Weroniką dzieje się coś niepokojącego. Nie mogłam dopuścić, żeby na wymyślonej i zorganizowanej przeze mnie eskapadzie zrobiła jakieś głupstwo. Jej mąż by mnie chyba za to ukatrupił. Poza tym w czasach młodości doskonale poznałam Wiktora i wiedziałam, że to pożeracz damskich serc. Ze mną też kiedyś próbował swoich

uwodzicielskich sztuczek, ale mu nie wyszło. Ofiarę przed konsumpcją hipnotyzował nie tylko wyglądem Apollina. Był bardzo elokwentny, znał biegle kilka języków obcych i był naprawdę świetny w prawieniu komplementów. Jego czar działał na tyle długo, że porzucone przez niego dziewczyny nawet nie miały do niego pretensji.

- Dziękujemy bardzo, Wiktorze. Ale mamy w planie jeszcze galerię d'Orsay i nie chcemy też komplikować twojego planu dnia. Zapewne jesteś zajęty - próbowałam jakoś wykręcić nas od jego towarzystwa.

- Ja chętnie skorzystam z zaproszenia. W tych szpilkach już nóg nie czuję. Może darujemy sobie kolejną galerię - Weronika była już usidlona.

„Oczy jak u zahipnotyzowanej ofiary” - pomyślałam, patrząc na nią.

Powoli przestawałam się dziwić zazdrości jej męża.

- Nie chcę psuć wam zwiedzania. Doskonale rozumiem miłość do sztuki - uśmiechnął się.

- Może w takim razie umówimy się na wieczór - ciągnął, patrząc prosto w moje oczy i zupełnie nie zważając na słowa Weroniki.

- Proszę cię - teraz mówił już tylko do mnie, a w jego oczach dostrzegłam coś, czego wcześniej nigdy nie widziałam. Jakieś ciepło i pokorę, a przede wszystkim błaganie.

Zawahałam się. Widziałam, jak Julka i Marta odciągają Weronikę na bok i coś jej zawzięcie tłumaczą. Potem podeszła do nas Julka i wyrecytowała:

- Słuchajcie, umawiajcie się na tę kolację. Ale na nas niestety nie liczcie. Mamy już swoje plany na wieczór.

„Co za spiskowanie pod moim nosem” - pomyślałam.

- Dziękuję za zaproszenie, ale nie - odmówiłam.

On jednak wcisnął mi jakąś kartkę do kieszonki płaszcza.

- To mój numer telefonu - powiedział. - Gdybyś zmieniła zdanie, proszę, zadzwoń.

Po małej przekąsce zjedzonej naprędce w pobliżu Luwru udałyśmy się do galerii d'Orsay. Okazały gmach byłego dworca z początku XX wieku znajduje się nad samą Sekwaną i jest najpiękniejszym dworcem, jaki kiedykolwiek widziałam. Zadzierałam do góry głowę, żeby dobrze przyjrzeć się wspaniałemu zegarowi i rzeźbom zdobiącym budynek. Wnętrze pięknie doświetlał szklany dach oparty na wycinku walca.

Zaraz po wejściu do środka Weronika uparła się, że ona z nami chodzić nie będzie. Poczekaj, aż skończymy zwiedzanie w kawiarni znajdującej się wewnątrz galerii. Wypije kawę i odpocznie.

- No tak, już to pewnie wszystko widziałas - zagadnęła Julka.

- Nic nie widziałam. Ale pieprzę takie kulturożercze gonitwy. Aż mi nogi w tyłek weszły. Nie mam siły - odpowiedziała opryskliwie Weronika.

Domyślałam się przyczyny tej nagłej zmiany jej nastroju. Wiktor. A właściwie to brak Wiktora. „Trudno, trochę się poobraża i jej przejdzie - pomyślałam. Muszę ją od niego odizolować, bo jeszcze się wda w romans, którego potem może gorzko żałować”.

- To co wy tu z Adamem robiliście całymi dniami? - zdumiała się Julka, zadając trochę niedyskretne pytanie.

- A co się robi z facetem w Paryżu? - odpowiedziała pytaniem na pytanie nasza nabzdyczona gwiazda filmowa.

- OK. Jak skończymy zwiedzać, wpadniemy po ciebie - powiedziałam pojednawczo i dałam dziewczynom znak ręką do odwrotu spod obrażonej twierdzy.

Pochłoneło nas oglądanie. Trzy poziomy arcydzieł sztuki podzielonych według epok - tyle uczty duchowej było do skonsumowania. Więc metodycznie zaczęłyśmy zwiedzać. Zawsze lubiłam impresjonizm i zobaczyć oryginalne dzieła Moneta czy van Gogha to była dla mnie prawdziwa gratka. Po trzech godzinach biegania po galerii, zmęczone, ale zadowolone wróciłyśmy do kawiarni.

Weroniki nie było ani w kawiarni, ani w toalecie, ani w sklepiku z pamiątkami, ani przed muzeum. Próbowaliśmy pytać obsługę. Ale niczego się nie dowiedziałyśmy. Chyba nie zrozumieli naszej jeszcze bardziej niż zwykle łamanej angielszczyzny.

- No pięknie. Komórki nie wzięła. Żadnego obcego języka nie zna - zaczęłam biadolić.

- No, nie przesadzaj. Łaciną włada biegle - wtrąciła Marta.

- Orientacji w terenie za grosz - kontynuowałam załamana. - Gdzie ona polazła??!!!!

Miałyśmy dwie koncepcje: albo postanowiła wrócić do hotelu, albo wróciła do Luwru szukać Wiktora. Postanowiłyśmy się rozdzielić. Marta z Julką obstawia hotel. Ja Luwr. Zaopatrzyłam je w bilety do metra, mapki i moje błogosławieństwo. I rozeszłyśmy się w przeciwnych kierunkach.

Dopiero kiedy dotarłam do Luwru, przypomniałam sobie, że Wiktor na odchodnym wcisnął mi w rękę świstek ze swoim numerem telefonu. „Przecież mogłam od razu do niego zadzwonić, zamiast tu pędzić” - pomyślałam, zła na własne roztargnienie. Odebrał po kilku sygnałach.

- Wiktor, to ja, Lena. Daj mi, proszę, Weronikę do telefonu - zagrałam va banque.

- Weronikę? A dlaczego sądzisz, że jest ze mną? - spytał szczerze zdziwiony. - Ja nawet nie wiem, która to z twoich przyjaciółek. Nie zapamiętałem ich imion. Coś się stało?

Nie do końca wiedziałam, czy mu wierzyć czy nie. Ale zaryzykowałam.

- Mamy problem. Odłączyła się od nas w galerii i nie możemy jej znaleźć. To ta laska o urodzie gwiazdy filmowej.

- Aa, pardon, nie kojarzę jej. Słuchaj, właśnie skończyłem pracę. Gdzie jesteś? Służę pomocą - energicznie zaoferował wsparcie.

- Stoję pod Luvrem - odpowiedziałam nieco żałośnie, bo powoli zaczynałam się martwić. „Nawet jeśli Weronika postanowiła wrócić do hotelu, to marne szanse, żeby dotarła tam sama” - pomyślałam. Nie mogła zapamiętać nawet francuskojęzycznej nazwy hotelu, nie mówiąc o adresie.

Za chwilę w słuchawce usłyszałam kilka krótkich sygnałów i... cisza. Rozłączył się. Pewnie zmienił zdanie. Dlaczego mnie to nie dziwiło? Na pewno zastanowił się, popukał w czoło i stwierdził, że taki gość jak on zasługuje na bardziej erotyczne spędzenie wieczoru niż bawienie się w poszukiwacza zaginionej babki. - Ze mną mu znowu nie wyszło, więc znajdzie na dzisiejszy wieczór inną ofiarę - mruczałam do siebie, człapiąc zrezygnowana w kierunku stacji metra.

- Lena, zaczekaj! - usłyszałam za sobą znajomy głos. Wiktor biegł w moim kierunku.

- Coś nas musiało rozłączyć - mówił zdyszany. - A nie wróciła po prostu do hotelu? - dopytywał.

- Dowiemy się, jak dziewczyny tam dotrą. Mają zadzwonić.

Po tych słowach przypomniałam sobie, że ja też obiecałam zadzwonić do nich, gdy znajdę Wiktora. Wyciągnęłam

komórkę i wykręciłam numer Marty. Nie odbierała. „Pewnie są w metrze i nie słyszą dzwonka” - pomyślałam.

- Słuchaj, wróćmy do galerii. Popytam się, czy ktoś ją widział - zaproponował Wiktor.

„No tak - pomyślałam - on w odróżnieniu od nas biegle włada francuskim. Jego małe dochodzenie może przynieść jakieś odpowiedzi”.

Poszliśmy do kawiarni, gdzie po raz ostatni widziałyśmy Weronikę.

- Słuchaj, a masz może jakieś jej aktualne zdjęcie przy sobie? - zapytał, zanim zaczął rozmawiać z kelnerem. - Byłoby łatwiej prowadzić rozmowę.

- Nie, nie mam - odpowiedziałam smutno. - Chociaż poczekaj! - doznałam olśnienia.

- Przecież dzisiaj rano robiłyśmy sobie z dziewczynami wspólne fotki pod Luvrem. Mam jej zdjęciem, i to najbardziej aktualne z możliwych.

Wyciągnęłam aparat fotograficzny i odszukałam odpowiedni kadr. „Matko, kiedy znowu całą czwórką będziemy się tak śmiać?” - pomyślałam, patrząc na nasze radosne twarze. Nagle zadzwoniła moja komórka.

- Lenka - mówiła Marta - tu jej nie ma. Słyszysz? W hotelu jej nie ma!

- To kiepska sprawa - odpowiedziałam cicho. - Z Wiktorem też jej nie ma.

Ustaliłyśmy, że będą teraz czekać na nią w hotelu. Może Weronika się jednak tam zjawi, a ja z Wiktorem spróbujemy jej poszukać w mieście. Jeśli do wieczora jej nie namierzemy, idziemy na policję, a zaraz potem dzwonimy do jej męża. Teraz miałyśmy tłumacza, więc na komisariacie pójdzie jak z płatką.

- No więc daj mi to zdjęcie - przytomnie wrócił do tematu Wiktor, gdy skończyłam rozmowę z Martą.

- Już daję. Jeszcze tylko zrobię zbliżenie na naszą zaginioną... - zamilkłam, bo nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

Zrobiłam maksymalne zbliżenie na twarz Weroniki i postaci w tle automatycznie również się powiększyły. Zdjęcie było w bardzo dobrej rozdzielczości, więc z całą pewnością mogłam stwierdzić, że jedną z osób stojących za nami był... Marek Leszczyński. No albo ubrany w jego kurtkę paryski sobowtór.

Wiktor zauważył zdumienie malujące się na mojej twarzy. Ale o nic nie pytał, a ja nie zamierzałam mu się zwierzać.

Tysiąc myśli przebiegło mi przez głowę. Ale wręczyłam mu aparat z powiększoną na wyświetlaczu piękną twarzą Weroniki.

Pokazując kelnerowi zdjęcie, zamienił z nim kilka słów. Jedyne, co zrozumiałam ze słów kelnera, to Sharon Stone. No tak, Francuzi potrafią docenić urodę kobiet.

Wiktor przetłumaczył mi jego słowa. Kelner doskonale pamiętał ładną, zielonooką blondynkę, posługującą się jakąś dziwną odmianą języka migowego, która wypila kawę, zjadła croissanta i po godzinie wyszła.

Wiktor porozmawiał jeszcze z kilkoma osobami z obsługi muzeum, za każdym razem pokazując zdjęcie. Jednak żadna z nich nie zwróciła uwagi, czy i kiedy Weronika wyszła z galerii.

- Jest tu, co prawda, monitoring i można by sprawdzić, co zarejestrował, ale na to są odpowiednie procedury i żeby je uruchomić, musi być ku temu formalna podstawa, na przykład polecenie z policji - tłumaczył mi Wiktor.

- Może po prostu znudziła się czekaniem na was i poszła w miasto - powiedział.

- Może - odpowiedziałam. I zaraz dodałam: - Przejdę się, może gdzieś ją wypatrzę. Ta sierotka w ogóle nie orientuje się w terenie.

- Idę z tobą, co dwie pary oczu, to nie jedna - znowu zaoferował pomoc.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. „Za godzinę, półtorej zrobi się ciemno” - myślałam.

- Słuchaj, niedaleko stąd mam zaparkowany samochód. Zrobimy rundę po centrum - zaproponował.

Zgodziłam się.

Przemierzaliśmy Paryż. Atmosfera w aucie była napięta jak guma w za mocno napompowanym balonie. Siedzieliśmy w milczeniu. W ogóle nie zwracałam uwagi na te wszystkie słynne budowle, które mijaliśmy po drodze. Wpatrywałam się tylko w ludzi, marząc o tym, żeby w końcu wypatrzyć jej sylwetkę. Raz nawet zdawało mi się, że już ją namierzyliśmy. Na mój rozkaz: „Stój!!!!”, Wiktor gwałtownie zahamował, czym prawie nie spowodowaliśmy totalnego paryskiego karambolu. Jazda samochodem po Paryżu to prawdziwa droga przez mękę. Ten ruch, mnóstwo samochodów, ścisk, ronda, po których jazda odbywa się w każdym możliwym kierunku. Od ciągłego hamowania i z nerwów zbierało mi się na mdłości.

Zapadał zmrok. Jeździliśmy i jeździliśmy. Czas włókł się niemiłosiernie. Zaczęły nachodzić mnie czarne myśli.

„Może ten cały Marek Leszczyński ją porwał? To nie może być zbieg okoliczności, że ciągle pojawia się w tych samych miejscach, co ja. Teraz nawet w Paryżu, pod Luwrem. Może od początku chodziło mu o Weronikę, śledził mnie, żeby się do niej dostać. Może to jakiś psychopata zauroczony jej wdziękami. W końcu widział ją nawet bez spódnicy - ze zdenerwowania jakieś groteskowe myśli cisnęły mi się do głowy. Pewnie to on łąził za nami w tej ciemnej ulicy. A ja mu

powierzyłam wszystkie moje rzeczy. Ale co tam rzeczy! Przyjaciółkę mi porwał!"

- Jedziemy na policję - wykrzyknęłam, aż Wiktor uniósł się dwa centymetry na fotelem.

- Dobra!

Skrecił gwałtownie w prawo i za chwilę parkowaliśmy pod komisariatem. Już wchodziliśmy do środka, gdy zadzwonił mój telefon. Zaczęłam nerwowo grzebać w mojej obszernej torbie. Wymacałam chusteczki, portfel, mapkę paryskiego metra, małą butelkę wody mineralnej, puderniczkę. Błądziłam po omacku ręką z jednej strony torby na drugą. Torba falowała, jakby żyła własnym życiem. I nie zamierzała oddać telefonu. Zupełnie jakbym toczyła walkę z własną torebką. Aż jeden z policjantów parsknął zupełnie nieregulaminowymi śmiechem. Kiedy w końcu udało mi się wydobyć komórkę, posłałam mu pełne wyrzutu spojrzenie. „Może moja kochana przyjaciółka już nie żyje, a on głupio rechocze pod wąsem” - przeszło mi przez myśl. Funkcjonariusz z powrotem przybrał policyjny wyraz twarzy.

- Słucham? - powiedziałam drżącym głosem.

- Lenka, alarm odwołany. Wracaj do hotelu. Ta wariatka po prostu poszła sobie na zakupy. Właśnie wróciła zadowolona z mnóstwem markowych tobołków. Wzięła sobie taksówkę, a adres hotelu miała na jakimś kolorowym folderze, który rano wzięła z recepcji.

- Aha - tylko tyle zdołałam z siebie wydusić.

Czułam, jak miejsce napięcia zajmuje błogie uczucie ulgi, którą jednak już za chwilę wyparła narastająca wściekłość.

- O rewuar - pożegnałam się z przepaszającym, nieco głupkowskim uśmiechem. I widząc zaskoczenie na twarzy policjanta, szybko okręciłam się na pięcie i dając Wiktorowi sygnał do odwrotu, wyszłam.

Grzecznie potruchtął za mną.

- Przepraszam cię za to całe zamieszanie - mówiłam zgnębionym tonem. - Straciłeś pół dnia na bezsensowne poszukiwania mojej wcale nie zagubionej, zwariowanej przyjaciółki. Dotarła do hotelu, cała i zdrowa.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, kamień spadł mi z serca. Odwiozę cię do hotelu - zaproponował.

Wróciliśmy do samochodu.

- Jeśli będziesz jeszcze kiedykolwiek potrzebowała mojej pomocy, nie krępuj się, dzwoń o dowolnej porze dnia czy nocy - jego głos brzmiał szczerze.

Poczułam, że muszę się jakoś zrewanżować.

- Wiesz, Wiktorze - zaczęłam nieśmiało. - Jeśli twoje zaproszenie jest jeszcze aktualne, to chętnie pójdę z tobą na kolację.

- Moje zaproszenie jest jak najbardziej aktualne - uśmiechnął się szeroko.

- To zawieź mnie teraz do hotelu, proszę. Przebiorę się w dziesięć minut i możemy ruszać.

Do hotelu wpadłam jak bomba z zamiarem ostrego obsztorcowania Weroniki. Ale przed drzwiami pokoju numer 203 stały Julka i Marta, blokując do nich dostęp własnym ciałem.

- Lenka, ona trochę wypila i śpi, nie budź jej. Ten twój Wiktor jej trochę w głowie pomieszał - powiedziała Marta.

- To nie jest mój Wiktor - odparowałam.

- Lepiej niech odpocznie. W końcu jutro znowu czeka ją zwiedzanie, za którym chyba nie przepada.

- Tak, zwiedzanie sklepów idzie jej dużo lepiej. Wtedy buty na zajebicie wysokich obcasach jej nie przeszkadzają - podsumowałam z przekąsem. Ale złość powoli ze mnie uchodziła. - Dobra, to wy jej tu pilnujcie, a ja jednak wybiorę się na tę kolację z Wiktorem. Ofiarnie pomagał mi w

poszukiwaniach. Nie czekajcie na mnie. Połóżcie się spać. Jutro pogadamy.

- Jasne, idź i baw się dobrze.

Wzięłam szybki prysznic. Włożyłam moją nową szmaragdowozieloną sukienkę z dużym dekoltem. Zrobiłam delikatny makijaż. Uczesałam włosy. „Jeszcze perfumy i jestem gotowa” - pomyślałam, przeglądając się z zadowoleniem w trochę przymałym lustrze. Najpierw obejrzałam górę. Potem weszłam na krzesło i zlustrowałam dół. Było nieźle.

Wystrojona, wyszłam przed hotel i wsiadłam do eleganckiego czarnego samochodu Wiktora.

Spojrzał na mnie z uznaniem i ruszył z piskiem opon.

Restauracja oszołamiała przepychem i elegancją. Z sufitów zwieszały się kryształowe żyrandole. Na podłodze marmurowa posadzka. Ściany obite pluszem w kolorze czerwonego wina. Tu i ówdzie stały marmurowe posągi greckich bogów. Wszystko wykonane z naturalnych, szlachetnych materiałów.

Kelner wskazał nam stolik dla dwóch osób. Usiedliśmy na wyściełanych antycznych krzesłach. Na atłasowym obrusie w kolorze ecru stały porcelanowe talerze, obok leżały bogato zdobione srebrne sztuce. W trójramiennym świeczniku paliły się długie pomarańczowe świece.

„Kolacja kosztuje tu pewnie majątek - przemknęło mi przez głowę. Kto tu komu miał się zrewanżować?”

- Tu jest pięknie - wyszeptałam.

- Tak piękna kobieta jak ty powinna jadać tylko w pięknych miejscach - odpowiedział z uśmiechem.

„Aha, zaczyna się - pomyślałam. Pająk zastawił pułapkę. Chyba nie myśli, że złapie taką doświadczoną muchę jak ja. Ale w sumie co ja mam do stracenia? Nawet gdybym się z

nim przespała, o czym niejedna pewnie marzy, cnoty już nie stracę.

W moim wieku dość problematyczne jest pytanie: kto w takiej sytuacji jest muchą, a kto pajakiem. Może taka przygoda w Paryżu, po ostatnich przejściach i dzisiejszym stresie, dobrze by mi zrobiła - uśmiechnęłam się do swoich myśli. Jak ja już dawno nie uprawiałam seksu! Chyba nie powiedziałam tego głośno" - wystraszyłam się.

Jedzenie było tak wykwintne, że moje średnio wyrobione podniebienie chyba nie było w stanie w pełni docenić wszystkich walorów smakowych serwowanych potraw.

Na przystawkę podano nam sześć ślimaków burgundzkich z masłem czosnkowym. Do tego oczywiście wyborne wino z dobrego rocznika. Wiktor służył mi jako osobisty kulinarny przewodnik. Potem zaserwowano zupę z homara i zieloną sałatę z octem balsamicznym. Następnie na stół wkroczyła pieczeń z piersi młodej kaczki w sosie żurawinowym i garniowanymi warzywami. Wszystko oczywiście cały czas podlewane winem. Kiedy doszliśmy do deseru, na który podano creme brulee, nasza mnie obawa, czy moja dość obcisła sukienka wytrzyma i czy nie strzeli w najmniej odpowiednim szwie.

W trakcie jedzenia Wiktor bawił mnie rozmową. Objasniał, co aktualnie jemy. Wiedział nawet w odróżnieniu do mnie, jak to ugotować. Oboje śmialiśmy się z tego, jak nieporadnie zabierałam się za ślimaki i jak pełna obaw próbowałam zupę z homara. Gdzieś przy kaczce zeszło na poważniejsze tematy.

- A wiesz, że wtedy kochałem się w tobie - wypalił nagle Wiktor.

- Tak jak w kilkunastu innych studentkach, albo i lepiej - odpowiedziałam ze śmiechem.

- Nie, one po prostu pchały mi się do łóżka, a ja nie miałem wtedy powodu, żeby im odmawiać. Dopóki nie poznałem ciebie. Gdy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że z tobą chcę być na poważnie. I nie chodziło tylko o twoją urodę, sympatyczną buzię, figurę. Będąc w twoim towarzystwie, czułem spokój i radość. Wtedy wszystko nabierało sensu.

Patrzyłam lekko zdziwiona. A on kontynuował:

- Po tym, jak tak stanowczo i boleśnie dałaś mi kosza, wyjechałem z kraju. Urażona młodzieńcza ambicja, chora duma...

Coś sobie przypominałam. Chodził za mną i wygłaszał te swoje romansowe kwestie, chyba nawet dałam mu raz w twarz, kiedy próbował mnie objąć.

- Studia dokończyłem tu, w Paryżu - kontynuował. - Długo byłem sam, co nie znaczy, że unikałem kobiet. W końcu ożeniłem się z jedną z nich, bo zaszła ze mną w ciążę. Ale nadal nie stroniłem od kobiet. Nie kochałem jej i nie czułem się kochany, a w kolejnych kochankach szukałem ciebie. Z resztą żona nie pozostawała mi dłużna. Ale to ona wystąpiła o rozwód. Nasz związek się rozpadł. Wtedy zasięgnąłem informacji o tobie. Dowiedziałem się od naszych starych wspólnych znajomych, że masz faceta, z którym jesteś szczęśliwa. Więc zrezygnowałem z próby kontaktu z tobą. Aż do dzisiejszego dnia. Gdy ujrzałem cię dziś w Luwrze, nie wierzyłem własnym oczom. Pomyślałem, że to chyba przeznaczenie. Nadal cię kocham, Leno! - wykrzyknął z żarem, patrząc mi głęboko w oczy.

O mało nie zakrztusiłam się kawałkiem mięsa. „Ten facet umie jednak odbudować mocno nadszarpnięte poczucie wartości, mojej wartości” - pomyślałam. Nadal nie brałam jednak jego słów poważnie. Słyszałam kiedyś o podobnych przedstawieniach w jego wykonaniu, tylko z trochę inną obsadą roli żeńskiej.

- Nie wiem, co powiedzieć, Wiktorze - odpowiedziałam.

- Nie musisz nic mówić, wystarczy, że jesteś - wyszeptał.

„Czy ja mam jakieś deja vu? - pomyślałam. Nie, chyba podobną scenę opisywał któryś z harlequinów mojej mamy. Ale OK, grajmy dalej. W końcu jestem w romantycznym Paryżu, na bajecznej kolacji z przystojnym, prawiącym mi same komplementy mężczyzną. Nie mam żadnych zobowiązań, a wino szumi mi coraz bardziej w głowie”.

- Jesteś bardzo miły - powiedziałam z uśmiechem. - Dziękuję za tę królewską kolację. A co do tego faceta, z którym byłam taka szczęśliwa... - sama nie wiedziałam, po co o tym mówię. Chyba naprawdę za dużo wypiałam. - To kilka miesięcy temu okazał się skończonym bydlakiem - zakończyłam beztroskim tonem.

- Przykro mi, że się wam nie udało - powiedział, patrząc mi głęboko w oczy.

„Cha, cha, cha - zaśmiałam się w duchu. Akurat ci przykro. Teraz na pewno zaprosisz mnie do siebie”.

- Słuchaj, a może pojedziemy teraz do mnie. Zobaczysz, jak się urządziłem w Paryżu. Pogadamy.

„Aha! Bingo!” - prawie nie krzyknęłam na głos.

- W sumie czemu nie? - powiedziałam kokieteryjnie. - Na godzinę mogę wpaść. Ale potem zamówisz mi taksówkę do hotelu. Już i tak jest bardzo późno. A jutro zwiedzamy Montmartre.

Fachowym okiem obejrzałam mieszkanie Wiktora.

- Brałeś projektanta wewnątrz - powiedziałam z uznaniem. - Widać tu profesjonalną rękę.

- Prawdę mówiąc, to kupiłem to mieszkanie niedawno i już było tak urządzone - odpowiedział z uśmiechem.

- Widzę, że całkiem ci się tu powodzi. Tak dobrze płacą za oprowadzanie wycieczek po muzeum? Co prawda nie byłę jakiego, ale jednak muzeum - zapytałam wprost.

- O, nie - zaśmiał się. - Dzisiaj wyjątkowo oprowadzałem wycieczki w zastępstwie za kolegę. To wyjątkowy i cudowny zbieg okoliczności. Kiedyś faktycznie było to moje główne zajęcie. Ale od dłuższego już czasu jestem wykładowcą historii sztuki na paryskim uniwersytecie.

- Fiu, fiu, fiu - zagwizdałam z podziwem.

Wiktor z hukiem otworzył szampana i napełnił kieliszki pieniącym się bursztynowym płynem.

- Wznieśmy toast za nasze spotkanie.

Wypiłam duszkiem.

- Smaczny. Poproszę jeszcze - wyciągnęłam w jego kierunku rękę z kieliszkiem.

Znowu wypić duszkiem.

Podszedł do mnie i delikatnie objął w pasie. Popatrzył głęboko w moje oczy. Z czułością i nadzieją. Zaczęliśmy się całować.

„O kurczę, jak on całuje - pomyślałam. Doszedł w tym chyba do perfekcji”.

Nagle przestał.

- Lenka, ale ja ciebie naprawdę kocham. Mnie nie chodzi tylko o łóżko. Udowodnię ci to.

„No nie - pomyślałam. Czy faceci zawsze muszą robić wszystko na odwrót? Czyli z seksu nici. Przecież się na niego nie rzucę”.

- Ty mnie nawet dobrze nie znasz - zaczęłam przemawiać jak do dziecka. - Jak możesz mówić o miłości? Czy ty w ogóle wiesz, co to słowo znaczy?

W moje słowa wplótł się dźwięk dzwonka.

- Dziwne, nikogo się nie spodziewam. Kto to może być o tak późnej porze? - Wiktor poszedł w kierunku drzwi, a ja za nim.

W drzwiach stał wkurzony facet w piżamie. Wyglądał jak Louis de Funes, trąkotał i gestykułował dokładnie tak samo,

jak słynny żandarm z Saint Tropez. Tylko mundur miał ciut inny, niebieski w żółte kaczuszki. Czułam się trochę jak w kinie. Brakowało mi tylko napisów po polsku.

Wiktor wymienił z nim kilka zupełnie niezrozumiałych dla mnie zdań i rzucił w moim kierunku.

- Lenka, przepraszam cię. To dozorca, mówi, że alarm w moim samochodzie tak wyje, że obudził połowę mieszkańców. Muszę sprawdzić, co się dzieje. Zaraz wracam.

- Idę z tobą - odpowiedziałam. - Od razu odwieziesz mnie do hotelu.

- Nie zostaniesz jeszcze trochę? - zapytał z żalem w głosie. - Jestem strasznie śpiąca. Muszę wracać do dziewczyn.

I tak mam wyrzuty sumienia, że je zostawiłam na cały wieczór. W końcu to ja je tu przyciągnęłam.

- Ale spotkamy się jutro? - spytał z nadzieją. Nie chciałam psuć tego wieczoru.

- Zdzwonimy się - obiecałam.

- To chociaż daj mi, proszę, swój numer telefonu - powiedział z błaganiem w oczach.

Dałam.

Zeszliśmy na parking. Samochód migał i buczał, ale cała reszta wydawała się w porządku. Wsiedliśmy i ruszyliśmy w kierunku hotelu.

Następnego dnia obudziłam się z lekkim kacem, i to nie tylko po winie.

„Może on mnie naprawdę kocha - myślałam. A ja chciałam się tylko z nim zabawić. Chyba nawet dokonać aktu zemsty na Piotrze - poddałam się szybkiej psychoanalizie. Do czego to doszło? Żebym ja, taka przyzwoita dziewczyna, zaczęła wykorzystywać mężczyzn! Wiktor mi się, co prawda, podoba, ale ja go przecież nie Kocham, a na dodatek nie umiałabym mu zaufać. Poza tym nie mam na razie dość siły,

żeby zaangażować się na poważnie. I nie wiem, czy i kiedykolwiek się to zmieni".

- O, jesteś - powiedziała z ulgą Julka, gdy tylko otworzyła oczy. - Jak udała się wczorajsza kolacja?

- Było przepysznie - odpowiedziałam z szerokim uśmiechem.

- No, no, ładna by z was była para - rzuciła wesoło. - Wiesz, on nawet jest podobny do Richarda Gere - wypaliła. - Dlaczego go tak obcesowo traktowałaś wczoraj w muzeum?

- Bo żadna ze mnie Pretty Woman - wypaliłam. - Znam go z czasów młodości. Próbował mnie wtedy poderwać. Ale ja nigdy nie gustowałam w Don Juanach.

- Ale na kolację z nim poszłaś - zaczęła powiedziała Julka.

- Spożywanie posiłku w towarzystwie jeszcze chyba nikomu krzywdy nie zrobiło - odrzekłam ze śmiechem, przemilczając fakt, że był po nim krótki, bo krótki, ale ciąg dalszy. W końcu za papierową ścianką była Weronika. I wolałam jej nie denerwować intymnymi szczegółami z życia Wiktora.

Nagle zabrzęczał mój telefon. Spojrzałam na ekran komórki. Dzwonił Wiktor.

- O wilku mowa - mrugnęłam do Julki. - W tym wypadku podwójnym.

- Witaj, Lenka - zaczął. - Dobrze spałaś? Kiedy się zobaczymy?

- Wiesz, Wiktor, dzisiejszy wieczór chcę spędzić z dziewczynami. Jutro mamy w planach wieżę Eiffla wieczorową porą, pojutrze zaliczamy nocny rejs po Sekwanie. Więc na razie to wszystkie wieczory mam zajęte - próbowałam się wykręcić.

- Znajdę cię - powiedział tajemniczo. - Bawcie się dobrze. Całuję.

Przerwał połączenie.

Minę musiałam mieć niewyraźną, bo Julka patrząc na mnie, wykrzyknęła:

- O matko, Lenka, co się stało?

- Tak właściwie to nic. Życzył nam dobrej zabawy.

- Dziewczyny, pobuuuudka! - zapukałam w ściankę. -
Zwiedzamy dziś artystyczną dzielnicę Montmartre, a
wieczorem zrobimy spacer pod Łuk Tryumfalny.

- Ty nas zamęczysz! - krzyknęła Weronika z drugiego
pokoju. - Ty, ty...

Nie mogła znaleźć słowa, żeby mi dopiec.

- ...pani kulturalna - dokończyła z francuskim „r” w
ostatnim słowie.

- Nie jęczeć, wstawać. Idziemy na śniadanko. Musimy
poważnie pogadać - musztrowałam dziewczyny.

Po krótkiej toalecie poszłyśmy się pożywić. Chociaż we
Francji jest to chyba dość trudne. Bo oni na śniadanie jedzą
jak wróbelki i tak też karmią swoich gości. Ale kawę mają
wyśmienitą.

- Po co wzięłaś aparat fotograficzny? Będiesz robić
reportaż o głodowych porcjach śniadaniowych w Paryżu? -
spytała Marta.

- Muszę wam coś pokazać - odpowiedziałam tajemniczo.

I pokazałam im postać Marka na naszym wspólnym
zdjęciu. A potem streściłam historię kilku dziwnych zbiegów
okoliczności, podczas których natykałam się na niego w
Polsce. Na koniec opowiedziałam o ostatnich wydarzeniach
poprzedzających wyjazd, kiedy musiałam spakować cały
dobytek, i on zaoferował się, że go przechowa, oraz jak
odziana w piżamę, w nocy, poszłam do niego z prośbą o
przekazanie kluczy Piotrowi, co zresztą wykonał chyba zbyt
gorliwie.

- I co wy o tym myślicie? - spytałam w końcu.

- Jak nic zabujał się w tobie - podsumowała Weronika. - I teraz szaleńczo zakochany śledzi każdy twój krok - ostatnie trzy słowa powiedziała scenicznym, złowróżbnym szeptem.

Aż mnie ciarki przeszły. „Dwóch zakochanych to za dużo na jedną kobietę - pomyślałam. Mam nadzieję, że nie jest groźny”.

- Może zadzwoń do niego i spytaj, o co chodzi - zaproponowała Julka.

- Może to i dobry pomysł. Ale nie przyznam się, że wiem, że jest w Paryżu. Po prostu spytam, co u niego.

Wykręciłam jego numer i z bijącym sercem czekałam, aż odbierze telefon, co niestety nie nastąpiło. Włączyła się jedynie jego poczta głosowa: „Pan Marek Leszczyński nie może odebrać telefonu. Proszę nagrać wiadomość” - mówił kobiecy głos.

- Cześć, tu Lena - zaczęłam, siląc się na swobodę. - Jestem ciekawa, co u ciebie słychać. Odezwij się, proszę. Paryż jest rzeczywiście piękny.

- No to sobie pogadałam, z automatyczną sekretarką - podsumowałam.

- A właśnie, co do romansów - zwróciłam się do Weroniki - to rozumiem, że atmosfera Paryża rozgrzała twoją namiętną, artystyczną duszę, ale pamiętaj, że masz męża i szczęśliwą rodzinę i nie bądź Piotrem w damskim wydaniu, proszę cię. Zaskoczona Weronika, próbowała się bronić:

- Ja przecież niczego złego nie robię. Popatrzyłam sobie trochę na męskie ciacho i wielkie halo. A poza tym, moja droga, mój mąż święty też nie jest! Gdybyście widziały, jak on patrzy na pośladki naszej dwudziestoletniej pomocy domowej - nagle jej ton zmienił się z buńczuczności na pełen skargi i żalu.

- A jak ci mówiłam, żebyś nie zatrudniała studentki, to mnie nie słuchałaś - odparowała jej Marta. - Czego ty

wymagasz od chłopca? To jest od nich niezależne, taki automat dany przez naturę - wypięte damskie pośladki równa się: spójrz, czy ci pasują. Nie mówię, że korzystają z tej wiedzy. Przynajmniej nie wszyscy, ale od patrzenia nic ich nie powstrzyma. No, może choroba albo inna orientacja seksualna.

- Ty się ciesz, że masz zdrowego męża - dorzuciła ze śmiechem Julka.

- I nie geja - dodała Marta. - Jedna moja koleżanka tak właśnie trafiła. Przez dwa lata miłość między nią i jej mężem kwitła, i to podobno ta fizyczna też. Wszystkie babki jej zazdrościły, jak opowiadała, jaki on troskliwy, szarmancki, jak dba o siebie, jak się super ubiera. Nawet po domu chodził w koszuli, krawacie i spodniach od Armaniego czy jakiegoś tam innego. Z podziwu kręciłyśmy główkami, myśląc o naszych przasných mężach, odzianych w te swoje flanelowe koszule, które według nich są wystarczająco eleganckie nawet na proszoną herbatkę u królowej angielskiej. Opowiadała, jak jej misiu nie może się dziecka doczekać. Aż w końcu przyłapała go w łóżku ze swoim kolegą z pracy. Szszok! Na szczęście nie zaszła w ciążę, ale do dzisiaj nie może się pozbierać.

- O matko - jęknęła przerażona Julka.

- Słuchajcie - próbowałam ogarnąć towarzystwo. - Za piętnaście minut wymarsz. Zbieramy się.

- Może ja dzisiaj nie pójdę - zaczęła jęczeć Weronika. - Nogi mnie bolą.

- Werka, idziesz, nie ma gadania. Musimy cię mieć na oku. Ubierzesz moje trampki, więc daruj sobie dziś te seksowne kreacje i odziej się wygodnie, na sportowo - zareagowałam.

- Nie mam nic sportowego - odrzekła z niekłamaną satysfakcją.

- Nawet dzinsów? - zdziwiłam się.

- Nie!

- Taka wielka waliza i nie ma w niej dzinsów? - zdziwiła się Marta. - Pożyczę ci moje. Mam trzy pary.

Widząc skrzywioną i niechętną minę Weroniki, rzuciłam jedyną przynętę, jaką udało mi się na chybcika wymyślić.

- Chodź. Na wzgórzu Montmartre jest pełno artystów, którzy tylko czekają, żeby machnąć portret kogoś o tak wspaniałej urodzie, jak twoja.

Nie pomyliłam się. Zdziałało.

- OK, idę z wami - odpowiedziała szybko.

Po wyjściu z metra ruszyliśmy w stronę wzgórza. Szliśmy małymi, wąskimi uliczkami pnącymi się powoli w górę. Na jednej z nich dosłownie co kilka metrów znajdował się zakład fryzjerski, w którym czarnoskóre fryzjerki obsługiwały czarnoskóre klientki.

- Ale oni tu mają zapotrzebowanie na usługi fryzjerskie - nie mogła się nadziwić Marta.

- A patrzcie, ile peruk w środku! - wykrzyknęła Weronika. - O co tu chodzi? Gola się na łyso, a potem paradują w perukach? - kombinowała na wesoło.

W końcu doszliśmy do schodów prowadzących na szczyt. Ledwo zaczęliśmy się na nie wspinać, już było słychać jęczącą Weronikę.

- Boże, ile jeszcze tych schodów muszę pokonać?! - szła, kłapiąc moimi trampkami w za dużych dzinsach Marty.

- Ale za to jaki będzie potem widok - pocieszała Julka.

- Myślisz, że mnie zaskoczy? Domek, domek, ulica, domek, większy domek, kościół, domek... - gaworzyła Weronika. .

- A wieża Eiffla? - spytała Marta.

- Ta kupa żelastwa? Nie w moim guście. Wiecie, że sami paryżanie chcieli ją rozebrać kilka lat po jej wybudowaniu, bo uważali za brzydactwo, i słusznie.

- Nie wyobrażam sobie Paryża bez wieży Eiffla - powiedziałam. - Widziałam na zdjęciach, jak pięknie oświetlona jest nocą. Muszę to zobaczyć.

- Czuję się, jakbym wchodziła na tę wieżę - sapała Weronika.

- W sumie szczyt bazyliki Sacre Coeur położonej na tym wzgórzu jest drugim, właśnie po wieży, najwyższym punktem Paryża. Więc trochę nabierzemy wysokości - podsumowałam.

- Piękna jest ta bazylika - zachwycała się Julka. - Co o niej wiesz, Lenka?

- Mam przewodnik. Poczytamy sobie za chwilę.

W końcu wdrapałyśmy się na szczyt wzgórza. Widok na położony w dole Paryż był cudowny. Zwłaszcza że dopisywała nam słoneczna pogoda i wszystko było pięknie oświetlone. Nawet Weronika wyciągnęła aparat i zaczęła pstrykać zdjęcia.

- Chodźmy pod bazylikę - powiedziałam.

Usiadłyśmy na schodach i zaczęłam czytać. Okazało się, że bazylikę Najświętszego Serca Jezusowego zbudowano na przełomie XIX i XX wieku jako wotum dziękczynne po wojnie francusko - pruskiej za ocalenie stolicy. Miejsce na wzgórzu miało zapewnić dominację nad miastem. Zaprojektował ją Paul Abadie w stylu romańsko - bizantyńskim. Budowa trwała czterdzieści lat. A kamień, z którego jest zbudowana, to bielejący z biegiem lat biały granit zwany trawertynem.

- Faktycznie wygląda jak wielka biała beza, ale mi się podoba - zapewniła Marta.

Zachwyciło nas też bogato zdobione wnętrze kościoła z niesamowitą mozaiką nad prezbiterium.

- Chodźmy teraz na Plac du Tertre.
- A co to takiego? - zapytała Weronika.
- Tam właśnie przesiadują malarze. W końcu Montmartre od XIX wieku jest dzielnicą bohemy. Malował tu Picasso, Degas, van Gogh, Monet i wielu innych znanych artystów. Może jakaś przyszła sława namaluje ci portret? - uśmiechnęłam się do Weroniki.

Zadowolona ruszyła z kopyta.

Plac tętnił życiem. Na środku pod kolorowymi daszkami w restauracyjnych ogródkach biesiadowali ludzie. Kłębiący się różnokolorowy tłum otaczał stanowiska malarzy, którzy powystawiali swoje obrazy. Niektórzy malowali portrety siedzących na przeciwko modeli. Inni krążyli przy swoich dziełach w poszukiwaniu chętnych do portretowania.

Weronika kroczyła wolno wzdłuż obrazów, przyglądając im się uważnie. Mrużyła oczy, przechylała głowę, układała usta w fantazyjny dzióbek, po czym kręciła z dezaprobatą głową i szła do następnego malarskiego stanowiska. W ten sposób zatoczyłyśmy koło i po pół godzinie znalazłyśmy się w punkcie wyjścia. Weronika nadal lustrowała obrazy, zaczynając drugą rundę.

- Hej, Werka, oglądasz drugi raz to samo - rzuciła Marta.

- Taaak? Głodna jestem - wypaliła nagle.

- A propos jedzenia - znowu wzięłam na siebie funkcję przewodnika. - To tutaj właśnie znajduje się lokal „La mere Catherine”, gdzie narodziło się słowo „bistro”. Tak krzyczeli bowiem okupujący stolicę Francji w 1814 roku rosyjscy Kozacy, kiedy poganiali kelnerów.

- Dobrze - powiedziała Julka.

- Chodźmy poszukać jakiegoś bistro w takim razie - z uśmiechem zaproponowała Marta. - Najlepiej z obrazkowym menu - dodała, mrugając do Julki.

Znalazłyśmy, zjadłyśmy i siedząc na drewnianych krzeselkach na zewnątrz, chłonełyśmy Paryż.

- Jakie piękne bezchmurne niebo - zauważyła Julka.

- Tak, totalny błękit paryski - dodałam. Zamknęłyśmy oczy i wystawiłyśmy twarze do słońca.

- Jak przyjemnie - mruzczała Julka.

Siedziałyśmy tak dłuższą chwilę. Prawie nie zasnęłam z tej błogości. Aż nagle poczułam, jak słońce zasłania jakąś ogromna, ciemna chmura.

„To niemożliwe” - pomyślałam. Otworzyłam oczy. Nade mną stał uśmiechnięty od ucha do ucha Wiktor z ogromnym bukietem czerwonych róż.

- To ty?!!! - krzyknęłam, aż dziewczyny podskoczyły na krzeselkach.

- Aha! To dlatego kazałyście mi rano ubrać się jak kloszard. Żeby nie robiła ci konkurencji! - tonem odkrywcy spisku powiedziała Weronika. Ale widząc pełne wyrzutu spojrzenie Julki, szybko dodała: - No, żartuję przecież.

Chyba odpuściła, przez wzgląd na biedną, porzuconą przyjaciółkę.

- Mogę cię porwać na minutkę? - zapytał z prośbą w oczach Wiktor.

- Idź, dziewczyno! - krzyknęła Julka, a Marta zaczęła machać dłonią, jakby odpędzała się od uprzykrzonej muchy.

Odeszliśmy kawałek na taras widokowy.

- To dla ciebie, Lenka - wręczył mi bukiet. - Pięknie wyglądasz. Stęskniłem się już za tobą.

- Jak mnie znalazłeś? - spytałam zaciekawiona, biorąc od niego kwiaty.

„Teraz będę musiała spacerować z tych wiechciem” - pomyślałam. Ale zaraz sama siebie zganiłam w myślach za zupełny brak serca.

- O Paryżu wiem wszystko. Nawet to, w którym aktualnie jego punkcie się znajdujesz. Musiałem cię zobaczyć - odpowiedział poważnie, nie odrywając wzroku od moich oczu.

„Ojoj, niedobrze, wkraczamy na grząski teren”.

- Ale nie będę dłużej zabierał ci czasu. Opiekuj się przyjaciółkami. Wpadnę wieczorem.

- Wieczór spędzam dziś z dziewczynami.

- Tak, rozmawiałem z nimi. Idziecie na Łuk Tryumfalny, kolację, a potem porywam cię ja. Nie będą się gniewać - powiedział. - Mają już swoje plany - dodał z tajemniczym uśmiechem i zniknął.

- Słucham? Rozmawiałem z nimi? Kiedy? Co tu się wyrabia? Co tu w ogóle się wyrabia w tym Paryżu?! - mruzczałam do siebie, bo jego już nie było. - Teraz ja sobie z nimi porozmawiam.

- Nie zabijesz nas? - Julka zrobiła oczy cocker spaniela.

- Jak możecie, wy, moje przyjaciółki, spiskować za moimi plecami z facetem, którego w ogóle nie znacie?

Klapnęłam ciężko na krzesło.

- Wczoraj wieczorem, jak się kąpałaś, przyszedł i poprosił, żebyśmy rano SMS - em dały mu znać, jakie mamy plany na dzisiejszy dzień - tłumaczyła się Julka.

- Przepraszam, mnie do tego, Lenka, nie mieszaj, ja wtedy spałam jak zabita - wtrąciła Weronika.

- No i dziś rano, jak powiedziałaś, że kolacja była udana, to z łazienki wysłałam tego SMS - a - wystękała Julka.

- A nie słyszałaś tego fragmentu o Don Juanie? - wzięłam się pod boki.

- Wiesz, ludzie się zmieniają. Trzeba dać sobie szansę poznać ich na nowo - odpowiedziała.

„Co za niepoprawna romantyczka” - pomyślałam.

- Miałyśmy razem pobalować dziś wieczór, a słyszę, że wy już macie swoje plany beze mnie - mówiłam trochę obrażonym tonem.

- Nie gniewaj się, Lenka. Wiktor załatwił nam bilety na francuską operę na dziś wieczór, a właściwie na jakąś specjalną nocną premierę. Podobno dostał kilka biletów, a sam nie może iść, bo zabiera cię na randkę. Dobrze ci to robi - przekonywała Marta.

- Łatwo was przekupić. Wystarczy wam pomachać przez noskiem bilecikami na operę i już jesteście jego współpracownikami.

- O przepraszam, ja do żadnej opery nie idę. Wybieram się dziś do Moulin Rouge - ze zmysłową miną wypaliła Weronika.

Popatrzyłyśmy na nią jak na kosmitkę.

- Ale chyba nie w sprawie pracy? - trochę ironicznie spytała Marta.

- No wiesz, cyckami świecić nie zamierzam - oburzyła się Weronika.

- Ale idziesz je oglądać! - podsumowała Marta. - Wiesz, z tą pracą to wcale nie jest takie nierealne. Moja jedna koleżanka... - zaczęła.

- Ta od geja? - upewniała się Julka.

- Nie, inna, taka księgowa, piękna dziewczyna zresztą, wysoka, szczupła z kilometrowymi nogami. Przyjechała sobie na wycieczkę do Paryża, taką autokarową, z koleżankami i kolegami z pracy. I wybrali się razem do Moulin Rouge. Tak jej się spodobało, że postanowiła wystartować w castingu. Kiedyś w czasach licealnych tańczyła w zespole ludowym. Wiecie, takie stroje pasiaste i wianki na głowie. I wyobraźcie sobie, że ją przyjęli! Normalnie rzuciła księgowość dla tańca w Moulin Rouge.

- Niesamowite - westchnęła Julka, mierząc Weronikę od stóp do głów.

Patrząc na jej zaaferowaną twarz, nie mogliśmy z Martą powstrzymać się od śmiechu.

- No wiecie co, jaja sobie ze mnie robicie. Ja tam idę się rozerwać, a nie fikać nogami - oburzyła się Weronika. - Ponoć niezłe męskie ciacha tam tańczą. I wypić można.

- Co ty masz z tymi ciachami? - przerwała jej Marta. - Jak masz ochotę na ciacho, to leć do cukierni.

- Możecie się do mnie przyłączyć, jak chcecie - kontynuowała niezrażona Weronika.

- Wczoraj na mieście spotkałam takiego gościa, który zapewniał mnie, że mogę przyprowadzić przyjaciółki. Z wejściem nie będzie problemu. Marta, odwiedź koleżankę.

- Z tego, co słyszałam, to jakiś Turek ją wyhaczył i już nie robi w tym fachu. Teraz mieszka w Turcji, nosi chustkę na głowie i niańczy gromadkę dzieci - odpowiedziała Marta.

- Ja jednak wybiorę operę - stwierdziła Julka.

- Chyba musisz iść sama - podsumowała Marta, patrząc na Weronikę.

- Werka, jaki znowu facet? - zapytałam zaniepokojona.

- Chodził z ulotkami z Moulin Rouge i zapraszał.

- A jak ty się z nim dogadałaś po francusku? - spytała zaciekawiona Marta.

- Ale on mówił doskonale po polsku.

I znowu byłam pełna obaw. Czy nasza wspaniała niedoszła gwiazda filmowa nie sprowadzi jakichś kłopotów na swoją piękną, ale bardzo narwaną głowę?

Wróciłyśmy do hotelu i zmęczone położyłyśmy się na łóżkach. Oczy same się zamykały, ale nie miałam zamiaru walczyć z sennością. Dobrze jest od czasu do czasu zafundować sobie poobiednią drzemkę. W pewnym wieku taki

popołudniowy sen działa na kobietę jak najlepszy krem liftingujący. Skorzystałyśmy więc z tego darmowego eliksiru młodości.

Po pół godzinie zarządziłam pobudkę i wybrałyśmy się na zwiedzanie Łuku Tryumfalnego.

Miękkie światło zachodzącego słońca oświetlało monument, czyniąc z niego wymarzony obiekt fotografii.

- Wznoszony, by uświetnić zwycięstwa Napoleona, który podobno po wygranej bitwie pod Austerlitz obiecał swoim żołnierzom: „Powróćcie do domu pod łukiem tryumfalnym”. Wzorowany na łuku Konstantyna w Rzymie - znowu posłużyłam się przewodnikiem.

- Piękne są te płaskorzeźby - zachwyciła się Julka.

- Przedstawiają sceny bitewne i ważne dla Francji wydarzenia. Są tu też nazwiska trzystu osiemdziesięciu sześciu oficerów napoleońskich, w tym siedmiu Polaków - wyjaśniłam.

- Dla kogo płonie ten znicz? - zapytała Julka.

- W roku 1920 pod Łukiem Triumfalnym pochowano szczątki nieznanego żołnierza poległego w bitwie pod Verdun, a w 1923 roku rozpalono tu wieczny płomień - szybko odszukałam w książce.

- Idziemy na górę, na taras widokowy - zdecydowałam. - Trochę ruchu dobrze nam zrobi przed kolacją.

- O nie, znowu schody - marudziła Wera.

- Nie ma zwiedzania bez Wery narzekania - zaczęła rymować Marta.

- Wspinamy się na wysokość pięćdziesięciu metrów - oznajmiłam. - O wielkości łuku niech świadczy wyczyn Charles'a Godefroya, który w 1919 roku w celu upamiętnienia zakończenia I wojny światowej przeleciał samolotem przez jego wnętrze.

Gdy weszliśmy na górę, roztoczył się przed nami fascynujący widok. Słońce zaszło i właśnie powoli zapadał zmrok. Trafiłyśmy na moment, kiedy dzień ustępuje miejsca nocy, ale jeszcze ostatnim tchnieniem maluje niebo pomarańczoworóżowymi pastelami. I na takim właśnie tle, gdzieś na horyzoncie, ujrzałyśmy ciemne, fantazyjne kształty nowoczesnych wieżowców z dzielnicy La Defense, a pomiędzy nimi pięknie oświetlony modernistyczny Wielki Łuk Defense. Dużo młodszy i dużo bardziej kanciasty brat zwiedzanego właśnie przez nas monumentu. Przez chwilę kontemplowałyśmy ten widok.

- Widzicie ten nowoczesny, oświetlony łuk na horyzoncie? - zapytałam.

- Tę wielką ramę? - zapytała Weronika.

- Tak, to Wielki Łuk Defense, który wraz z Łukiem Tryumfalnym i Łukiem Tryumfalnym Karuzeli położonym niedaleko Luwru, stoją na jednej osi.

- Tak, patrząc z góry na to miasto, widać w nim jakieś uporządkowanie, matematyczną myśl - powiedziała Julka,

- Dziewczyny, patrzcie na wieżę Eiffla. Co za widok! - wykrzyknęła Marta.

Faktycznie oświetlona wieża robiła imponujące wrażenie.

- I pomyśleć, że chcieli to cacko rozebrać - dziwiła się.

Stałam i patrzyłam jak zahipnotyzowana na oświetlone miasto. Pełna spokoju i zauroczona magią tej chwili. Nie docierały do mnie żadne dźwięki. Byłam sama ze sobą i z Paryżem. Całą pierśią chłonełam ten widok, który mnie wypełniał i zasklepiał wyrwy, szczeliny i pęknięcia mojej poranionej duszy. „Jak dobrze, że tu przyjechałam” - pomyślałam. Czułam jak goją się moje rany i jak z powrotem nabieram ochoty na życie.

- Lenka, Lenka, - co ci jest? - usłyszałam nagle zatroskane wołanie Julki.

- Co mi jest? - powtórzyłam zdziwiona.

- Nie odpowiadasz, stoisz nieruchomo już dłuższą chwilę i masz taki nieobecny wzrok.

- Nie, nic mi nie jest. A właściwie to jest mi wspaniale - odpowiedziałam z uśmiechem.

- To gdzie idziemy na kolację? - spytałam. - Znowu na marchewkę z groszkiem?

- Chodźmy na pizzę - powiedziała Weronika. - Tu niedaleko widziałam fajną pizzerię. Tam na pewno nie będą nas nabierać na te piękne francuskie słówka. Pizza to pizza, nawet we Francji - podsumowała. - A poza tym nie mamy za dużo czasu na celebrację posiłku, bo ja zaraz pędzę do Moulin Rouge, a wy, laski, słuchać francuskiego pienia.

„Ciekawe, gdzie ja wyląduję dziś wieczorem? - pomyślałam. I w którym rogu pizzerii pojawi się nagle Wiktor?”

Już z daleka poczułyśmy kuszący zapach włoskiej kuchni, przesycony oregano, pieczonym ciastem i sosem pomidorowym.

Weszłyśmy do środka. Przytulne, prosto urządzone wnętrze harmonizowało z unoszącymi się aromatami. Ledwo zdążyłam wygodnie rozsiaść się na wyściełanym krzeselku, a już dzwonił mój telefon.

- Tak, słucham - zaczęłam.

- Z tej strony Wiktor. Gdzie jesteś? Bo chciałbym cię porwać w jedno piękne miejsce - usłyszałam.

- To jednak nie masz czarodziejskiej kuli i nie możesz zerknąć, gdzie jestem i co jem? - zaśmiałam się.

- Kula jest w naprawie. Nie wytrzymała napięcia - zaczął humorystycznie. - Napięcia, w jakim żyję, odkąd zobaczyłem cię w Luwrze - skończył bardzo poważnie.

Podaliśmy mu adres lokalu.

- Będę za piętnaście minut - usłyszałam w słuchawce.

- Dziewczyny, mój adorator będzie tu niebawem - oznajmiłam.

Pizza była pyszna. I rzeczywiście nie było kłopotów z zamówieniem.

Byłam w połowie konsumpcji, gdy w drzwiach pojawił się Wiktor. Namierzył nasz stolik i bez ociągania ruszył w naszą stronę.

- Smacznego! - rzucił z uśmiechem, patrząc na nasze niewyszukane dania.

- Dzięki! - odpowiedziałyśmy z pełnymi ustami.

- Masz ochotę na kawałek? - zaproponowałam.

- Chętnie spróbuję - odpowiedział i wziął sobie jeden trójkącik mojej pizzy neapolitany.

- Drogie panie, jedzcie spokojnie, taksówka zawiezie was stąd wprost do opery - powiedział po przełknięciu kęsa.

- Ale my nie jesteśmy w ogóle przygotowane - powiedziała na to skonsternowana Julka.

- W takim razie taksówka zawiezie was do hotelu. Tam poczeka, aż się uszykujecie i wtedy zawiezie was do opery. A po spektaklu odwiezie.

Marta i Julka zaczęły ożywioną dyskusję z Wiktorem na temat możliwych sposobów dotarcia do opery. Nie chciały go naciągać na drogą taksówkę. On zarzekał się, że to drobiazg.

Ja natomiast, sama nie wiedząc czemu, wyłączona na chwilę z rozmowy, odwróciłam się do okna i... zamarłam z przerażenia.

Przez krótką chwilę miałam wrażenie, że po drugiej stronie okna dostrzegłam znajomą twarz Marka i wpatrzone we mnie jego oczy. W pierwszej chwili chciałam wybiec na ulicę, dorwać go i wydusić z niego odpowiedź na pytanie: Po co nas śledzi? Ale za chwilę pomyślałam racjonalnie. Nawet jeśli to był naprawdę on, to już i tak nie mam szans, żeby go dopaść. A skoro do tej pory nic nikomu nie zrobił... „To chyba

po prostu jakiś niegroźny maniak" - znowu pocieszałam się w myślach.

Odwróciłam się z powrotem do rozbawionego towarzystwa i nie pisnęłam ani słowa nikomu, nie chcąc psuć bez troskiej atmosfery opowieścią o czymś, co być może było tylko wytworem mojej wyobraźni.

- W takim razie zabiorę się z wami do hotelu - zdecydowała Weronika. - A potem zamówię sobie swoją taksówkę.

- Weronika nie gustuje w operach - wyjaśniłam Wiktorowi. - Wybiera się za to do słynnego Moulin Rouge.

- Ach, tak - odpowiedział Wiktor, kiwając ze zrozumieniem głową.

Kiedy wyszliśmy z restauracji, przed budynkiem stała już taksówka. Wiktor przez chwilę instruował taksówkarza, a ja nerwowo rozglądałam się za Markiem.

- Co ci tak głowa chodzi jak na resorach? - zainteresowała się Weronika.

- A nie, nic, rozluźniam mięśnie karku - zaczęłam płynnie poruszać szyją, zataczając nią okręgi jak na zajęciach jogi.

Ale chyba nie byłam zbyt wiarygodna, bo Weronika popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. A po chwili ni z tego, ni z owego wypaliła mi prosto do ucha głosem pełnym podziwu, ale też i zazdrości:

- Ale faceta to masz zajebistego!

Na chwilę aż mnie ogłuszyło. Pokręciłam tylko z politowaniem głową. „Zakręcona baba”.

- OK, wszystko załatwione. Możecie, panie, śmiało wsiadać - powiedział Wiktor i zrobił zapraszający gest ręką.

Dziewczyny wsiadły i gdy taksówka ruszyła, pomachały nam na pożegnanie.

- Lenka, ciebie zapraszam do mojego samochodu - powiedział.

Ruszyłam za nim niepewnym krokiem.

- A mnie gdzie zabierzesz? - zapytałam niepewnie. - Bo ja w sumie też nie jestem przygotowana na żadną galę ani nic w tym stylu.

- Jesteś bardzo dobrze przygotowana - zapewnił. - Ciepła kurtka i wygodne dzinsy to strój akurat na taką okazję.

Ruszyliśmy. Zżerała mnie ciekawość, gdzie jedziemy. Ale Wiktor milczał z tajemniczym uśmiechem na ustach. W końcu zaparkował w jakiejś uliczce i z galanterią pomógł mi wysiąść z samochodu. A potem pokazał mi czarną szarfę.

- Chcę ci zrobić niespodziankę, pozwolisz, że zakryję ci oczy i poprowadzę na miejsce?

Popatrzyłam na niego zdziwiona. „Co on kombinuje? - pomyślałam. Tak naprawdę to ja przecież nic o nim nie wiem - kalkulowałam lekko spanikowana. Widziałam jakieś mieszkanie. Podobno jego. Wiem, jaki ma samochód, a raczej jakim mnie tu przywiózł. Opowiadał mi o sobie. Ale to tylko jego wersja. Jedyne, co wiem na pewno, to to, że pracuje jako przewodnik w Luwrze. Chociaż on twierdzi, że to tylko dorywcze zajęcie. Może to jakaś mistyfikacja, a on jest w zмовie z moim byłym i czyha na mój milion? Albo popadam w paranoję - pojawiła się nowa myśl w tle. No bo chyba nie na moje ciało. Ze spojrzeń pań wynika, że w ciałach może dowolnie przebierać. Chociaż skoro jestem z nim już sama w nocy na jakiejś pustej ulicy, to chyba sprzeciw przy zakrywaniu oczu za dużo mi nie pomoże. Zresztą byłam już z nim sam na sam i nie wykazywał morderczych zamiarów. To dziwne, że pozbawianie możliwości widzenia pozbawia poczucia bezpieczeństwa, które i tak jest totalną ułudą”.

Spojrzałam na Wiktora, w jego niebieskie, łagodne oczy. „Raz kozie śmierć” - pomyślałam i kiwnęłam głową na znak zgody. Delikatnie zawiązał mi na oczach czarną, jedwabną szarfę. Objął w pasie i ruszyliśmy. Szliśmy mocno przytuleni.

Czułam ciepło jego ciała. Czułam jego przyjemny zapach z dominującą nutą wody kolońskiej. Chwilowo straciłam zmysł wzroku, ale za to inne zmysły wyostrzyły się i nawet było mi z tym przyjemnie. Co jakiś czas słyszałam jego wskazówki: „Podnieś wyżej nóżkę, będzie stopień” albo „Uwaga, teraz schodzimy z krawężnika”. Słyszałam też głosy innych ludzi. „To musi być dziwny widok - pomyślałam o sobie samej. Ale w końcu jestem w Paryżu. Tu na pewno nikt się niczemu nie dziwi .

Zatrzymaliśmy się. Wiktor zdjął mi szarfę i... oniemiałam. Byliśmy na dziedzińcu Luwru, tuż przy szklanej piramidzie. Piramida emanowała światłem! Uwięzione w środku zalewało jej szklane ściany. Rozświetlało wnętrze. Idealna w proporcjach i kształcie, dumnie przeglądała się w gładkiej tafli wody uśpionej fontanny. Teraz ona była gwiazdą, a królewski pałac zaledwie dostojnym tłem. Na posadzce stał bajecznie nakryty stół i dwa aksamitne krzesła. Plac otoczony był barierkami. Byliśmy więc sami, osłonięci od ludzkich oczu szklaną piramidą. Z głośnika zaczął płynąć niski głos Edith Piaf. „Czy istnieje bardziej romantyczna sceneria?” - pomyślałam.

- Czuję się tu jak... - przez chwilę nie mogłam znaleźć słowa. - Jak w bajce. Ale czy my możemy urządzać tu sobie kolację? - wróciłam do rzeczywistości.

- Spokojnie. Mam swoje zasługi dla tego miasta i tego miejsca. Wszystko jest legalne, a na dodatek dyskretnie pilnuje nas strażnik.

Zasiedliśmy do stołu. Wiktor napełnił szampanem długie kryształowe kieliszki, na dnie których leżały czerwone dorodne truskawki.

- Wypijmy za nasze spotkanie - powiedział i trącił swoim kieliszkiem w mój.

- Dziękuję ci za ten wieczór - powiedziałam. - Jest naprawdę wyjątkowy.

Rozejrzałam się po stole. Czarny kawior, świeża bagietka, żółto - białe sery ułożone w fantazyjne wzory, zielone winogrona, czerwone truskawki, różowe plastry łososia przystrojone plasterkami cytryny i oliwkami. A na środku bukiet z herbacianych róż. Wszystko to tworzyło oszałamiającą kolorami mozaikę. Aż poczułam się głodna, pomimo pochłoniętej niedawno pizzy wielkości koła młyńskiego. No może nie całej, bez jednego małego kawałeczka, którym poczęstowałam Wiktora. Spojrzałam na niego, w jego oczy. Ciepło, które z nich biło, obezwładniało mnie, powoli roztopiało mój obronny pancerzyk, który zbudowałam sobie po odejściu Piotra. „Kobieto, to tylko krótki flirt - w myślach upominałam sama siebie. Za dwa dni nie będzie po nim śladu. Nie daj sobie znowu poćwiartować serca, które z takim bólem się zrasta. Ten facet nie jest stworzony do monogamii, a ty nie zniesiesz dzielenia się ukochanym”.

- Seks wchodzi w grę - wypaliłam - ale nie rozkochuj mnie w sobie, błagam,

- Słucham? - mimo usilnych prób nie mógł ukryć rozbawionego zdziwienia na swojej twarzy.

- Myślę po prostu, że jako jedyna dałam ci kosza, i twoja męska duma nie może tego znieść. Chcesz więc nadrobić tamten czas i po prostu mnie zaliczyć. Ja natomiast idę na to, bo jestem porzucona, samotna i spragniona cielesnej miłości. Ale nie chcę się znowu angażować - zagrałam w otwarte karty.

- Ale ja chcę właśnie ciebie rozkochać. Seks chętnie, ale bez miłości nie wchodzi już w grę - dodał poważnie.

„Matko, co to się porobiło. Chyba zamieniliśmy się rolami - pomyślałam. Facet nie chce seksu bez uczucia, ja chcę tylko seksu bez uczucia. Coś dziwnie to wygląda”.

- Wiesz, Lenka - przysunął się blisko i ściszył głos. - Muszę ci coś zdradzić. Wiem, to zabrzmie niewiarygodnie. Ale po rozwodzie poczułem się totalnie pusty w środku. Męczyłem się sam ze sobą. Zupełnie straciłem pasję pisania. Żona zabrała dziecko i postraszyła, że nie pozwoli na kontakty syna z takim dziwkarzem. Tak się o mnie wyraziła. I niestety miała rację - Wiktor skrzywił się i nerwowo przełknął ślinę, jakby łykał gorzką pigułkę. - Wiedziałem, że masz kogoś, ale w głębi duszy wierzyłem, że jednak kiedyś będziemy razem. I... że muszę na ciebie zasłużyć. Że muszę się oczyścić. Wszystko to razem sprawiło, że postanowiłem się zmienić. Czuję, że nadszedł czas, żeby coś ze sobą zrobić. Odbyłem długą terapię. Od roku nie miałem żadnej kobiety. Jestem sam. Rzuciłem się w wir pracy. Staram się być przykładnym ojcem. Chociaż kontakty z synem nie są tak częste, jakbym chciał. To właśnie mój terapeuta wskazał mi tę drogę. Najpierw miłość, potem seks. Życie bez uczuć i wartości jest puste. Wiem, że dla ciebie to jest dziwne, że zakochałem się w tobie, mimo że nie zdążyliśmy się dobrze poznać. A co z miłością od pierwszego wejrzenia, któremu towarzyszy to mocne przekonanie: to jest ta osoba, z nią chcę spędzić życie?

- Nie wiem, co powiedzieć - jąkałam się. - Chyba się trochę skompromitowałam.

- Nie, dlaczego? Cieszę się, że cię pociągam - uśmiechnął się. - Nawet nie wiesz, jak ty pociągasz mnie - dodał. - Mam nadzieję, że przyjdzie czas, abym mógł ci to udowodnić. Wiem, że to wszystko wymaga czasu. Chcę, żebyś mnie lepiej poznała. Chcę przedstawić ci mojego pięcioletniego synka.

- Oczywiście, chętnie go poznam.

- Przepraszam, że zburzyłem nastrój. Ale musiałem ci to wszystko powiedzieć. Wypijmy za przyszłość i proszę, częstuj się.

Rzuciłam się na jedzenie, jakbym trzy dni nie jadła. Nie tyle może z głodu, co z emocji. „Czy mi się to śni? Wrażliwy do bólu facet? Zakochany do nieprzytomności we mnie? I co, seks dopiero po ślubie? Tacy w ogóle istnieją?”

- Cieszę się, że ci smakuje - mrugnął do mnie okiem.

- Przygotowałeś prawdziwą ucztę - pochwaliłam. - To naprawdę wyjątkowe miejsce.

- Tak, zwłaszcza dla mnie. Sztuka, którą skrywa ten pałac, to moja druga miłość. Napisałem nawet kilka książek o tych arcydziełach. Mam przy sobie egzemplarz z dedykacją specjalnie dla ciebie - powiedział i podał mi grubą, pięknie oprawioną książkę.

Oczywiście, po francusku. Z tyłu obwoluty zobaczyłam jego zdjęcie podpisane jego imieniem i nazwiskiem i krótką notkę pod nim.

- Gratuluję. Niestety nie przeczytam. Braki lingwistyczne - powiedziałam. - W tym języku biegle czytam tylko obrazki - uśmiechnęłam się, przypominając sobie naszą wpadkę z menu podczas kolacji z dziewczynami.

- Nie szkodzi, właśnie szykujemy wydanie po polsku. Proszę, oto one.

I znowu wręczył mi książkę. Tym razem w zrozumiałym dla mnie, przynajmniej czasami, języku ojczystym.

- Dziękuję, tę na pewno przeczytam. Zaczęłam wertować książkę.

- Spójrz w niebo - oderwał mnie od niej Wiktor.

Nad nami migotały tysiące gwiazd. Przytulił mnie mocno i wyszeptał do ucha:

- Mam nadzieję, że jest wśród nich nasza wspólna szczęśliwa gwiazda.

Robiło się coraz chłodniej.

- Może się przejdziemy - zaproponowałam. - Chętnie pospaceruję po Paryżu, tym razem bez szarfy na oczach - uśmiechnęłam się do Wiktora.

- Wiesz - powiedziałam zachwyconym głosem - ja kocham to miasto.

- Może kiedyś tym samym uczuciem obdarzysz mnie - wyszeptał z nadzieją.

Kiedy późną nocą wróciłam do hotelu, Julka już spała. Zza ściany słyhać było pochrapywanie Weroniki i Marty. Zadowolona, że wszystkie bezpiecznie dotarły na miejsce, też położyłam się spać.

Z samego rana obudził mnie łomot do drzwi.

- Lena, wpuść mnie, muszę ci coś ważnego powiedzieć! To był zaaferowany głos Weroniki. Wpadła jak bomba.

Spojrzała na śpiącą Julkę i zdecydowała:

- Wyjdźmy na korytarz! Wyszliśmy w szlafrokach.

- Słuchaj, chciałam ci to od razu wczoraj powiedzieć - zaczęła przyciszonym głosem. - Czekałam na ciebie. Dziewczynom nic nie mówiłam. Po co je straszyć. Ale zasnęłam - mówiła bez ładu i składu.

- Ale o czym? - spytałam.

- Wczoraj w Moulin Rouge widziałam tego twojego sąsiada, Marka.

- Tak? - zapytałam z niepokojem.

- Tak. Ale zacznę od początku. Więc do tego całego Moulin Rouge to chciałam iść tak bardziej incognito, wiesz...

- Tak żeby w razie czego twój mąż cię nie wypatrzył? Jeśli oczywiście jest w Paryżu - dodałam.

- No, coś w tym stylu. Pożyczyłam więc sukienkę od Julki, tę nową, a na głowę ubrałam perukę. Piękny kolor dostałam, mówię ci. Coś takiego jak ty masz na głowie.

- Czyli z tyłu, biorąc pod uwagę, że figury mamy nieco podobne, wyglądałaś zupełnie jak ja. Bo ja mam identyczną sukienkę i nawet Marek widział, jak ją kupuję.

- No tak - przytaknęła. - Przed wejściem do kabaretu spotkałam tego faceta, co po polsku obiecał mi te bilety. Na początku mnie nie poznał. Ale mu przypomniałam co i jak. Bilety miał drogie jak diabli, ale rzeczywiście weszłam bez trudu. Tylko że siedziałam przy stoliku z jakimś czarniawym fagasem, zupełnie nie w moim typie, który strasznie się na mnie gapił i coś szwargotał w obcej mowie. I jakoś tak się dziwnie do mnie zbliżał. Nawet sobie pomyślałam, czy to nie ten Turek, o którym Marta mówiła, i czy może mnie też chce wyhaczyć do swojego haremu, w którym jest już ta babka od geja.

- Wera, co ty bredzisz? - przerwałam jej.

- W każdym razie - kontynuowała - zamiast patrzeć sobie na te męskie ciacha na scenie, to musiałam uważać, czy ten typek czegoś nie wykombinuje. Jak w końcu zbliżył się za mocno, to pieprzłam go w gębę. I wtedy sama nie wiem skąd, rzucił się na niego ten twój Marek. Od razu go poznałam. On przez chwilę też popatrzył na mnie. Gdybyś widziała, jaką miał zdziwioną minę, gdy zobaczył moją twarz! Zawahał się. Bo już trzymał tego fagasa za fraki. Ale jak mnie zobaczył, to go puścił. No i zaraz przybiegła ochrona. A ja szybko zmyłam się stamtąd i wróciłam taksówką do hotelu - wyrecytowała jednym tchem. - Trzeba było iść na operę - podsumowała na koniec. - Dziewczyny mówiły, że nawet oryginalnego szampana podawali.

- Ale nic ci się nie stało? - upewniłam się.

- Poza zmarnowanym wieczorem nic - zapewniła.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zastanawiałam się na głos.

- No jak o co? Pomylił się biedny. Przegapił pewnie moment, kiedy się rozdzieliłyśmy. Potem śledził mnie, bo myślał, że to ty. No i chciał cię bronić przed natrętem.

- Tak, to wiem. Ale po co to wszystko robi w ukryciu? Dlaczego nie podejdzie jak normalny człowiek i nie poprosi o spotkanie? To wszystko jest bardzo dziwne.

Wróciłyśmy do pokojów. Dziewczyny jeszcze spały. Moja senność znikła jak przekłuta igłą bańka mydlana. Po chwili słyszałam już pochrapywanie Weroniki. „Tej to nic nie rusza - pomyślałam z zazdrością. Muszę się czymś zająć i przestać się głowić nad zagadkowym panem Leszczyńskim”.

Wyjęłam przewodnik i zaczęłam planować dzień. Do południa dzielnica Defense. Po południu i wieczorem wieża Eiffla. „Nie wiadomo, czego można spodziewać się po Wiktorze, a właściwie to wiadomo, że pewnie dziś też się w którymś momencie pojawi i dorzuci coś do naszego harmonogramu dnia” - pomyślałam. I sama przyłapałam się na tym, że ta myśl wprawiła mnie w lepszy humor.

- Co robisz? - Julka też wyzwoliła się już z objęć Morfeusza.

- Czytam sobie przewodnik po Paryżu. Ale opowiedz lepiej, jak było w operze.

- Bosko. Byłyśmy na „Carmen”. Wstyd przyznać, ale nie wiedziałam nawet, że to opera napisana w języku francuskim. Coś przepięknego. Ta muzyka, ta scenografia. Wiktor załatwił nam nawet libretto po polsku. W przerwie serwowano szampana. A jakie kreacje mieli goście! Dobrze, że namówiłaś mnie na tę szmaragdowozieloną sukienkę. Była idealna na taką okazję.

- Ubrałaś ją wczoraj wieczorem? - zagadnęłam od niechcienia.

- Tak, jest piękna.

- Nie pożyczałaś jej Weronice?

- Nie żartuj. Wera ma ze sobą tuzin takich sukienek.

„W takim razie - pomyślałam - Wera coś płacze w zeznaniach". Zajrzałam do swojej szafy. No tak, mojej sukienki w niej nie było. „Zakosiła moją kieckę i bała się przyznać. Muszę sobie z nią pogadać" - postanowiłam.

- A ty? Jak się udał wieczór i chyba noc z Wiktorem? - zapytała, robiąc przy tym szelmowską minę.

- Jaka noc! Późny wieczór raczej - oburzyłam się, ale w kilku słowach opowiedziałam Julce o najbardziej romantycznej kolacji, jaką w życiu jadłam.

- Cudownie! - wykrzyknęła Julka.

- Co jest takie znowu cudowne? - zza ściany odezwała się niewyspana chyba wciąż jeszcze Marta.

- W Paryżu jest cudownie - odpowiedziała wesoło Julka. - Wstawajcie! Idziemy na śniadanko!

- Jakie śniadanko? Ten wysuszony, zakrzywiony kawałek ciasta nazywasz śniadankiem? - tym razem zza ściany gderliwie odezwała się Weronika.

I w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

Wyskoczyłam z łóżka, po drodze owijając się szlafrokiem. W drzwiach na zgrabnym stolyczku stała ogromna taca z mnóstwem wiktuałów oraz kosz herbacianych róż. Z sąsiedniego pokoju wyskoczyły zaciekawione Weronika i Marta.

- Dziewczyny, mamy śniadanko! - wykrzyknęłam.

- O matko, jajeczka z majonezem i łosoś z kawiozem - rozczuliła się Marta.

- A te smażone kiełbaski! Poezja! - wykrzyknęła Weronika.

- Są nawet truskawki i szampan - cieszyła się Julka.

Z róż wyciągnęłam karteczkę z napisem: „Smacznego! Wiktor".

- Przejął się chyba, jak mu wczoraj opowiadałam, że jedyne, czego mi tu brak, to polskiego śniadanka - stwierdziłam.

- OK. Dziewczyny, zabieramy stół do środka! - komenderowała Marta.

- Czuję się jak bohaterka bajki „Stoliczku, nakryj się” - cieszyła się Julka. - Niedawno czytałam ją dzieciakom.

- Ja się tu czuję jak Alicja w Krainie Czarów. Trochę cudów, trochę przyjemności i trochę strachu. Wszystko jakies nierealne. Co jakiś czas pojawia się nagle Biały Królik. A czas płynie w odwrotnym kierunku. Czuję, jakbym cofnęła się do dawnych, młodzieńczych lat - stwierdziłam.

- Nie gadajcie, tylko jedzcie - zarządziła Wera.

Więc zjadłyśmy i popiłyśmy wszystko szampanem, co już nie stanowiło raczej elementu tradycyjnego polskiego śniadania, za to zdecydowanie pozwoliło się rozluźnić. Rozciągnięte po dwie na każdym łóżku, najedzone jak baki, zbijałyśmy baki.

- A może dziś darujemy sobie to zwiedzanie do południa? - zaczęła kusić Weronika.

- Może wystarczy, jak obejrzymy te wieżowce w przewodniku - dołączyła się Marta.

- W sumie to widziałyśmy już je wczoraj z Łuku Tryumfalnego - zauważyła Julka.

- No w sumie tak, ale były jakies takie malutkie - stwierdziłam nieprzekonana.

- Ale w swojej znakomitej wyobraźni przestrzennej możesz je nadmuchać do odpowiednich rozmiarów - odpowiedziała Marta.

- Wiecie co, jakbym nie była taka niewyspana, to bym wam nie darowała tych wieżowców - podsumowałam.

- Hurra!!! - rozległ się głośny okrzyk trzech bumelantek.

- Chyba wypadaloby podziękować za tę poranną ucztę - powiedziałam, wzięłam telefon i wstukałam SMS - a: „Dziękujemy za wyśmienite śniadanie! To była prawdziwa uczta. Pozdrawiamy! Weronika, Julka, Marta i Lena”.

Za chwilę przyszła odpowiedź: „Na zdrowie, dziewczyny! To była prawdziwa przyjemność podać Ci śniadanie do łóżka. Kocham Cię, Lenka. Do zobaczenia wieczorem!”.

Gdy przeczytałam na głos odpowiedź, dziewczyny zaczęły skakać na łóżkach jak małpy w zoo.

„Czy on nam dosypał czegoś do tego jedzenia i tylko ja jestem na to odporna?” - zaczęłam się poważnie zastanawiać, patrząc na nie.

Ale ja też byłam w dobrym humorze. I już za chwilę skakałyśmy wszystkie.

- Jak ten Paryż działa rozweselająco - zauważyła Julka. „Zwłaszcza jak się go nie zwiedza” - pomyślałam.

- Chyba raczej szampan - zaśmiała się Wera.

- Puśćmy jakąś romantyczną francuską muzyczkę - zaproponowała Marta.

Włączyłyśmy radio i z głośnika popłynęła Mireille Mathieu. Wystawiłyśmy nasz czarodziejski stoliczek na korytarz i zaczęłyśmy tańczyć. Parami. Tango. Parkiet był miniaturowy, więc co chwilę zderzałyśmy się pośladkami, co jeszcze potęgowało naszą wesołość. Potem puścili jakąś sambę. Pokazałam dziewczynom, czego nauczył mnie instruktor. Próbowaly naśladować mój ruch bioder. W końcu padłyśmy bez tchu na łóżka.

Za chwilę przyszedł na moją komórkę kolejny SMS.

- Oho, Romeo znowu nadaje - zaśmiała się Marta. Ale widząc moją minę, jej śmiech ucichł.

- Co się stało? - zapytała zaniepokojona.

- To wiadomość od Marka, nie od Wiktora - powiedziałam.

- Co?!!! - wykrzyknęły. - Czytaj!

- „Na pewno już wiesz, że jestem w Paryżu. Muszę się z tobą koniecznie spotkać. Sam na sam. Podaj, proszę, czas i miejsce. Pozdrawiam! Marek”.

- Muszę wam coś powiedzieć, dziewczyny - zaczęłam. - Myślę, że on cały czas nas śledzi. Tam pod Luwrem, kiedy zrobiłyśmy sobie zdjęcie z Markiem w tle, to nie był jedyny przypadek, kiedy był blisko nas.

- I co teraz zrobimy? - zapytała Julka.

- Sama na to spotkanie na pewno nie pójdziesz - stanowczo powiedziała Marta.

- Jasne, Weronika na pewno da radę przebrać się za kawałek zabytkowej elewacji i będzie niepostrzeżenie przemykać się za nami od ściany do ściany - odpowiedziałam sarkastycznie,

- No, no! Tylko nie zabytkowej - oburzyła się Wera.

- Chciałam, żeby poprosił o spotkanie i voila - podsumowałam.

- Coś wymyślimy - stwierdziła Marta.

Kiedy się obudziłam, w pokoju panowała cisza. Byłam sama. Dochodziła trzecia po południu. „Miałam się tylko zdrzemnąć, a spałam dobre kilka godzin” - pomyślałam. Chyba nadmiar wrażeń i deficyt snu tak zwałił mnie z nóg. Rozejrzałam się wkoło. Na stoliku leżała jakaś kartka:

„Poszłyśmy się przejść. Nie chciałyśmy Cię budzić. Tak smacznie pochrapywałaś :) Wrócimy około 16 z jakimś prowiantem. Wera, Marta i Julka”.

„No proszę, Weronika i spacer” - zaśmiałam się w duchu. Ale zaraz przypomniałam sobie o SMS - ie od Marka. Jeszcze mu na niego nie odpowiedziałam. „Czy my nie możemy spotkać się po powrocie? - zaczęłam się zastanawiać. Nie jestem teraz w nastroju do jakichś dziwnych rozmów. Chcę cieszyć się tymi kilkudniowymi wakacjami. Ale z drugiej

strony może krótkie spotkanie wyjaśni co nieco i uwolni mnie od tego skradającego się za plecami pozał się Boże szpiega".

Do moich myśli teraz zakradł się Wiktor. Zaczęłam rozważać jego wczorajsze wyznanie. Od roku nie uprawiał seksu. Czy to jest w ogóle możliwe w przypadku mężczyzny w pełni sił, i to bynajmniej nie mnicha? Pewnie natura zna takie przypadki. Ale jego bym o to nigdy nie podejrzewała. Maczo okazał się superwrażliwym, ciepłym człowiekiem? „Czy on po prostu czegoś nie kombinuje? Matko, przez tego Piotra stałam się chodzącą podejrzliwością. Chyba muszę poprosić o namiary do tego psychoterapeuty Wiktora. Nie, on pewnie mówi tylko po francusku. Nie dogadamy się". Ale obiektywnie patrząc, czy to nie jest choroba psychiczna naszych czasów? Brak szczerości z jednej, a zaufania z drugiej strony. Brak lojalności. Przybieramy pozy, nakładamy maski. Boimy się pokazać, jacy naprawdę jesteśmy. Boimy się braku akceptacji. Boimy się odkryć nasze wrażliwe wnętrze. Komu potrzebni są dziś wrażliwcy? Trzeba być przebojowym, iść do przodu. Rozpychać się łokciami. Osiągnięcie sukcesu wytłumaczy wszystko, nawet przewalcowanych po drodze przyjaciół. Może Wiktor po prostu odkrył się przede mną jak żaden inny facet? A ja znowu wężę podstęp. No, ale Piotr też się w końcu odkrył. I co zobaczyłam? Wielkie nic. On w środku jest pusty. Ale w końcu jeden Piotr nie może całkowicie zniechęcić mnie do mężczyzn.

Moje rozmyślenia przerwało wejście dziewczyn. Wróciły zadowolone i obładowane papierowymi torbami z napisem SUSHI.

- Ale fajnie, kupiłyście sushi! - wykrzyknęłam. - Chyba czytacie w moich myślach. Strasznie zgłodniałam na sushi.

- Zgłodniała na sushi! Ale wymyśliła - zaśmiała się Marta.

- No to jemy! Smacznego!

I znowu rzuciłyśmy się na jedzenie.

- Niech mnie gęś kopnie, jaki ja mam apetyt w tym Paryżu

- z pełnymi ustami narzekała Marta. - Jak nic znowu przybędzie mi kilka centymetrów w pasie - powiedziała niezadowolona i krytycznym wzrokiem obrzuciła swój własny brzuch.

- Może wejdziemy na wieżę Eiffla na piechtę? Zrzucimy trochę - zaproponowała Julka.

- O nie! - krzyknęła na to przerażona Weronika.

- Odpisałaś Markowi? - spytała mnie Julka.

- Nie, nie mam za bardzo ochoty na to spotkanie - odpowiedziałam zmęczonym głosem.

- Słuchaj, Lenka. Bo my coś wymyśliłyśmy - zaczęła Marta. - Najlepiej załatwić tę sprawę dziś, żebyś już nie zaprzętała sobie tym głowy. I żeby przestał się za nami snuć. Umów się z nim na wieży. My wmieszamy się w tłum i będziemy was dyskretnie obserwować, gotowe w każdej chwili przyjść z odsieczą. Tobie będzie różniej. Nie stracisz nic ze zwiedzania. Wera już wymyśliła charakteryzacje dla nas. Marek nie będzie miał szans nas rozpoznać. Ja będę przebrana za japońskiego faceta z milionem aparatów fotograficznych. Wera będzie gejszą, a Julka...

- Mulatką - dokończyłam i dłużej nie mogłam tłumić śmiechu, widząc już tych cudaków oczyma wyobraźni. - Ale gdzie na wieży? Skoro on chce porozmawiać na osobności, to chyba nie oznacza w tłumie turystów... - wyraziłam swoją wątpliwość. - Poza tym to by było podejrzané, że zwiedzam wieżę sama. A na dodatek może on nas ciągle śledzi i odszyfruje wasze przebrania zaraz po wyjściu z hotelu. Coś nie halo z tym waszym pomysłem - spojrzałam na nie z politowaniem.

Patrzyły na mnie urażone.

- Nie, sorry, dziewczyny. Zostały mi dwa niepełne dni w tym cudownym miejscu i nie chcę marnotrawić ani chwili.; A z Markiem porozmawiam sobie po powrocie do domu.

„Jakiego domu? Przecież ja, przynajmniej na tę chwilę, nie mam żadnego domu” - pomyślałam.

- Jak sobie chcesz - po tonie Wery poznałam, że urażenie jeszcze nie minęło. Chyba bardzo jej zależało na odegraniu kolejnej roli. Tym razem gejszy. - Jak znowu się na nas rzuci, to twoja wina - podsumowała.

- To on się już na nas rzucił?! - przeraziła się Julka. - Kiedy? Chyba coś przegapiłam.

- Nie masz czego żałować - odpowiedziałam i kopnęłam Werę pod stolikiem, żeby nie paplała o zajściu w Moulin Rouge. Po co jeszcze bardziej je straszyć? Skoro nie ma się tak naprawdę czego bać.

- Rzucił na nas swój barczysty cień - próbowałam nieudolnie obrócić wszystko w żart.

Zaczęłyśmy szykować się do wyjścia.

- Marta! Podprowadziłaś mi moją maskarę? Oddawaj, bo muszę się malnąć - słyszałam przez ścianę wołanie Wery.

- Nie brałam. Mam swoją.

- To gdzie ja ją mam?

- Lenka, oczko mi poleciało! Masz jakąś wolną parę rajstop? - pytała Julka.

- Mam, bierz.

- Dzięki! Uratowałaś mi życie.

- Wera, weź mój tusz i nie miotaj się wśród tych swoich tobołków - słyszałam Martę.

- A jaki masz? A, taki. Nie, na taki mam uczulenie - stwierdziła Weronika.

Otworzyłam swoją szafę i od razu przyuważyłam w niej swoją szmaragdowozieloną sukienkę, wypraną i

wyprasowaną. „Aha, Weronika zaciera ślady - pomyślałam. Trochę przedobrzyła, bo ja przecież już raz w niej byłam. Udam, że niczego nie zauważyłam. Po co nam kolejna afera?"

- Gotowe? - rzuciłam.

- Już, już - usłyszałam w odpowiedzi chórek damskich głosów.

- Poczekam na was na dworze. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza - zdecydowałam.

Ledwo przekroczyłam drzwi hotelu, dopadł mnie...

- Marek?! Co ty tu robisz? - zapytałam zupełnie bez sensu.

- Lenka, proszę o chwilę rozmowy, muszę ci coś wyjaśnić. Proszę. Błagam - mówił z desperacją w głosie.

- Jak się zgodzę, przestaniesz się za nami snuć i straszyć w ciemnych ulicach?

- Tak. Ale ja nie chodziłem za wami po ciemnych ulicach - dodał. - Nigdy nie miałem zamiaru was straszyć. Zawsze starałem się być dyskretny. No, w Moulin Rouge mi nie wyszło.

Ale nie mogłem pozwolić, żeby ten gość zakłócał ci spokój. To znaczy myślałem, że tobie. Ale to jednak nie byłaś ty - plątał się tak bezradnie.

I w tym momencie dołączyły do nas Wera, Marta i Julka.

- Co za spotkanie! - wykrzyknęła Marta.

- Pan również w Paryżu? - udawała zdziwienie Julka.

- No proszę, góra z górą się nie zejdzie... - zaczęła ironicznie Weronika.

- Dobry wieczór! - odpowiedział. - Skoro panie też tu jesteście, również was chcę prosić o chwilę sam na sam z Lenką. Muszę z nią porozmawiać.

- Nie ma mowy - kategorycznie sprzeciwiła się Julka. - Pan jest niebezpieczny. Proszę odejść, bo zawołam policję!

- Julka. Daj spokój - próbowałam studzić gorącą atmosferę.

- Marku - zwróciłam się teraz do niego. - Nie możemy odłożyć tej rozmowy na za kilka dni? Wrócimy do kraju i tam sobie spokojnie porozmawiamy przy kawce?

- Nie - padła zdecydowana odpowiedź.

- Ale ja właśnie idę teraz zwiedzać wieżę Eiffla. I zapewniam cię, że tego punktu programu nie odpuścę.

- Poczekam. Potem zapraszam cię na łyk czegoś mocniejszego. Bez tego nie przetrwamy tej rozmowy.

- Sama nie wiem - wahałam się. Ale ciekawość była silniejsza. - Dobrze. Ale nie umiem ci powiedzieć, o której godzinie możemy się spotkać.

- Będę czekał cierpliwie - zapewnił. - Do zobaczenia! Nie będę was dłużej niepokoił.

I zniknął tak nagle, jak się pojawił.

Wieża Eiffla nie rozczarowała mnie ani trochę. Pewnie, że z bliska to kupa żelastwa. Ale ma swoją formę, proporcje. Solidna, ale delikatna zarazem. Budzi respekt, ale i bawi swą ażurową konstrukcją. Szeroko rozparta na czterech zakrzywionych filarach, majestatycznie wznosi się nad miastem. Radośnie spogląda na położony u jej stóp Paryż. A wraz z nią całe rzesze turystów. Jest po prostu oblegana. Kochana przez wszystkich.

Tak sobie dobrałyśmy porę zwiedzania wieży, żeby obserwować z jej tarasów widokowych zachód słońca, a potem napawać się widokiem przepięknie oświetlonego nocą Paryża.

Oczywiście, najpierw obfotografowałyśmy całą konstrukcję z dołu. Potem jak szalone biegałyśmy wokół niej, pozując do zdjęć we wszystkich możliwych ujęciach i konfiguracjach: Julka ze mną i wieżą, Julka z Martą i wieżą,

Julka z Werą i wieżą, ja z Werą i wieżą, itd. I tylko nasza świeżo upieczona przyjaciółka wieża zносиła ten cały harmider ze stoickim spokojem. My z wypiekami na twarzy i lekkim obłędem w oczach cykałyśmy w pośpiechu fotka za fotką, jakbyśmy miały już jej nigdy więcej nie zobaczyć. Po częściowym zaspokojeniu fotograficznego głodu, który w Paryżu daje się odczuć szczególnie silnie, udałyśmy się do sporej kolejki do windy.

- Wiecie, co przeczytałam o wieży Eiffla? - zagadnęła Julka.

- A niby skąd mamy wiedzieć? - odparowała nieco podwścieklona tłumem ludzi Wera.

- Podobno jest to najczęściej odwiedzany obiekt turystyczny na Ziemi. Od momentu jej udostępnienia do zwiedzania weszło na nią ponad dwieście milionów ludzi.

- No, nieźle - pokiwała z uznaniem Marta.

- A wiecie, że zbudowano ją dla uświetnienia Wystawy Światowej, a zarazem uczczenia stulecia Wielkiej Rewolucji Francuskiej? - tym razem ja popisałam się wiedzą z przewodnika. - I w chwili otwarcia była najwyższą budowlą na świecie. A poza tym służyła wtedy jako brama prowadząca na tę właśnie wystawę.

- Niezły quiz, kto wie więcej o kupie żelastwa nad Sekwaną - podsumowała złośliwie Weronika. - A wiecie, co ja wam powiem? Uważajcie lepiej. Bo ta niby niewinna konstrukcja przyciąga samobójców jak magnes szpilki. Wyssała ponoć życie z niemal czterystu desperatów. Część z nich skakała z wieży, część wieszła się na przesłach. A jej pierwszą ofiarą był inżynier testujący windę jeszcze przed inauguracją. Winda nie zadziałała jak należy - dokończyła dramatycznym głosem.

- Matko! - jęknęła przerażona Julka. Sama poczułam, jak mnie ciarki przechodzą.

- A propos samobójstw... - zaczęła zupełnie nieprzejęta Marta - ... to słyszałam gdzieś niesamowitą historię właśnie o jednej niedoszłej samobójczyni.

- Tym razem to nie była żadna twoja koleżanka? - ironizowała Weronika.

- Wera, uspokój się! Możesz być miłsza? Stoimy w kolejce. Też tego nie lubimy, ale nie zamieniamy się jak ty w złośliwe jędze - nie wytrzymała Julka.

- Ojejku! Ja tylko ćwiczę rolę - tłumaczyła się Weronika.

- No więc... - podjęła znowu samobójczy wątek Marta. - Pewna załamana kobieta postanowiła pożegnać się z życiem właśnie przez skok z wieży. Dlaczego? Nie wiadomo. Ale zamiast na twardą powierzchnię upadła na przejeżdżający na dole samochód. Były to lata trzydzieste ubiegłego wieku, kiedy pod wieżą Eiffła odbywał się normalny ruch kołowy. Samochód miał płócienny dach. Kobieta przedziurawiła go, ale przeżyła. A rok później poślubiła kierowcę tegoż właśnie samochodu.

- Co za historia! - wykrzyknęła zafascynowana Julka. - Może ta kobieta chciała odebrać sobie życie z braku miłości.

I w ten sposób ją znalazła.

Pokiwałyśmy głowami.

- Miała wyjątkowe szczęście - stwierdziła Weronika. - Nie tak jak ten krawiec z płaszczem - spadochronem swojej produkcji. Był pierwszym, który odważył się skoczyć z pierwszego piętra wieży. I to wcale nie z zamiarem samobójczym. Miał idee fixe, żeby zareklamować w ten sposób właśnie ten dwufunkcyjny płaszcz. Chciał z nim skoczyć i bezpiecznie wylądować jak ze spadochronem. Ten skok był głośnym wydarzeniem w Paryżu. Na oczach tłumów roztrzaskał się o bruk - powiedziała ponuro. - Tę idiotyczną śmierć nagrano nawet na kamerze. Ale, co gorsza, rozpoczęła ona wśród samobójców modę na skakanie z wieży. W końcu

po skoku pewnego Wietnamczyka w 1966 roku zainstalowano na tarasach barierki. Ale jak wiadomo, dla chcącego nic trudnego. Tego samego miesiąca przez barierkę przecisnęło się jeszcze dwóch desperatów. Skomentowałyśmy historię Wery milczeniem.

- No, dziewczyny, w końcu się doczekałyśmy. Nasza kolej do windy - powiedziałam z uśmiechem, chcąc rozładować ponurą atmosferę.

- Ciekawe, czy sprawnej? - mruzczała pod nosem Weronika. Wsiadłyśmy z dość niepewnymi minami.

Usilnie starałam się nie myśleć o Marku i cieszyć widokami z wieży. Ale mimo wszystko tkwił w mojej głowie. Nie chciałam dać poznać dziewczynom, że trochę się martwię jego dziwnym zachowaniem i boję tego, co chce mi powiedzieć. Więc robiłam dobrą minę do złej gry.

- Patrzcie, jak cudownie. Cały Paryż w promieniach zachodzącego słońca jak na dłoni! - krzyczałam wniebowzięta. - Pola Marsowe, jak pięknie wyglądają z góry. Sekwana i te mosty. A zobaczcie Trocadero.

Biegałyśmy od jednej barierki do drugiej, robiąc miliony zdjęć. Widziałyśmy, jak powoli zapalają się światła w mieście. Jak odbijają się w rzece. Jak dostojnie wyglądają teraz te wszystkie monumentalne budowle. Z zachwytem przyjęłyśmy włączenie oświetlenia wieży.

- Co godzinę na dziesięć minut na wieży włącza się dodatkowa iluminacja. Wieża skrzy się wtedy, lampki migają jak na choince - nie do końca wiedziałam, jak objaśnić ten efekt, który widziałam kiedyś na jakimś filmie. - Zresztą pewnie niedługo zobaczycie.

- Faktycznie fajny widok - potwierdziła Weronika, która na pewno miała już okazję obserwować go na żywo. - Widziałam też kiedyś niebieskie oświetlenie wieży. Też było niezłe.

- A tak, Wiktor mi opowiadał, że z okazji objęcia przez Francję prezydencji Unii Europejskiej przez dwa miesiące wieża Eiffla była oświetlona barwami Europy. Od razu próbowałam sobie ją wyobrazić taką niebieską - dodałam i zaraz pomyślałam: „Dziwne, że jeszcze nie zadzwonił. Od rana nie miałam z nim kontaktu. Matko, minęło tylko kilka dni, a już zdążyłam uzależnić się od jego obecności”.

Światelka na wieży właśnie zaczęły swój codzienny taniec.

- Ale dyskoteka - śmiała się Marta.

Julka patrzyła zafascynowana. Weronika ziewała.

- Chodźmy chociaż na jakąś herbatę, bo zmarzłam - stwierdziła.

Rzeczywiście na górze nie było za ciepło. Znalazłyśmy jakiś bufet z napojami i usiadłyśmy. Każda z kubkiem ciepłej herbaty.

- Zjedziemy teraz na dół i porobimy sobie zdjęcia z oświetloną wieżą - zaproponowała Marta.

- Wieża, wieżą, na wieży - gderła Weronika. - Odmieniacie to słowo przez wszystkie przypadki. Ja już mam dość. Jadę do hotelu. Jestem strasznie śpiąca.

- Ale, Wera, machniemy kilka fotek i też pojedziemy. Poczekaj! Sama namiętnie robisz zdjęcia - uspokajała Julka.

- Robię, bo muszę mieć materiał dowodowy dla męża, że byłam grzeczna - odparowała Weronika. - Chociaż wcale nie jestem pewna, czy on tam trzyma się z daleka od pośladek naszej młodej gosposi.

- W Moulin Rouge z ciachami też sobie cyknęłaś fotki? - zaśmiała się nieświadoma pełnej wersji wydarzeń Marta.

- Tak, wy sobie pojedziecie, a mnie zostawicie na pastwę szpicla Marka - spojrzałam na nie z wyrzutem.

- Lenka, nie, no co ty, poczekamy na ciebie - zreflektowała się Weronika. - Zupełnie o nim zapomniałam.

- No, mnie niestety nie było to dane - stwierdziłam z żalem. - Czy ja nie mogę pożyć sobie trochę na luzie? Czy wokół mnie ciągle musi być taki ruch?

- Faktycznie jesteś małym centrum zawirowań - podsumowała Marta. - Ale czy to źle? No, to, że zostawił cię Piotr, na pewno było dla ciebie dramatem. Ale myślę, że to ci jeszcze wyjdzie na dobre i dostaniesz od losu faceta, na jakiego zasługujesz. Trochę podsłuchiwałam dzisiaj rano, jak opowiadałaś Julce o wczorajszej kolacji pod Luwrem. Jest czego zazdrościć. Mój stary w życiu by czegoś takiego nie wykombinował.

- Ja nic nie wiem. Opowiadaj - zażądała Wera. Wyszliśmy z powrotem na taras. I w tej romantycznej scenerii jeszcze raz, ale już bardziej szczegółowo, opowiedziałam o całym wczorajszym wieczorze spędzonym z Wiktorem.

Dziewczyny słuchały z rozmarzonym uśmiechem na ustach.

- Jakbym tam była - podsumowała Julka. - Tak pięknie opowiadałaś.

- Widać, że cię wzięło - popatrzyła na mnie Weronika. - Ty się lepiej tak nie opieraj. I bierz, co ci los zsyła. Bo ci tego Wiktora któraś sprzątnie.

- Tak, zwłaszcza uważaj na tę blond piękność obok. Już ostrzy sobie na niego pazurki - ze śmiechem dodała Marta, pokazując na Werę za jej plecami.

- Ale czy wy myślicie, że ja się umiem tak na zawołanie zakochać? Przecież nie tak dawno kochałam innego - zaperzyłam się.

- A widzisz, sama powiedziałaś ko - cha - łam - przyłapała mnie Marta.

- Czyli miejsce w sercu masz puste. A jak powszechnie wiadomo, natura nie znosi próżni - dodała zadowolona Julka.

Zjechałyśmy na dół. Dziewczyny ponownie zaczęły swój taniec z aparatem, a ja wypatrywałam Marka. Ale zamiast niego dostrzegłam zaaferowanego Wiktora. Jak tylko mnie zobaczył, podbiegł i chwycił w objęcia.

- Lenka, czekam tu i czekam. Nie uwierzysz, co się stało. Zgubiłem komórkę, a tylko tam miałem numery do ciebie i Julki. Dziś miałem naprawdę urwanie głowy w pracy i nie zauważyłem wcześniej, że jej nie mam. Jak się zorientowałem, pojechałem do hotelu, ale już was tam nie było. Więc przyjechałem tutaj i nawet wjechałem na górę. Ale w tym tłumie ludzi nie mogłem was namierzyć. Więc zdecydowałem się poczekać na dole - wyrzucił z siebie. - Bałem się, że dzisiaj cię nie zobaczę.

Uśmiechnęłam się do niego. Ale nie zdążyłam nic powiedzieć, bo moją uwagę przyciągnął dzwoniący telefon. Po sygnale poznałam, że to SMS. Wygrzebałam komórkę z torby i spojrzałam na ekran.

„Proszę, spław go. Czekam na rozmowę z tobą. Marek”.

„Obserwuje nas - pomyślałam. Znowu gdzieś zaczajony. Muszę się z nim rozmówić i z tym skończyć”.

- Wiktor, cieszę się, że cię widzę - zaczęłam. - Jeszcze raz dziękuję za wczorajszy wieczór. Może umówimy się na jutro - kombinowałam - bo dzisiaj to naprawdę nie mam już na nic siły. Marzę tylko o położeniu się spać.

- Oczywiście. Ale odwiozę was do hotelu. Nie będziecie tułać się po nocy metrem.

„Kurczę, tego nie przewidziałam - pomyślałam. Chociaż powinnam. Co teraz...”

- Ale my dziś nie nocujemy w hotelu - wypaliłam. - Niedaleko stąd mieszka dobra koleżanka Marty. Ma nawet tu po nas zaraz przyjść, żebyśmy nie błądziły.

„Matko, co za kłamczucha ze mnie - pomyślałam. Dorobiłam Marcie kolejną koleżankę”.

- Dobrze, zrozumiałem. Mam się ulotnić. Proszę, daj mi jeszcze tylko swój numer telefonu i już się zmywam.

Miał przygotowaną kartkę i długopis. Zapisał podyktowany przeze mnie ciąg cyfr.

- Aha, i jutro towarzyszę wam w rejsie po Sekwanie. Muszę z tobą porozmawiać - dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Pocałował mnie delikatnie w usta, pomachał ręką i odszedł. „Dlaczego wszyscy mają takie ciśnienie na rozmowę ze mną?” - pomyślałam. I zaraz pojawił się Marek, a za nim nadciągnęły dziewczyny.

- Nie zostawimy jej samej z panem - rzuciła buńczucznie Weronika.

- Nie wiadomo, czego się po panu można spodziewać - odezwała się Julka.

- Rozumiem ten brak zaufania. Zasłużyłem sobie na niego. Ale zabieram Lenę do restauracji pełnej ludzi. Nic jej nie grozi.

- Tak, tak, w Moulin Rouge też było pełno ludzi, a pan się rzucał jak... jak... kot z pęcherzem - podsumowała Weronika, przyciągając zdziwione spojrzenia niewtajemniczonych jeszcze Marty i Julki.

- Posłuchaj, Marku. To są moje przyjaciółki. Nie mam przed nimi tajemnic. Możemy usiąść gdzieś razem. Coś przekąsić i wysłuchać, co masz do powiedzenia.

- Skoro tak, zapraszam wszystkie panie na kolację. W ramach rekompensaty strat moralnych, których jestem sprawcą.

- Co to, to nie. Każdy płaci za siebie - z godnością powiedziała Julka.

- No tak, teraz, pod tą feralną wieżą, będziemy kolejną godzinę rozważać, kto za kogo płaci - podsumowała niezadowolona Weronika. - Więc ja zarządzam ostatecznie. Za

dziewczyny płacę ja. Też muszę im wynagrodzić krzywdy moralne, a za pana płaci pan sam.

W końcu weszliśmy do jakiegoś lokalu. Wszystkie stoliki wydawały się zajęte. Marek przeprosił nas i zniknął gdzieś na chwilę. Pojawił się razem z kelnerem, który wziął od nas płaszcze i zaprowadził korytarzem do drugiej sali. Tam stoliki stały dalej od siebie, odseparowane żywymi parawanami z roślin, co tworzyło fajny klimat namiastki ogrodu czy skwerku. Gdzeniegdzie paliły się ogrodowe pochodnie. Jeden z okrągłych stołów przeznaczony był dla nas. Usiedliśmy. Kelner podał nam karty.

- O matko, znowu powtórka z rozrywki - powiedziała Weronika, przeglądając menu,

Marek spojrzał na mnie, nie rozumiejąc.

- Niestety nie znamy francuskiego. Już raz nasze zamówienie w ciemno okazało się małą wpadką - wyjaśniłam.

- Czy w takim razie mogę za panie zamówić specjalność tej restauracji: wołowinę po burgundzku?

„Czy oni tu wszystko mają po burgundzku?” - pomyślałam, wspominając ślimaki.

Przystaliśmy jednak na propozycję Marka.

- No więc co masz mi do powiedzenia? - chciałam już zacząć rozmowę, wiedząc, że na posiłek raczej trochę poczekamy.

- Zjedzmy najpierw. Nie chcę nikomu popsuć apetytu - zaproponował Marek.

- Chyba nie jest w znowie z kelnerem i nie dosypie nam czegoś do tej wołowiny? - wyszeptała mi do ucha Julka.

- Ale możemy porozmawiać o Paryżu - uśmiechnął się szeroko. - Co już panie widziały?

- To chyba sam wiesz najlepiej - odpowiedziałam bez uśmiechu, patrząc mu prosto w oczy.

- No tak - spieszył się.

- Kim tak naprawdę jesteś, Marku? - zadałam mu w końcu to pytanie, czując się jak bohaterka filmu o Jamesie Bondzie. - Bo na 007 mi nie wyglądasz.

- Dlaczego nie? - zdziwiła się Weronika. - Jak dla mnie, to wykapany Pierce Brosnan.

„O nie, teraz ta maniaczka cukiernictwa przerzuci się na Marka” - pomyślałam.

- Pracuję jako prywatny detektyw - wypalił nagle. - Dostałem od klienta zadanie i do wczorajszego dnia je po prostu wykonywałem.

- Jakie zadanie? Jakiego klienta? - pytałam, patrząc na niego jak na zjawę.

Ja chyba śnię. Alicja z Krainy Czarów przeniosła się nagle do Krainy Koszmarów.

- Naszego wspólnego klienta - dodał.

- Grubcia?!!! - wypaliłam, nie wierząc własnym uszom.

I bezwiednie wypiliśmy prawie cały kieliszek wina.

- Grubcia? - zdziwił się Marek. - Nie, Stanisława Chojnickiego - powiedział, nie mogąc przecież wiedzieć, że dla mnie to jedna i ta sama osoba.

Zdezorientowane dziewczyny ze strachem w oczach patrzyły raz na niego, raz na mnie.

- Teraz musisz mi już powiedzieć wszystko, i tak nie przełknę tej twojej zatrutej wołowiny po flamandzku - powiedziałam trochę za głośno.

- Dobrze więc. Kilka tygodni temu zgłosił się do mnie pan Chojnicki - zaczął swoją opowieść. - Z pozoru wydawał się zrównoważonym starszym panem. Miał dla mnie trochę nietypowe zlecenie. Sprawdzić, czy niejaka Lena Majewska jest w stałym związku i czy jest w nim szczęśliwa.

- To dlatego przeprowadziłeś się do tego samego budynku. I po prostu mnie szpiegowałeś - wyszeptałam,

przypominając sobie, jak wpadł z nienacka na naszą płaczącą imprezę i jak był świadkiem mojej awantury z Piotrem.

Dziewczyny zamarły z przerażenia i siedziały cicho jak myszy pod miotłą, robiąc coraz większe oczy i coraz bardziej nastawiając uszu.

- Tak. Klient nie szczędził grosza i zażyczył sobie, żebym zamieszkał blisko ciebie, a nawet się z tobą zaprzyjaźnił i służył pomocą - odpowiedział.

- Ale dlaczego ty mi to teraz mówisz? Nie obowiązuje cię lojalność szpiegowska czy inne tam zakłamanie zawodowe? - spytałam

- Obowiązuje. Ale zaraz ci wszystko wyjaśnię, po kolei. Tak więc, jak się domyślasz, klient dostał ode mnie informacje o rozpadzie twojego związku oraz o tym, że wybierasz się do Paryża z przyjaciółkami. Dostałem następne zlecenie. Jechać za tobą, śledzić cię i relacjonować mu przebieg waszej eskapady. Aha. Miał jeszcze jedno absurdalne życzenie.

Spojrzałam na niego wyczekująco.

- Nie dopuścić, żebyś zawarła tu jakąś intymną damsko - - męską znajomość.

- Co proszę?! - zakrztusiłam się winem. - Wódki proszę - powiedziałam słabym głosem.

- Tak, dla mnie też to było zaskoczenie, chociaż w swojej pracy napotykam na różne dziwactwa. Ale do tej pory nie brałem zleceń tego typu, które tak mocno ingerują w życie obiektu, to znaczy osoby, której zlecenie dotyczy. Z drugiej strony, widząc coraz większą desperację Chojnickiego, pomyślałem sobie, że jeśli ja nie przyjmę tej pracy, zleci to komuś innemu. Może mniej delikatnemu. Tak naprawdę nie miałem wcale zamiaru wykonywać wszystkich jego poleceń.

Przerwał na moment.

- Pierwszym moim błędem była w ogóle zgoda na zbliżenie się do ciebie. Byłem wtedy w małych tarapatach

finansowych i te pieniądze za zlecenie były mi bardzo potrzebne. Potem nie było już odwrotu. Czułem się za ciebie w pewien sposób odpowiedzialny - dokończył cicho.

- O Boże, co to za świr ten Grubcio! - nie wytrzymała Marta.

- Jakiś szaleniec! - z trwogą zauważyła Julka.

- Faktycznie chyba ma fioła na twoim punkcie - zauważyła Weronika.

- Z mojej obserwacji wynika, że szaleńczo zakochał się w Lenie. Jest wdowcem. Dwa lata temu stracił żonę.

- Przepraszam, ale czy jego żona zmarła na pewno śmiercią naturalną? - spytała Weronika z takim napięciem w głosie, że Julka o mało nie zsunęła się z krzesła.

- Tego nie sprawdziłem - odpowiedział poważnie.

- Miałam wrażenie, że mu się podobam. Chciał mnie nawet zaprosić na kolację. Ale myślałam, że patrzy na mnie raczej jak na córkę czy coś w tym stylu - jąkałam się.

W tym momencie wszedł kelner, niosąc nasze dania. Popatrzyłyśmy na zawartość talerzy.

- Może zjemy? - zaproponował Marek.

Zaczęłam gmerać widelcem w sosie. Dziewczyny też jadły półgębkiem.

- Nie mogę jeść - wypaliłam. - Mów dalej! - powiedziałam stanowczo.

- Kilka razy dziennie musiałem mu składać raporty. Nie byłem w nich bardzo dokładny, żeby go nie denerwować. Ale z drugiej strony nie mogłem całkiem kłamać i nic nie robić. Przecież mógł wysłać kogoś, kto kontrolowałby mnie. Kilka razy nawet miałem takie wrażenie, że i mnie ktoś śledzi.

- Witaj w klubie! - zaśmiała się nieszczercze Marta. - To nie jest przyjemne, jak ktoś straszy cię w ciemnych zaułkach, prawda?

- Ale, drogie panie, po żadnych ciemnych zaułkach za wami nie chodziłem - znowu się tłumaczył. - To znaczy robiłem różne rzeczy z ukrycia. Ale nie chciałem was straszyć.

- Ale szpiegowanie nie jest chyba twoją mocną stroną, skoro dałeś się na tym przyłapać - powiedziałam. - Widziałam, jak szpiclowałeś nas przez okno pizzerii.

- Tak, wiem. Nie byłem w pełni profesjonalny w tym, co robiłem. Przestałem traktować cię jak obcą osobę - wyznał. - Do tej pory nigdy mi się to nie przydarzyło. I dlatego zdecydowałem w końcu, że muszę zrezygnować z tego zlecenia i tej forsy. Nie myśl, że jestem człowiekiem, który zrobi wszystko dla pieniędzy - dodał, patrząc mi w oczy.

Spojrzałam w jego i nie wiedziałam dlaczego, ale coś mi w tym wszystkim nie pasowało.

Po powrocie do hotelu, wyczerpane położyliśmy się do łóżek. Ale ja nie mogłam zasnąć. Musiałam pozbierać myśli. Do niedawna prowadziłam spokojne życie ustatkowanej, poukładanej i szczęśliwej kobiety. Zdarzały się drobne szaleństwa, jak wylot z Piotrem do Rzymu w samego sylwestra, zupełnie spontaniczny i nieplanowany.

„Nie, Lena, nie przypominaj sobie tych wszystkich romantycznych szczegółów, bo znowu przyplacisz to ciężką depresją. To było bardzo dawno temu i tamtego Piotra już nie ma, a może on istniał tylko w twojej głowie”.

Kiedyś miałam wrażenie, że to ja steruję moim życiem. Teraz czułam się, jakby ktoś robił to za mnie. „Czy mi się to wszystko śni?” - pomyślałam. Z chwilą gdy dowiedziałam się o zdradzie Piotra, moje życie nabrało jakiegoś kosmicznego przyspieszenia. Jedno wydarzenie goniło drugie. A każde kolejne było jeszcze dziwniejsze od poprzedniego. Teraz jeszcze okazało się, że jakiś wariat ma na mnie chrapkę. „Nie

wiadomo, czego mogę się po nim spodziewać po powrocie do Polski" - przez moją głowę przetaczały się różne czarne myśli.

Marek gorąco zapewnił mnie, że jest gotów udać się na policję i złożyć zeznania. Zdawał sobie sprawę, że sam może wtedy znaleźć się w tarapatach. Ale ja na razie chciałam spróbować załatwić to po swojemu. „W końcu Stanisław Chojnicki to chyba nie jest jakiś bandzior. Może wystarczy mu dobry psychiatra. Może wystarczy z nim porozmawiać” - główkowałam.

Nie winiłam również Marka. Wplątał się w tę całą aferę, ale nie miał złych intencji. W końcu wyznał mi całą prawdę. A może jestem za bardzo wyrozumiała? Bo przecież z jednej strony niby wykonywał swój zawód, ale z drugiej jawnie mnie podrywał i robił jakieś osobiste wycieczki. Miałam już totalny mętlik w głowie. Kto ma jakie intencje i do czego zmierza? Wiem, że nic nie wiem. Sokrates byłby ze mnie dumny. Chyba czas na sen. Uporządkuje zgromadzone informacje, posegreguje emocje. Jutro będzie lepiej.

Obudził mnie dzwonek telefonu. Na ekranie komórki wyświetlił się numer Wiktora. Zerknęłam na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Spojrzałam na łóżko Julki, smacznie spała. „Ma kobitka kamienny sen” - pomyślałam.

- Przepraszam, Lenka, chyba cię obudziłem - zaczął. - Znalazłem komórkę - mówił zadowolony. - Leżała sobie spokojnie w kącie szuflady mojego biurka, tutaj w moim gabinecie na uczelni. Zupełnie rozładowana. Chciałem się spytać, czy podać śniadanie do pokoju hotelowego czy jesteście u tej waszej koleżanki?

„Jakiej koleżanki?” - pomyślałam. „A tak, przypomniałam sobie, przecież my nocujemy u fikcyjnej koleżanki Marty”.

- Halo, Lenka, jesteś tam?

- Jestem. Dziękuję, że się tak o nas troszczysz. Jednak wróciłyśmy do hotelu - nie chciałam dalej brnąć w kłamstwo.

- Mąż koleżanki nas odwiózł... „I nie udało się” - dodałam w myślach. Ale przecież nie mogłam mu powiedzieć, że jednak wróciłyśmy metrem.

- Więc za pół godzinki będzie śniadanko - powiedział zadowolony.

- Ale, Wiktor, naprawdę nie trzeba, jestem zakłopotana, że tyle ci zawdzięczamy - jękałam się.

- Nie mów tak, proszę. Nie pozbawiaj mnie tej przyjemności - prosił. - Jutro wyjeżdżasz? - spytał.

- Niestety - odpowiedziałam.

- Ale pozwolisz mi towarzyszyć sobie w czasie dzisiejszego wieczornego rejsu?

- Tak, oczywiście, zapraszam do naszego towarzystwa. Nie wiem tylko, czy dostaniesz bilety.

- O to się nie martw. Do zobaczenia wieczorem! Pa!

- Pa!

- Kto dzwonił? - spytała obudzona Julka.

- A któż by inny jak nie czarodziej od naszego stoliczka?

- uśmiechnęłam się. - Powiedział, że za pół godziny zaczyna czary.

- Bosko - stwierdziła uśmiechnięta Julka. Ale zaraz jej uśmiech zgasł.

- Jak sobie radzisz po wczorajszych rewelacjach? - spytała zatroskana.

- Jeszcze nie wiem - cedziłam słowa. - Dopiero się obudziłam. Muszę się umyć, zjeść śniadanie - moja odpowiedź nabierała tempa i energii. - Potem idę zwiedzać Centrum Pompidou. Obiadek, drzemka. Potem wystroję się bajecznie i płynę w romantyczny rejs. Chyba pomyślę o tym jutro jak Scarlett O'Hara. Bo dziś zamierzam się dobrze bawić. Koniec z czarnymi myślami. Porządek w planie dnia

wyeliminuje chaos z mojej głowy - na koniec trajkotałam już jak katarynka.

- Oookeeej - odpowiedziała Julka tonem w stylu: nie drażnić wariata. - To ja wstąpię do dziewczyn, przekażę radosne nowiny.

I już jej nie było. Za chwilę słyszałam przytłumione słowa Julki.

- Słuchajcie, musimy uważać na Lenkę. Chyba nie jest w najlepszej formie psychicznej.

Weszłam do łazienki i spojrzałam w lustro. „Oj, Lena, nie wyglądasz najlepiej”. Podkrążone oczy, rozczochrane włosy, przymglony wzrok. Rzeczywiście wzorcowy obraz wariatki. Zaczęłam doprowadzać się do porządku. Wzięłam prysznic, umyłam głowę i dokonałam kilku innych czynności higienicznych. Na koniec postanowiłam, że zrobię sobie nawet makijaż. Niech dziewczyny widzą, jak promienieję. Niestety lusterko, które trzymałam w dłoniach, wysmyknęło mi się z ręki i upadając na kafelki, rozbiło się w drobny mak. Zaczęłam w panice zbierać kawałki szkła. Jeden z nich przeciął mi dłoń tuż przy przegubie. Polała się krew. Niby małe skaleczenie, ale zaraz na podłodze zrobiła się spora czerwona plama. Jakby tego było mało, poślizgnęłam się na niej i wylądowałam jak długa na podłodze wśród pobitego szkła i własnej krwi.

W tym momencie do łazienki wparowały dziewczyny.

- O matko, ona chciała popełnić samobójstwo! - usłyszałam panikę w głosie Weroniki.

- Podcięła sobie żyły. Lecę po pomoc - zawołała Marta.

- Lena, nie rób nam tego, nie umieraj - błagała Julka. Zaczęłam się śmiać. Nie miałam siły się podnieść. Nie byłam w stanie wytłumaczyć, co zaszło. Wera i Lena patrzyły przerażone na moje trzęsące się ze śmiechu ciało.

- To chyba reakcja organizmu na duży ubytek krwi - mówiła przerażona Julka,

- Dawaj ręcznik, obwiążemy jej nadgarstek, żeby zatamować krwawienie - krzyknęła do niej Weronika.

Za chwilę do łazienki wpadła Marta z jakimś skośnookim facetem w białym kitlu. Wtedy pomyślałam: „O nie! Wstawaj dziewczyno, bo znając zdolności lingwistyczne Marty, to wcale nie musi być lekarz”. Zaczęłam się podnosić. On coś nawijał po francusku. Chyba nie podobało mu się, że mogę stanąć na nogi o własnych siłach. Wstałam i pokazał na migi, że wszystko gra. Przemyślałam zakrwawioną rękę i pokazałam mu na niej drobne skaleczenie i pobite lustro. Widziałam, że dziewczyny też zrozumiały, bo ich twarze rozpogodziły się jak niebo po burzy. Facet w kitlu obejrzał ranę, przemył jakimś specyfikiem, zrobił mi mały opatrunek i wyszedł.

- Marta, skąd ty wytrzasnęłaś tego gościa w parę minut? - nie wytrzymałam z ciekawości.

- Wypadłam jak szalona na ulicę, bo w recepcji nikogo nie było. I od razu zobaczyłam ambulans stojący nieopodal. Zaczęłam krzyczeć HELP, HELP! I ten facio z ambulansu bez zbędnych pytań popędził za mną - relacjonowała przejęta.

- Matko, dobrze, że był w pobliżu - zaczęła spanikowana Julka.

- Co ty mówisz? - spojrzałam na nią jak na wariatkę. - Przecież nic mi nie jest. A ten zawijas na rękę to sama sobie mogłam zrobić. Zresztą zaraz go zdejmę. To tylko mała rana.

- No tak, w sumie tak - mówiła bez przekonania Julka.

- Niemniej jednak bardzo wam dziękuję za błyskawiczną i ofiarną akcję ratunkową - zaczęłam się śmiać.

I już za chwilę wszystkie rechotałyśmy jak głupie. Chyba odreagowując stres.

- A dlaczego nie mówiłyście, że śniadanko podano? - dopiero teraz zauważyłam nakryty stół.

- Przynieśli je tuż przed twoim wypadkiem - powiedziała Marta.

- No to jedźmy! - rzuciłam jak gdyby nigdy nic.

- To jest to Centrum Pompidou? - pytała zawiedziona Julka. - Ta płatanina kolorowych rur?

- To centrum sztuki współczesnej. Budynek ze szkła i stali, którego elewację zdobią rury i przewody: niebieskie - klimatyzacyjne i przeciwpożarowe, zielone - hydrauliczne, żółte - elektryczne i czerwone - komunikacyjne. W ten sposób w środku uzyskano jeszcze większą powierzchnię wystawową - przekazałam dziewczynom treść przewodnika.

- Na zewnątrz za to szokujący efekt - podsumowała Julka.

- Ludzie lubią być poddawani takim wstrząsom wizualnym - stwierdziła Marta. - Spójrzcie, ile turystów wkoło. Wszyscy jak opętani robią zdjęcia.

- Też kilka zrobię - stwierdziła Julka, która chyba przełamała pierwszą niechęć do pana Pompidou, byłego prezydenta Francji, który zdecydował o powstaniu Centrum.

- A wiecie, że te kolorki nawet fajnie wychodzą w kadrze? - mruzczała zadowolona.

Poszłyśmy w jej ślady.

- Chodźmy na spacer! - zaproponowałam po wyczerpaniu fotograficznych ujęć. - Godzina jeszcze młoda. Pogoda znów nam dopisuje. Jak się trochę rozpędzimy, to zaliczymy jeszcze katedrę Notre - Dame - kusiłam.

- A daleko to? - zbolalym głosem zapytała Wera.

- Rzut beretem - zachęcałam.

- Idziemy - zdecydowała Marta.

Na placu nieopodal Centrum, na bruku, siedzieli ludzie. Młodzież, dzieci, pary, rodziny, ludzie starsi. Turyści i miejscowi. Ich kolorowe ubrania stworzyły barwną plamę na szarym tle kamiennej posadzki. Emanowała z nich jakaś radość i spokój. Oczy wszystkich skierowane były w jedną

stronę. Patrzyli na młodą dziewczynę. Piękną dziewczynę. Ona też siedziała na bruku i... malowała. Skupiona, szybkimi ruchami pędzla przenosiła otaczający nas miejski krajobraz na białe płótno. I tak jak natura nie poskąpiła jej urody i talentu, to jednak surowo potraktowała. Malarka nie miała rąk, trzymała pędzel palcami gołej stopy.

Patrzyliśmy na nią jak zahipnotyzowane. Podziw zmieszał się ze wzruszeniem.

- Czy nie jest to najpiękniejszy obraz natury ludzkiej? - rzuciłam cicho w przestrzeń.

Każdy z nas kolekcjonuje obrazy. Różne: portrety, krajobrazy, scenki rodzajowe, poważne, smutne, radosne i zabawne. Zatrzymane kadry życia. I chodzi o to, żeby zostawiać sobie na stałe tylko te, które nas wzbogacają, a nie okaleczają. „Portret tej młodej malarki chętnie zatrzymam w mojej kolekcji” - pomyślałam.

Ruszyliśmy dalej i już za chwilę wkroczyliśmy na most na Sekwanie i tym samym znalazliśmy się na wyspie zwanej przez Francuzów: Ile de la Cite. Uznałam, że warto powiedzieć o niej kilka zdań:

- Ta wyspa to kolebka Paryża. To tutaj w szóstym wieku przed naszą erą dotarli celtyccy wojownicy z plemienia niejakich Paryzjów. Kiedyś dostępu do niej bronił wartki nurt rzeki i głębokie bagna. Dzisiaj wchodzimy na nią wygodnym, szerokim mostem.

- Spójrzcie, już widać katedrę - powiedziała podekscytowana Julka i przyspieszyła kroku.

- Nie tak szybko - Weronika marudziła jak zwykle. Doszliśmy do sporego dziedzińca przed katedrą. Robiła wrażenie. Widziałam ją nieraz na fotografiach, obrazach i na filmie. Ale to nie to samo, co stanąć przed nią i próbować wzrokiem zmierzyć jej ogrom. To prawdziwe dzieło sztuki.

- Jest piękna - zachwycała się Julka.

- Tak, dość duży kontrast do tych powykręcanych kolorowych rur - stwierdziła Marta.

Chodziłyśmy wkoło i oczywiście robiłyśmy zdjęcia.

- To tu urzędował ten słynny dzwonnik? - spytała Weronika.

- Tak, moja droga, gdybyś hipotetycznie wspięła się po 387 stopniach na taras wieży południowej, to mogłabyś w towarzystwie fantazyjnych chimery i przesympatycznych maskaronów, patrząc na jedną z najslawniejszych panoram Paryża, poczuć się jak dzwonnik z Notre - Dame - powiedziałam z uśmiechem.

- Oj, w jej przypadku to czysto hipotetycznie - odparła ze śmiechem Marta.

- Skoro tak, to cyknę parę fotek dla córki. Uwielbiała tę bajkę - powiedziała Weronika, puszczając mimo uszu nasze docinki.

- Werka, ale ona już chyba dawno wyrosła z tej bajki - zaczęła Julka. - Moje dzieci są teraz na jej etapie.

- A właśnie, słyszałam, że Zosia i Pawełek są już w dobrej formie - zagadnęłam do Julki.

- Tak. Będę musiała jakoś odwdzięczyć się twoim rodzicom. Naprawdę są wspaniałymi dziadkami dla moich dzieci - odpowiedziała.

- Daj spokój. Dla nich to przyjemność. Nie dałam im wnuków. Więc to chyba ja jestem twoją dłużniczką - zakończyłam ze śmiechem.

Ruszyłyśmy przez dziedziniec.

- Spójrzcie - wskazałam na gwiazdę z brązu umiejscowioną na środku placu. - To Point Zero. Punkt, od którego liczone są odległości wszystkich innych miejscowości od Paryża.

- Dziewczyny, głodna jestem - usłyszałyśmy głos Weroniki.

- Dlaczego nas to nie dziwi? - mrugnęłam do Julki porozumiewawczo.

- W takim razie chodźmy coś przekąsić, ale drobnego, bo wieczorem czeka nas prawdziwa uczta - zdecydowałam.

Wtrząchnęłyśmy po hot - dogu. Popiłyśmy colą i ruszyłyśmy do stacji metra.

- Nie ma to jak trochę węglowodanów okraszonych tłuszczem - powiedziała Marta, głaskając się po brzuchu. - Od razu człowiekowi robi się tak dobrze.

- A jakie to niezdrowe - zauważyła Julka. - Jak sobie pomyślę, co było przemielone w tej parówce, to robi mi się niedobrze.

- Bo ty za dużo myślisz - stwierdziła Weronika.

- Moja jedna koleżanka - Marta zaczęła kolejną przypowieść - nie ta od geja - wtrąciła szybko, spoglądając na Julkę - ciągle przejmowała się zdrowym odżywianiem. Jak raz z nią i jeszcze taką inną babką pojechałyśmy poszpendać się po górach, to ciągle liczyła nam kalorie. I dawała wykłady, co należy jeść, jak należy jeść i kiedy. Naczytała się jakichś poradników dietetycznych i na siłę próbowała zainteresować tym innych. Normalnie chodzący paragraf żywieniowy. My głodne jak jasna cholera po całym dniu łożenia, wcinamy sobie jajecznicę na boczku w schronisku, popijamy piwkiem, a ona zaczyna swój wykład: jaki to boczek jest kaloryczny, a ile cholesterolu, że w naszym wieku to w ogóle powinniśmy wykluczyć tłuszcze zwierzęce. A piwo?! Kategoriecznie zakazane. Kalorie osiągają w nim apogeum, a jego jakiś tam indeks glikemiczny to po prostu lewituje pod sufitem. Normalnie aż nam apetyt przeszedł. Wróciłyśmy z tych gór. I pewnego dnia spotykam ją w restauracji. Patrzę i oczom nie wierzę. Siedzi sobie zadowolona, wcina golonę z kapustą, aż jej się uszy trzęsą, i wszystko zapija piwem z litrowego kufla - mówiła z oburzeniem.

- I co jej powiedziałaś? - zapytała zaciekawiona Julka.

- A co miałam powiedzieć? Smacznego. Mściwa nie jestem

- zakończyła pogodnie Marta.

Wsiadłyśmy do metra. Oczywiście zatłoczonego, że szpilki nie wciśniesz. Ściśnięte jak sardynki w puszcze stałyśmy jedna przy drugiej. Żaden manewr ręką czy nogą nie wchodził w grę.

- Ja już nie mogę - jęczała Weronika. - Chyba wyduszą mi tego hot - doga.

- O matko, lepiej nie - przeraziła się stojąca najbliżej Wery, Julka.

- Jak gorąco - narzekała dalej Weronika. - Normalnie czuję, jak pot ścieka mi między pośladkami.

- To bardzo interesujące, co pani mówi - odezwał się nagle jakiś melodyjny męski głos gdzieś z tyłu.

- Fak, w tym wagonie są Polacy, uważajcie, dziewczyny, co mówicie - przeszła teraz na konspiracyjny szept. Nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu.

- Jak miło posłuchać ojczystej mowy - kontynuował męski głos. - Zwłaszcza w takim wykonaniu.

- Przepraszam bardzo - zaczęła oficjalnym głosem Julka. - Ale my pana nie znamy i nie widzimy - dokończyła z godnością.

- Konrad Walenrod - przedstawił się. - Pisane przez jedno „l”.

- Tak, a my księżniczki Jagiellonki - odpowiedziała Marta - pisane przez dwa „l”.

- Panie sobie żartują, a ja mówię poważnie - odpowiedział nieco urażony. - Zapraszam na kawę. Z przyjemnością przedstawię historię mojego nazwiska.

- Chętnie - odpowiedziała kokieteryjnie Weronika.

- Daj spokój, nie znasz faceta - szeptała Julka. - Naprawdę wierzysz, że to potomek jakiegoś mistrza krzyżackiego?

- Poza tym musimy trochę odpocząć i szykować się na wieczorną balangę - próbowałam szeptem wyperswadować' schadzkę Weronice.

- Spokojnie, najpierw go sobie obejrzę. Jak mi się nie spodoba, to nie idę - szeptała uspokajającym tonem, czym wcale nas nie uspokoila.

- Chyba oszalałaś - nie mogłam już ukryć wzburzenia. - Nigdzie nie pójdziesz.

- A założymy się? - nie dawała za wygraną Weronika.

- Spokojnie. Na pewno wysiądzie na innym przystanku niż my - uspokajała Marta.

Ja jednak nie byłam tego taka pewna. Ale nie chciałam już kontynuować tej obrastającej w emocje dyskusji w pociągu, więc zamilkłam i w duchu modliłam się, żeby Marta miał rację.

Nie miała. Ledwo wysiadłyśmy na naszej stacji, obok na pojawił się jakiś wysoki, niestety dość przystojny brunet i za gadał radiowym głosem rzekomego Konrada Walenroda.

- Witam panie. To właśnie ja.

Widząc, że nie mamy szans na wyperswadowanie Werze tego pomysłu z głowy, poczłapałyśmy do pobliskiej kawiarni. Zamówiliśmy po kawie i radiowy głos zaczął nadawać.

- Panie pewnie zwiedzają Paryż - ' zaczął. - Ja tu pracuję i czasami mam już serdecznie dość tego miasta. Ciągły tłok i ścisk.

- Jak można mieć dość Paryża? - dziwiła się Julka.

- Ja pana doskonale rozumiem - zaczęła Weronika. - Ile można zachwycać się ciągle tym samym.

- Tak, Piotr ma zapewne podobne podejście do życia - mruknełam pod nosem.

- Więc skąd wzięło się pańskie nazwisko? - nie dała za wygraną Marta.

- Wyobraźcie sobie, panie, że mój ojciec urodził się pod zupełnie innym nazwiskiem. I dobrze mu się z nim żyło. Ale kiedy zakochał się w mojej matce, wtedy młodej, pięknej dziewczynie o tycjanowskiej urodzie... Bardzo podobnej do pani - spojrzał przeciągle na Martę. A ta uśmiechnęła się dyskretnie. - No więc kiedy się w niej zakochał i poprosił o jej rękę, ona zgodziła się, ale pod jednym warunkiem, że najpierw mój ojciec zmieni nazwisko. Bo przy panińskim zostawać nie zamierzała, a jego nazwisko jej nad wyraz nie pasowało.

- A jakie to było nazwisko? - spytała Weronika.

- Rudy.

- Rudy? Przecież to nie jest nic obraźliwego - zdziwiła się Julka.

- Niby nie, ale matka zawsze powtarzała, że jest ruda i jakby się jeszcze miała nazywać Ruda, to wolałaby się raczej zapaść pod ziemię. Nikt poważnie by jej nie traktował. Wszyscy myśleliby, że to przezwisko, a nie nazwisko. Poza tym dzieci też mogą być rude, a rudy chłopiec o nazwisku Rudy nie będzie miał w szkole życia.

- Coś w tym jest - stwierdziła Marta. - Rudy ma zawsze pod górkę. A podwójny rudy to pod Mount Everest,

- No więc ojciec, choć niechętnie, bo jemu Rudy kojarzył się raczej z czołgiem z filmu „Czterej pancerni i pies”, którego był fanem, poszedł załatwiać urzędowe sprawy, Matka z kolei zakochana po uszy w twórczości Mickiewicza uparła się przy nazwisku Wallenrod. Niestety gdy ojciec wypełniał druk do zmiany, zrobił błąd i zapomniał o podwójnym „l”.

- Ale czy z takim nazwiskiem i na dodatek imieniem było panu łatwo w szkole? - powątpiewała Marta.

- Drogie panie, co ja przeżyłem. Ile docinków musiałem znosić. Zwłaszcza w szkole średniej, gdy po przeczytaniu obowiązkowej lektury Mickiewicza, pochodzenie mojego nazwiska stało się dla wszystkich jasne. Wtedy poprzysiągłem sobie, że jak tylko będę mógł, ja również zmienię nazwisko. Na Rudy.

- Na Rudy? - zdziwiła się Julka.

- Tak, dla mojego dziadka, ojca mojego ojca. On nigdy nie mógł przeboleć, przy całym swoim szacunku dla naszego wieszczą, że jego rodzony wnuk nosi inne nazwisko.

- Jednak nie zrobił pan tego? - zapytała Weronika.

- Dziadek niestety szybko umarł. A ja po przejściu buntu młodzieńczego pogodziłem się z sytuacją.

- Ale mama niepotrzebnie się martwiła - uśmiechnęła się Marta. - Pana włosy są kruczoczarne.

- Ale szaleję za rudymi kobietami - odpowiedział i mrugnął znacząco do Marty.

A ona... spojrzała na niego maślanymi oczami. „Co się tu wyrabia! Ten Paryż zupełnie nas sprowadzi na manowce” - pomyślałam.

- Dziękujemy za kawę. Na nas już czas - powiedziałam stanowczo i wstałam.

- Ale ja niczego się nie dowiedziałem o paniach - skarżył się.

Dziewczyny również wstały. Nawet Weronika szykowała się do wyjścia. Chyba Walenrod zraził ją adorowaniem Marty.

- Jedyne, co mogę panu powiedzieć: na Aldonę żadna z nas się nie nadaje - powiedziałam i ruszyłam w kierunku drzwi. A za mną, jak gęsi za panią matką, Julka, Weronika i Marta.

- Dzwonił Wiktor. Przyjedzie po nas samochodem - zakomunikowałam dziewczynom po krótkiej rozmowie przez telefon.

Leżałyśmy w pokojach hotelowych, każda na swoim łóżku, i nabierałyśmy sił na wieczorno - nocne balety.

- Wiesz co, Lenka? Ja chyba napiszę książkę - zwierzyła mi się Julka. - Ten nasz wypad do Paryża tak mnie zainspirował. Samo sprzedawanie książek to trochę mało. Ja chcę również je tworzyć.

- Brawo, Julka. Popieram. Pamiętam jeszcze z czasów licealnych, jak dobrze ci szło pisanie. Jak wyczadziłaś ten błyskotliwy referat o mniejszościach seksualnych, to naszej poczciwej polonistce szczeka opadła do samej podłogi.

Zacząłyśmy chichotać, wspominając szkolne, szalone lata.

- No i w końcu skończyłaś przecież swojego czasu filologię polską - dodałam. - Masz więc i kwalifikacje, i talent.

- Dzięki za słowa wsparcia. Nie wiem tylko, czy znajdę na to czas w swoim napiętym grafiku matki, żony, kochanki i początkującej businesswoman.

- Julka, wiem na pewno, że moi rodzice chętnie wezmą etat dziadków na stałe. Więc wal do nich jak w dym, kiedy tylko będziesz chciała mieć wolne popołudnie, wieczór czy nawet weekend. Wczoraj do mnie dzwonili. Są zachwyceni twoimi dziećmi. Mnie też możesz wziąć pod uwagę przy planowaniu dyżurów przy nich. Chętnie sprawdzę się w roli cioci.

- Dziękuję. Nie wiem, jak się wam odwdzięczę - odpowiedziała Julka.

- Po prostu nie wspominaj o nas w swojej książce - zażartowałam.

- Nie, absolutnie, nikogo z nazwiska i imienia nie wymienię. Ale tak barwna postać jak ty na pewno znajdzie w niej swoje alter ego.

- Nie zgadzam się! - krzyknęłam i rzuciłam poduszką w Julkę, która niewiele się zastanawiając, z całym impetem odrzuciła mi ją z powrotem. A sekundę po tym już były u nas zwabione naszym śmiechem rezydentki pokoju 203, które widząc, co się dzieje, zaraz dołączyły do naszej poduszkowej bitwy ze swoimi jaškami.

- Ale supernawalanka - cieszyła się Marta. - Ostatnią taką pamiętam z czasów kolonii.

- Ty, kolonistka, a nie chciałabyś się przypadkiem nazywać Walenrod przez jedno „l”? - spytała trochę zaczepnie Weronika i rzuciła poduszką w Martę.

- Marta Walenrod. Nawet pasuje - podsumowała Julka, rzucając w Weronikę.

- Ciekawe, czy już jest jakaś pani Walenrod? - zawahałam się, nie wiedząc, w którą trzepnąć jaškami, i sama dostałam prosto w twarz od Julki.

- Ciekawe, czy w ogóle jest jakiś Walenrod? - powiedziała Weronika. - Ja nie uwierzyłam w ani jedno jego słowo. To był zwyczajny podrywacz.

- Może i tak - powiedziałam. - Ale z nami mu się nie udało. Prawda, Marta? - spojrzałam na nią wymownie.

- Wiesz, już dawno żaden mężczyzna tak na mnie nie patrzył - powiedziała rozmarzona, tuląc się do jaška. - Mój Jurek to kochany człowiek. Ale on nie ma w sobie za grosz romantyzmu. Czasami mam wrażenie, że jestem jednym z jego kumpli. Dobrze jest razem wypić piwo i obejrzeć mecz siatkówki. Ale jak mi ostatnio zaproponował udział w męskiej wyprawie na łososia do Norwegii, to pomyślałam, że coś jest nie w porządku albo ze mną, albo z nim. A ja chętnie wybrałabym się od czasu do czasu na kolację przy blasku świec. On w garniturze, ja w zwiewnej sukience. Muzyka, wino i taniec - mówiła z przymrużonymi oczami, jakby miała jakąś przyjemną wizję.

- Mój Andrzejek za to jest taki praktyczny i przewidywalny - Julka wyrwała Martę z krainy marzeń. - Zero spontanu. Nawet seks uprawiamy zawsze w tej samej pozycji. Normalnie jakby wszystko było wymierzone ekierką i kątomierzem. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz zrobił mi jakąś niespodziankę albo chociaż czymś zaskoczył.

- Uważaj, o co prosisz, bo może być ci dane - pogroziłam palcem. - Jak mnie ostatnio mój eks zaskoczył, to do dzisiaj nie mogę dojść do siebie.

- A ja nawet nie wiem, co słyszeć u mojego staruszka - stwierdziła Weronika. - Nie pokazał się. Chyba już wcale nie jest o mnie zazdrosny - słuchać było nutkę żalu w jej głosie.

Nawet nie wiedziała, jak bardzo się myliła.

Wiktor zajechał pod hotel punktualnie jak w zegarku. My za to po kolejnej stoczonych batalii o szalowy image, wyszliśmy z niego troszkę spóźnione. Gdy nas zobaczył, wyskoczył z samochodu i przywitał się z każdą po kolei. Ze mną dużo bardziej wylewnie. Usadził nas w samochodzie, mnie z przodu.

- Jak udał się dzisiejszy dzień? - zaczął rozmowę. - Wspaniale - powiedziałam. - Centrum Pompidou robi wrażenie. A katedra Notre - Dame to istna perełka.

- Mnie się ta plątanina rur średnio podobała - przyznała Marta.

- Za to wpadł jej w oko pewien Konrad o dość oryginalnym nazwisku Walenrod przez jedno „l” - powiedziała z przekąsem Wera.

- Konrad Walenrod? - zaśmiał się Wiktor.

- Chyba nas wkręcał - zawtórowałam mu śmiechem i w tym momencie dostałam SMS - a na komórkę:

„Uważaj! Okazało się, że Chojnicki wybiera się do Paryża. Może pojawić się dziś wieczór całkiem blisko ciebie” - informował mnie Marek.

Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz.

- Jakież złe wieści? - spytał zaniepokojony Wiktor.

- Nie, rodzice piszą, że mamy się jutro przygotować na brzydką i chłodną pogodę w Polsce - skłamałam. - Od razu zrobiło mi się zimno - dodałam.

- Dziwne, bo mój Andrzejek mówił mi przez telefon, że robi się coraz cieplej - powiedziała Julka.

- A jak tobie minął dzień? - szybko zmieniłam temat, kierując pytanie do Wiktora.

- Jak zwykle dobrze. Parę godzin wykładów na uczelni. Potem pracowałem kilka godzin nad nową książką. Godzinka wywiadu dla francuskiego miesięcznika kulturalnego.

- Niezły grafik - powiedziałam z uznaniem. - Wykłady, wywiady...

- Już widzę te wpatrzone w pana studentki - zaczęła słodkim głosem Weronika. - Na pewno pana wykłady są oblegane przez młode, piękne dziewczyny.

„Ta chyba nigdy nie odpuści” - pomyślałam, kręcąc głową.

- A czego będzie dotyczyć pana nowa książka? Jeśli to ni tajemnica - spytała Julka.

- Jak zwykle sztuki. Sztuka to kopalnia tematów.

- Tak, a Paryż to kopalnia sztuki. Jesteś w bardzo dobrym miejscu - uśmiechnęłam się.

Ale nie było mi do śmiechu. Chojnicki, podobno zbzikowany na moim punkcie starszy pan przyjeżdża do Paryża. „I po co on tu leci na jeden dzień? - pomyślałam. Przecież ja jutro wylatuję. Czarna komedia. Niech przybywa. Pogadam z nim sobie od serca”.

Dojechaliśmy na miejsce. Na wieży Eiffla właśnie zaczął się codzienny taniec światła. Statek już czekał. Jego górny pokład był cały zabudowany szkłem, przez które widać było nakryte stoły i stojące na nich zapalone lampki, dające przyjemne, dyskretne oświetlenie. Pasażerowie powoli zajmowali swoje miejsca. Wszyscy elegancko ubrani. Nasze kreacje też były niczego sobie. Podążyliśmy za nimi.

Kelner zaprosił nas do jednego z okrągłych stołów ustawionych w przedniej części statku. Wokół nas roztaczał się wspaniały widok na podświetlone nabrzeże, mosty i czarną Sekwanę, w której kołysało się odbite światło. Otaczające nas ze wszystkich stron panoramiczne szyby odgradzały od kwietniowego chłodu, ale jednocześnie zapraszały nastrojową scenerię paryskiej rozświetlonej nocy do środka. Nie mogłam nasycić oczu tymi widokami. Rozglądając się dookoła, natrafiłam na spojrzenie Wiktora. On patrzył tylko na mnie.

- Matko, jak tu jest pięknie - jęczała zachwycona Julka. - Tak bardzo chciałabym pokazać to wszystko Andrzejowi. Ale zdjęcia tu na pewno nie wyjdą.

- Wszystko mu opiszesz - mrugnęła do niej Marta. Wokół nas krzatali się kelnerzy. Nalewali wino, roznosili zakąski. W środkowej części statku, w której znajdował się też parkiet taneczny, do grania szykował się zespół muzyczny. Dwie ubrane w długie suknie babki, jedna w różową, druga w czarną, i dwóch facetów we frakach.

Wiktor uniósł kieliszek i zaproponował:

- Drogie panie, wznieśmy toast za ten wieczór. Ja dziś zapewniam nieograniczony dostęp do francuskiego wina.

- A nie możecie w końcu mówić sobie po imieniu? - zaproponowałam.

- Ależ oczywiście, chętnie - odezwały się dziewczyny. Wiktor wstał, skłonił się ze sobą właściwą dystynkcją i powiedział:

- Przyjaciele Lenki są moimi przyjaciółmi.

Wera pierwsza rzuciła się do całowania, dziewczyny poszły w jej ślady. Panie ze stolika obok spojrzały z zazdrością. „Fajnie musimy wyglądać - pomyślałam. Jeden męski rodzynek i cztery kobitki. Wielki piąty. Najpierw namówiłam dziewczyny na babski wypad. Same kobiety bez mężczyzn. Teraz jako jedyna mam parę. Nieźle, Lena, sobie to wykombinowałaś”.

Statek ruszył i w tym samym momencie otoczyła nas muzyka. Nastrojowa, romantyczna, taka francuska. Za chwilę wkomponował się w nią wokół pań. Widoki wokół nas zaczynały się zmieniać. Podziwialiśmy wspaniałe, przepięknie oświetlone budowle.

- Czy mogę prosić? - usłyszałam nagle głos Wiktora tuż przy mnie.

Spojrzałam zdziwiona. Na parkiecie już kręciły się jakieś pary.

- Z przyjemnością - odpowiedziałam z uśmiechem. „Może to nasz ostatni wspólny wieczór” - pomyślałam. Spojrzałam przeprasząco na dziewczyny, które w zamian przesłały mi całusy.

Objął mnie mocno i zaczęliśmy wirować w takt muzyki.

- Lenka, czy nie mogłabyś przedłużyć tego pobytu tutaj? - spytał z prośbą w oczach. - Chętnie bym cię ugościł u siebie. Poznałabyś mojego synka. Poznałabyś mnie.

- Jesteś bardzo miły. Ale muszę wracać. Mam kilka pilnych spraw do załatwienia w Polsce.

- Szkoda. Ale rozumiem. Odetchnęłam z ulgą.

- W takim razie ja udam się z wizytą do Polski - powiedział. - Tym razem nie odpuszczę.

Przestaliśmy wirować. Teraz po prostu trzymał mnie w ramionach.

- Nie popełnię drugi raz tego samego błędu. Wtedy byłem młody, niedojrzały, niecierpliwy - mówił rozemocjonowany. - Uciekłem jak najdalej, bo widok ciebie z innym był nie do zniesienia. Myślałem o sobie. Teraz chcę przede wszystkim dać szczęście tobie. Wiem, że jeszcze nie jesteś na to gotowa. Ale ja poczekam. Czuję, że nam wyjdzie.

Patrzyłam na niego i nie mogłam zdobyć się na odtrącenie jego uczuć. „Nie kocham go - myślałam. Ale mnie pociąga. Lubię jego towarzystwo. Lubię jego głos i zapach. Jak przyjemnie i bezpiecznie czuję się w jego ramionach”. Zaczęliśmy kołysać się w rytm muzyki. Statek sunął dostojnie przez rozświetloną noc. „Czy dlatego miałam przyjechać do Paryża? - rozważałam dalej. Po miłość? Jedni mówią, że życiem rządzi czysty przypadek. Inni, że nic na świecie nie zdarza się przez przypadek. Może to jest moja szansa? A może po prostu poddałam się nastrojowi tej chwili? Chwilo, trwaj!”

- Usiądźmy - poprosiłam. - Muszę wznieść toast. Wróciliśmy do moich rozgadanych przyjaciółek. „Chyba trochę wina upłynęło od naszego odejścia od stolika” - pomyślałam, patrząc na nie. Kelner właśnie podawał nam kolejne wykwintne danie wraz z kolejną porcją wina. Zjedliśmy z apetytem.

- Dziewczyny, wznosimy toast - zaczęłam - za moje nowe życie. Tuż przed przyjazdem tutaj definitywnie pożegnałam się z Piotrem. Odsprzedałam mu po bardzo dobrej cenie moją połówkę apartamentu i tym samym zniknęła ostatnia namacalna rzecz, która nas łączyła.

Moja krótka przemowa została przyjęta z aplauzem i przypieczętowana kolejnym kieliszkiem wina. Wstawiona już nieco Julka wstała nagle i zaczęła recytować:

„Precz z moich oczu!... posłucham od razu, Precz z mego serca!... i serce posłucha, - - Precz z mej pamięci!... nie tego rozkazu Moja i twoja pamięć nie posłucha”.

- Co nam tu z tą poezją wyjeżdżasz? - spytała Weronika.

- A nie, tak mi się skojarzyło - mówiła zadowolona Julka.

- Dobrze kojarzy dziewczyna - powiedziałam. - Z serca już się chyba udało, z pamięci go nigdy nie wyrzucę. Ale na szczęście mądra natura tak skonstruowała naszą pamięć, że ona sama oczyszcza się ze złych wspomnień, jeśli jej tylko na to pozwolimy.

- Święta racja, lecę oczyszczać moją pamięć przez taniec - zawołała radośnie Weronika i pobiegła na parkiet.

Wiktor przeprosił na chwilę i gdzieś zniknął. Julka i Marta podziwiały widoki za oknem. Właśnie przepływaliśmy koło katedry Notre - Dame. Jej nocne oblicze zapierało dech w piersiach. Nagle usłyszeliśmy głos Wiktora nadawany przez głośniki.

- Tę piosenkę chciałbym zadedykować miłości mojego życia, Lenie.

Potem powiedział chyba to samo po francusku. Rozległy się gromkie brawa i statek wypełniła francuska piosenka o miłości. A Wiktor znów porwał mnie do tańca. Poczułam, jak zbliża usta do mojego ucha i namiętnie szepcze polskie słowa piosenki. „Czy to możliwe, żeby facet był tak romantyczny?” - pomyślałam. A on chyba czytał w moich myślach, bo powiedział nagle:

- Ja nie udaję, Lenka. Ja tak czuję. W końcu po tylu latach mogę ci to powiedzieć. Nawet nie wiesz, jaka to radość, jaka to ulga.

- Wiktor, to wszystko bardzo mi schlebia. Ale ja nie chcę cię oszukiwać. Ja...

- Ciii - uciszył mnie. - Nic nie mów. Nie wkładajmy do naszej pamięci niepotrzebnych słów, które mogą potem ranić. To, co dzisiaj wydaje ci się oczyszczającą prawdą, jutro może być zatruwającym kłamstwem. Prawda jako taka nie istnieje. Każdy z nas ma swoją prawdę, swój świat, swój własny

mikrokosmos, w którym żyje. Proszę, nie burz mojego świata. Ja niczego nie żądam. Jeśli nie chcesz, nie pojedę do Polski. Dam ci zaczerpnąć oddechu. Ale pozwól, że będziemy w kontakcie.

- Oczywiście - odpowiedziałam uspokojona. Skończyła się nasza piosenka i wtedy zauważyłam, że do

Weroniki dokleił się jakiś facet. Zaczęli tańczyć następny kawałek, a on coraz mocniej przyciskał się do niej i coraz śmielej sobie poczynał. „Obmacywacz” - pomyślałam. Chciałam już ruszyć w ich stronę, gdy z boku jak strzała wpadł jakiś mężczyzna. Wprost na nich. Rozdzielił ich i trzasnął z całej siły pięścią w twarz rozochoczonego tancerza, któremu wraz z cieknącą z nosa krwią przeszła ochota na wszystko. Wystraszona Weronika krzyknęła i zakryła twarz dłońmi. Zamurowało mnie na moment, ale jak tylko odzyskałam sprawność ruchową, natychmiast doskoczyłam do niej. Wiktor podążył za mną. Obmacywacz bezradnie leżał na ziemi, więc Wiktor nie do końca wiedząc, o co tu chodzi, odruchowo chwycił za fraki drugiego mężczyznę, i wtedy Weronika wydała z siebie ogłuszający okrzyk:

- Adam?!!! To ty?!!

Gdyby zdziwienie można było mierzyć w decybelach, to w tym wypadku ich liczba odpowiadałaby pracy młota pneumatycznego. Chociaż sam okrzyk też nie wypadłby dużo gorzej. Zadziałał dokładnie jak alarm, sprawiając, że prawie cała obsługa statku, miałam nadzieję, że oprócz kapitana, zleciała się na miejsce zbrodni. A niemal wszyscy goście zwrócili głowy w naszą stronę. Niektórzy nawet wstali z miejsc. Zawstydzony obmacywacz szybko pozbierał się z podłogi i ulotnił. Wiktor widząc, że Wera tuli się do napastnika, uspokoił załogę, która rozeszła się do swoich zajęć.

Adam wyglądał trochę inaczej niż zwykle. Miał wąsy i brodę. Normalnie z lekką łysinką, teraz z bujną czupryną.

- Pozwólcie, że was sobie przedstawię - próbowałam mimo wszystko stosować się do zasad savoir - vivre. - Kolega z dawnych lat - Wiktor, mąż Weroniki - Adam.

Panowie z lekkim ociąganiem, ale podali sobie ręce.

W czwórkę podeszliśmy do naszego stołu. Co najdziwniejsze, Julka i Marta w ogóle nie zauważyły całego zajścia i chyba nawet na moment nie przerwały rozmowy. Zwróciły na nas uwagę dopiero, jak usiedliśmy do stołu. Kelner dostawił szybko dodatkowe krzesło i położył nakrycie dla Adama.

- O, Adam! - zawołały chórem.

- Skąd ty się tu wzięłeś? Chyba nie przyplynałeś tu wpław? - Julka zrobiła wielkie oczy.

- Nie ma o czym mówić - stwierdził sucho. - Ja sobie z Weroniką pogadam na osobności.

- Ależ kochanie - zaczęła Weronika. - Dobrze, że się pojawiłeś, w samą porę. Ten napalony facet mnie tak przydusił, że głosu nie mogłam z siebie wydać.

Uśmiechnęłam się pod nosem, bo z boku to raczej tak nie wyglądało.

- Weronika już bardzo za tobą tęskniła - próbowałam go udobruchać.

- Mam ją cały czas na oku i jakoś nie zauważyłem - powiedział bez emocji.

- To ty nas śledziłeś w tej ciemnej uliczce? - oskarżycielskim tonem spytała Wera.

- Aż taka ciemna nie była, skoro mnie zauważyłyście.

- Jak możesz nas straszyć!?! - Weronika sprytnie przeszła z obrony do ataku. - Czy ja już nie mam nawet prawa do samodzielnego wypadu z przyjaciółkami?! - oburzyła się i zapiła wzburzenie winem.

Poszliśmy wszyscy w jej ślady. A Wiktor od razu uzupełnił braki w kieliszkach.

- Ja was tylko pilnowałem - zaczął się bronić. - Włóczył się za wami jakiś facet. Też go miałem na oku. Już nawet miałem iść na policję, ale się chyba odczepił.

Wszystkiemu przysłuchiwał się uważnie Wiktor, któremu ze zdziwienia uniosła się jedna brew. Druga uniosła się jeszcze wyżej, gdy Adam odkleił wąsy i brodę i zdjął perukę. Nic nie mówiąc, napił się wina.

Poszliśmy w jego ślady.

„Pewnie zauważył Marka - pomyślałam. A Marek z kolei dostrzegł Adama. Chodzili we dwóch za nami”.

- To dziwne, że cię nie widziałam - stwierdziła Weronika.
- Chyba przez tę charakteryzację. Bombowa. Moja szkoła.

- Tak, te przebieranki to u was chyba rodzinne - zauważyłam. „Jednak ten Adam nie jest taki sztywny, jak sądziłam” - pomyślałam. I uczciłam to winkiem. Reszta poszła w moje ślady.

Biedny, niewtajemniczony Wiktor siedział tak z tymi brwiami, aż mi się go zrobiło żal.

- Wszystko ci potem wyjaśnię - szepnęłam mu do ucha.

- A co porabiałeś w czasie akcji „Poszukiwanie zaginionej Weroniki”? - spytałam.

- A ona wam zginęła? - zdziwił się Adam. - Pewnie wtedy jak szwendała się od sklepu do sklepu. Masz, kochanie, kondycję - popatrzył na żonę z podziwem.

Wino wyraźnie poprawiło mu humor.

- Cały czas włóczyłeś się za nami? - zdziwiła się Weronika.

- Nie, nie, niektóre punkty programu opuszczałem. Nie miałem zdrowia tyle pedałować. Zwłaszcza te dopołudniowe. No i jednego wieczora się zupełnie pogubiłem. Jak się

rozdzieliłyście. Gdzie ty się wtedy podziewałaś? - popatrzył groźnie na żonę.

„Aha, Moulin Rouge go ominęło” - pomyślałam.

- Ale tak właściwie to po co za nami chodziłeś? - spytała z głupia frant Marta.

- Muszę mieć oko na moją żonę - powiedział dobitnie Adam. - Czasami ma niezbyt mądre pomysły - uśmiechnął się do niej czule i objął w pasie.

„Ta zazdrość to element ich miłości - podsumowałam w myślach. A sztubackie podchody to jakaś forma zabawy. Może i jest to jakiś sposób na utrzymanie temperatury uczuć. Ale jak dla mnie, dość egzotyczny”.

Wino rozluźniło wszystkich. Adam szeptał coś do ucha wniebowziętej żonie. Marta z Julką zaczęły śpiewać standardowe „Hej, sokoły”, robiąc niewątpliwą konkurencję śpiewającym paniom z zespołu. Wiktorowi brwi opadły na pierwotne miejsce i czule głaskał mnie po plecach. Rejs powoli dobiegał końca.

Wyszliśmy na brzeg. I mój szampański humor ulotnił się jak kamfora. Przy trapie stał komitet powitalny w postaci... Grubcia.

Jego mina stężała, gdy zobaczył czule obejmującego mnie Wiktora. „Oho, będą kłopoty” - pomyślałam. I niestety miałam rację.

- Ewo, musimy porozmawiać - z groźbą w głosie powiedział... do mnie? „Jaka Ewo?” - w myślach kombinowałam, skąd takie imię mogło mu przyjść do głowy.

Podszedł i szarpnął mnie za rękę. Widziałam, jak brwi Wiktora znowu szybują pod grzywkę. To dziwne, że w takich momentach człowiek dostrzega takie szczegóły. Teraz czas przyspieszył, nabierając tempa jak z filmu akcji.

Chojnicki szarpnął mnie za rękę i odciągnął na bok. Uderzył w twarz i krzyknął:

- Ty dziwko, jak możesz? Po tym, co dla ciebie zrobiłem?!!!

Wtedy do akcji błyskawicznie wkroczył Wiktor, który próbował obezwładnić napastnika. Ale tamten mimo wieku i tuszy dysponował jakąś niepojętą siłą, z którą zadał zaskoczonemu Wiktorowi cios prosto w splot słoneczny. Wiktor zwinął się z bólu. W tym momencie zareagował Adam. Rzucił się na Chojnickiego i próbował powalić go na ziemię. Stałyśmy jak zamurowane, prawie nie oddychając. Wiktor pokonał ból i dołączył do Adama, który szamotał się z szaleńcem. W końcu we dwóch powalili go na ziemię.

I wtedy znienacka pojawił się policyjny radiowóz. Uzbrojeni funkcjonariusze dopadli do mężczyzn i już za chwilę, mimo naszych protestów, wszyscy trzej zostali zakuci w kajdanki i wepchnięci do radiowozu. Nas zaproszono, bez możliwości odmowy, do jakiegoś cywilnego samochodu. Zanim zamknięto jego drzwi, w ostatniej chwili zauważyłam, jak do jednego z funkcjonariuszy dopadł zdyszany Marek. - To on jeszcze jest w Paryżu - wyszeptałam, niczemu się już nie dziwiąc.

Ruszyliśmy. Oszołomione i przestraszone, siedziałyśmy w milczeniu, bijąc się z czarnymi myślami. Podróż była krótka. Za chwilę zaprowadzono nas na posterunek. Weszłyśmy do pustego, rażącego bielą pokoju, gdzie wskazano nam krzesła.

- Czy któraś z was ma przy sobie paszport? - zapytałam. - Na pewno będą chcieli jakieś dokumenty. Ja niestety nie wzięłam z hotelu - powoli odzyskiwałam jasność umysłu.

- Ja mam - powiedziała cicho Julka.

Do pokoju wszedł jakiś wyższy rangą funkcjonariusz. Ledwo otworzył usta, Julka wcisnęła mu w ręce swój paszport.

- Panie władzo kochany, ale oni są niewinni - zaczęła błagalnym tonem.

- Po co ty się, kobieto, wysilasz? - twardo odezwała się Weronika. - Przecież ten żabojad cię w ogóle nie rozumie. I generalnie ma nas w dupie. Popatrz na jego zaciętą minę i to nienawistne spojrzenie. Myśli, że złapał polską szajkę nadrzeczną. I teraz dostanie medal za rozbicie znanego gangu sekwańskiego. Pływają statkiem i robią zadymy. Nie dość, że napadł na nas jakiś wariat, to jeszcze trzymają nas tu za karę.

„Chyba alkohol jej jeszcze nie wywietrzył” - pomyślałam. Ale już za chwilę miałam wątpliwość, czy ja sama nie jestem na totalnej bani.

- Jak tylko panie przesłuchamy, puścimy wolno - policjant przemówił zupełnie poprawną polszczyzną, z lekkim francuskim akcentem.

„Czy ja śnię czy pod wpływem alkoholu zaczęłam rozumieć francuską mowę?” - kalkulowałam.

Weronika oblała się rumieńcem w przepięknym amarantowym kolorze. Julka rozdziawiła buzię, a Marta dostała tiku nerwowego.

Zeznawałyśmy pojedynczo. Mnie wzięli na pierwszy ogień. Staralam się ściśle odpowiadać na pytania, ale w końcu nerwy mi puściły.

- Ja już nie mam siły, panie policjancie. Zostałam porzucona, bezdomna, a teraz ciągle mnie ktoś śledzi - mówiłam płaczącym, trochę rozedrganym głosem.

- Proszę się uspokoić. Wszystko będzie dobrze. Współdziałamy z polską policją. Będą trzymać pana Chojnickiego z dala od pani.

Po przesłuchaniu jeden z funkcjonariuszy zaprowadził mnie do jakiejś jadalni i poczęstował herbatą.

- Czy wy tu wszyscy mówicie po polsku? - zrobiłam eksperyment, nie dowierzając własnym zmysłom. „Jeśli ten

też mówi w mojej ojczystej mowie - pomyślałam - to na bank teraz chrapię w łóżku hotelowym, a może nawet śpię w domu moich rodziców i dopiero jutro wyruszę do Paryża. A to wszystko dookoła to tylko sen".

Odpowiedział coś po francusku, uśmiechnął się i wyszedł.

- Aha - zamruczałam do siebie.

W oczekiwaniu na następną członkinię gangu zajęłam się picciem herbaty i rozmyślaniami, „Co oni zrobili z Wiktorem i Adamem? Chyba ich nie wpakowali za kratki?! Przeze mnie jeszcze wylądują w więzieniu". I już oczyma wyobraźni widziałam ich w białe - granatowych pasiakach i drewnianych chodakach na gołych stopach, wychudzonych, z podkrążonymi oczami. Nawet zaczęłam im meblować celę.

- Co tak rozmyślasz? - z więzienia wyrwał mnie głos Weroniki.

- O, jesteś! - ucieszyłam się na jej widok. - I co, mścił się za to, co o nim powiedziałaś? - spytałam.

- Nie. Był miły - mówiła zadowolona. - Nawet przystojny z niego facet, jak się uśmiecha - powiedziała.

„Matko, ta znowu swoje - pomyślałam. Nałogowa podrywaczka".

- Jego rodzice pochodzą z Polski. On urodził się tu, w Paryżu. Taki polski Francuz.

- Przepraszam, ale kto kogo tam przesłuchiwał? - zapytałam czysto retorycznie. - A dowiedziałaś się przynajmniej, co z Adamem i Wiktorem?

- Nic im nie będzie. Wypuszczą ich. Tego Chojnickiego chyba przetransportują do Polski, bo zrobił się całkiem niepoczytalny. Podobno ten twój Marek też zeznaje.

- On nie jest mój - obruszyłam się.

Siedziałyśmy, rozmawiając o całym wydarzeniu i snując różne hipotezy na temat dziwnego zachowania Chojnickiego. Aż w drzwiach jadalni pojawił się Marek.

- Witam panie! - zaczął. - Przykro mi, że tak to się skończyło. Do ostatniej chwili próbowałem wyperswadować Chojnickiemu przyjazd tutaj. Ale on już całkiem odpłynął w inną rzeczywistość.

- Co masz na myśli? - spytałam.

Z rozmowy z nim wywnioskowałem, że bierze cię za Ewę, swoją dawną narzeczoną, która chyba zostawiła go dla innego. Po powrocie do kraju zbadam ten temat bardziej szczegółowo.

- Myślałam, że widzi we mnie swoją żonę świętej pamięci.

- Nie, żona miała na imię Weronika.

- Ożeż ty - wymknęło się Werze.

- Myślałam, że po rozmowie ze mną wrócisz do Polski - powiedziałam.

- Nie mógłbym zostawić cię tu, wiedząc, co kombinuje Chojnicki.

- Czyli to ty mu dałeś namiar na mnie: rejs po Sekwanie, godzina taka i taka, port ten i ten? - popatrzyłam na niego groźnie.

- Absolutnie nie - wykrzyknął. - Chyba twoi rodzice - powiedział cicho. Z tego, co wiem, dzwonił do nich.

- Ale z nimi wszystko w porządku? - upewniałam się.

- Tak, nie masz się o co martwić - uspokajał. - Starłem się zdążyć na wasz powrót z rejsu. Z moich informacji wynikało, że Chojnicki też się na ten moment szykuje. Ale dopadła mnie seria niefortunnych zdarzeń i niestety spóźniłem się.

Popatrzyłam pytająco na niego.

- Opowiem ci przy innej okazji. W sumie to dobrze, że dorwała go policja. Bo stawał się powoli nieobliczalny - wrócił do tematu Chojnickiego.

- Ale teraz będziesz miał problemy - powiedziałam ze współczuciem. - Pracowałeś dla niego.

- Nie martw się, nie z takich opresji się wychodziło.

- No nie, jeszcze będziesz się użalać nad tym oszustem - nie wytrzymała Weronika.

Za chwilę policjant przyprowadził Julkę. W międzyczasie pożegnał się z nami Marek. Spieszył się na samolot. Dopiero jak wyszedł, uprzytomniłam sobie, że o takich szczegółach rejsu rodzicom nie mówiłam, bo po co. Pan James Bond znowu coś kręcił.

W końcu przyszła Marta. Towarzyszył jej polski Francuz, jak go określiła Weronika. Podziękował nam za cierpliwość i złożenie zeznań. Na koniec zaproponował odwiezienie do hotelu policyjnym samochodem.

Spojrzałam na zegarek, dochodziła trzecia w nocy. „Samolot powrotny mamy o czternastej - pomyślałam. Trzeba się chociaż trochę przespać. Ale nie zostawię tu teraz Wiktora”.

- Dziewczyny, wy możecie jechać, odpoczniecie trochę. Przepraszam was za to całe zamieszanie. Przeze mnie macie popsuty pobyt tutaj.

- Ale coś ty. Dzięki tobie przeżyliśmy tutaj niezapomniane, cudowne chwile - zareagowały żywiołowo.

- Chciałabym poczekać na Wiktora i Adama i podziękować im za ratunek, jeśli to możliwe - spojrzałam na funkcjonariusza.

- Oczywiście, trwa właśnie przesłuchanie pana Wilka. Pana Lisowskiego zacznę przesłuchiwać, jak tylko wydam dyspozycję kierowcy. Więc myślę, że obaj będą wolni za około godzinę.

- Ja zostaję z tobą - zdecydowała Wera. - Też muszę podziękować mężowi.

- No dobra, to wy im dziękujcie, a my jedziemy spać - odpowiedziała Marta. - Tylko przyjedźcie do jedenastej do hotelu, bo nie zdążymy na samolot.

- Będziemy - zapewniłam.

Rzeczywiście po godzinie czekania dołączył do nas Wiktor, a za chwilę pojawił się też Adam.

- Chciałam wam serdecznie podziękować - zaczęłam swoją przemowę.

- Nie ma o czym mówić, Lena - Adam skrócił mi ją do minimum.

- Ja chętnie z tobą pogadam, ale tak jak kolega powiedział do swojej żony, na osobności - uśmiechnął się Wiktor.

Adam zabrał Weronikę do swojego hotelu, a my z Wiktorem wylądowaliśmy w jego mieszkaniu. Jeszcze w taksówce w dużym skrócie opowiedziałam mu całą historię Grubcia i Marka. Patrzył na mnie z niedowierzaniem i współczuciem, czule gładząc po ramieniu. Byłam mu to winna, a z radością przeczuwałam, że nie będziemy później trwonili na to czasu. I nie myliłam się.

Przywarliśmy do siebie ciasno i mocno, bez oddechu, bez odwrotu. Zawładnęła mną gorąca, przyjemna fala. Przetoczyła się po piersiach i brzuchu. Spragnione usta połączył pocałunek. Delikatny, namiętny. Zaraz potem łapczywy i palący. Nienasycony. Wiktor porwał mnie na ręce i zaniósł do sypialni. Atłasowa pościel wcale nie chłodziła. Widziałam, jak z trudem panuje nad pożądaniem. Jak drżącymi palcami odpina drobne guziki mojej bluzki, szuka zapięcia na staniku. Czulałam jego gorące usta na moich nagich piersiach. Ciepłe, silne ręce wędrowały coraz niżej po moim ciele. Rozpięłam jego koszulę i pasek. Miał apetyczne, umięśnione ciało. Moje dłonie same sunęły po jego miękkiej skórze. W powietrzu unosił się zmysłowy zapach miłostnego uniesienia.

- Lenuś, jesteś uosobieniem moich marzeń - wyszeptał rozgorączkowany - twoje kształty są boskie. Doprowadzają mnie do szaleństwa.

Zaczełam pieścić jego ramiona, tors, brzuch, podbrzusze. Pragnienie było już nie do zniesienia. Gwałtownie spleliśmy się w miłosnym uścisku. Nasze ciała stopiły się w jedno. W żyłach krążyła wspólna krew. Wibrowała i pulsowała.

- Jesteś wspaniały - szeptałam mu do ucha. - Chcę, żeby ta chwila trwała jak najdłużej.

Zwolniliśmy tempo. Całą sobą chłonełam jego ciepło. Zamknęłam oczy. Wszystko było idealne. Jego zapach, smak ust, skóra, delikatność i zdecydowanie.

Otworzyłam oczy i spojrzałam w jego. Były pełne uniesienia i radości. Nasze ciała poruszały się w jednym rytmie. Szybciej i szybciej...

- Chyba nigdy czegoś takiego nie przeżyłam - szepnęłam mu do ucha, gdy nieco ochłonełam.

- Ja na pewno nie - powiedział cicho. - W końcu poczułem spełnienie. Tak długo na ciebie czekałem.

- Wiktor, ale przecież mówiłeś: najpierw musi być miłość.

- I jest. Ja ciebie kocham. Zrozumiałem, że to wystarczy. Milczałam. Nie chciałam niczego obiecywać. Leżeliśmy przytuleni. Powoli zaczynało świtać. A moje powieki robiły się coraz cięższe i cięższe.

Obudził mnie zapach świeżo parzonej kawy.

- Kochanie, pora wstawać. Dzwoniła Julka. Podobno o jedenastej musisz być w hotelu - nade mną stał uśmiechnięty Wiktor.

- Matko, samolot! - zerwałam się na równe nogi. - Kurczę, jestem naga! - szybko owinełam kołdrą gołe ciało.

- Kochałaś się ze mną, a teraz wstydzisz się pokazać mi nago? - patrzył na mnie ubawiony.

- Tak.

Pomaszerowałam do łazienki i wystraszyłam się własnego odbicia w lustrze. Rozmazany makijaż, rozczochrane włosy.

Zaczełam doprowadzać się do porządku. Najpierw prysznic. Strumienie ciepłej wody otuliły moje ciało. „Jak dobrze” - pomyślałam. Od dawna nie czułam się tak dobrze. Za chwilę drzwi kabiny otworzyły się i Wiktor wśliznął się do środka. „Jak on na mnie działa - pomyślałam. A ja działałam na niego i mam na to twarde dowody” - zaśmiałam się mimowolnie.

- Z czego się tak śmiejesz? - spytał z uśmiechem.

- Cieszę się po prostu. Jestem w dobrym nastroju. Dzięki tobie.

Objął mnie mocno. Krew znów zaczęła szybciej krążyć. Nie miałam siły mu się opierać albo raczej po prostu nie chciałam.

Kiedy w końcu wyszliśmy z łazienki, z przerażeniem stwierdziłam, że lada moment wybije jedenasta.

- Wiktor, ja się spóźnię na samolot! Dziewczyny w hotelu na mnie czekają. Ciekawe, co z Weroniką - mówiłam przerażona.

- Bez paniki. Zadzwoń do nich i uspokój. Niech poczekają. Odwiozę was przecież na lotnisko. Zdążycie.

- A ty dzisiaj nie pracujesz? - pytałam trochę nieprzytomnie.

- Kochanie, dziś sobota.

Za jego radą wykonałam telefon. Prosiłam Julkę, żeby poczekały jeszcze dwadzieścia minut. Okazało się, że Weronika już do niej dzwoniła. Z informacją, że zostaje z mężem jeszcze tydzień w Paryżu.

Ubrałam się w ekspresowym tempie. Wypiłam łyk zimnej kawy i byłam gotowa do wyjścia.

Gdy wpadłam do pokoju hotelowego, moje rzeczy były już spakowane. Julka z Martą podniosły się z krzeseł na nasz widok.

- Dobrze, że jesteście. Chyba najwyższa pora jechać na lotnisko - w głosie Julki słychać było lekkie podenerwowanie.

Jadąc ulicami Paryża, żegnałam się z miastem. „Przeżyłam tu niezapomniane chwile - myślałam, patrząc przez okno samochodu. Całą gamę emocji. Nie żałuję żadnej sekundy spędzonej na francuskiej ziemi. Na pewno tu wrócę”. Popatrzyłam na Wiktora. Był zamyślony i trochę smutny. „Niech czas pokaże, co naprawdę jest między nami” - pomyślałam.

Na lotnisku kłębiły się tłumy. Jedni wyjeżdżali, drudzy właśnie wracali. Jedni żegnali najbliższych, drudzy witali. Tygiel emocji, widowisko uczuć. Jakaś pani ścisnęła młodą dziewczynę w czerwonym płaszczku, pewnie córkę, taka podobna. Obie piękne brunetki o latynoskiej urodzie. Obie płakały. Stały przy sąsiednim stanowisku odprawy lotu do Buenos Aires. „Jak to jest żegnać dziecko, które leci gdzieś daleko? To na pewno smutek i żal. Ale pewnie też duma. Nigdy tego nie doznam. Nie wszystkich uczuć można w życiu doświadczyć. Dlatego tym bardziej należy smakować te, które są osiągalne. Niektóre są trudne i bolesne. Ale kim byśmy byli bez nich?”

- Lenka, o czym myślisz? - zagadnął mnie stojący obok Wiktor. - Może zmieniłaś zdanie i przedłużysz sobie wakacje w Paryżu? - zapytał z nadzieją w głosie. - Przecież nie wzywa cię tam nic pilnego.

- Muszę uporządkować swoje sprawy. Rozejrzeć się za jakimś mieszkaniem, odebrać moje rzeczy od Marka, dowiedzieć się, co postanowiono w sprawie Chojnickiego, no i zacząć projekt wnętrza domu pewnego klienta, który czeka, aż będę miała dla niego czas - wyrecytowałam jednym tchem.

- Tylko proszę cię, uważaj, komu projektujesz dom - powiedział Wiktor, filuternie mrugając okiem.

- Nie martw się. Dam sobie radę - odpowiedziałam. - Zapiszę się na kurs samoobrony.

Na pożegnanie objął mnie mocno i pocałował prosto w usta.

- Wiktor, dziękuję ci za te wspaniałe chwile, które tu z tobą przeżyłam - z trudem powstrzymywałam cisnące się do oczu łzy.

- Będę czekał, Lenka, będę cierpliwie czekał. Odwróciłam się szybko, żeby nie widział, jak potoczyły się po policzku.

Rozdział 3

Na lotnisku czekał cały komitet powitalny: moi rodzice, mąż Marty - Jerzy, mąż Julki - Andrzej oraz ich dzieci Zosia i Pawełek - bez śladu ospy. Wyściskaliśmy się wszyscy serdecznie i udaliśmy się do samochodów. Jerzy zaoferował naszej trójce odwiezienie do domu.

- I jak podobał się wam Paryż? - zapytał już w samochodzie.

- Bardzo. Paryż jest cudowny - odpowiedziała Marta. - Zobaczyłyśmy zaledwie ułamek. Na pewno trzeba taki wypad powtórzyć.

- To dlatego Weronika nie wróciła? Postanowiła jeszcze trochę pozwiedzać? - zapytała moja mama.

- Tak, mniej więcej - odpowiedziałam ze śmiechem.

I zaraz zawtórowała mi Marta. Jerzy odwrócił głowę w kierunku siedzącej obok niego żony. Nie widziałam jego miny, ale chyba musiała być podejrzliwa, bo Marta za chwilę wypaliła:

- Nie ma powodów do niepokoju. Nikt nikogo nie zdradził.

Weronika została w Paryżu z własnym mężem. I na pewno nie zmarnują tego tygodnia.

Rodzice patrzyli zdezorientowani to na mnie, to na Martę.

- A jak wy sobie radziliście? - spytałam szybko.

- Bardzo dobrze - odpowiedziała mama. - Aha, zapomniałam ci powiedzieć. Wczoraj do południa dzwonił twój klient, pan Stanisław Chojnicki. Ucieliśmy sobie miłą pogawędkę. Jest bardzo kulturalny i tak sympatycznie wyrażał się o tobie. Tylko coś imiona mu się mieszają, raz mówił o tobie Lena, raz Ewa.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

- Tak, bardzo kulturalny - powtórzyłam jak echo. „Oby takich kulturalnych było jak najmniej” - pomyślałam.

- Dzieci Julki były bardzo grzeczne. Aniołki po prostu. A jakie mądre - kontynuowała mama. - Mam nadzieję, że jeszcze nas odwiedzą.

- O to możesz być spokojna - odpowiedziałam.

- A jak się Pawełek zainteresował moją kolekcją modeli samolotów - cieszył się tata. - Nawet jeden razem składaliśmy.

Dojechaliśmy na miejsce. Podziękowaliśmy Marcie i Jerzemu. Wytargałam z samochodu swoje bagaże i pomaszerowaliśmy do mieszkania rodziców. Mama oczywiście ledwo zdjęła płaszcz, już wystartowała z obiadem. Nie docierało jeszcze do mnie, że aktualnie nie mam własnego kąta. Czuję się po prostu jak na gościnnym obiadku u mamy. Zjemy, porozmawiamy i pójdę do domu. Ale nigdzie nie poszłam. Za to położyłam się na kanapce w pokoju, który swojego czasu był moim pokojem.

Gdy się obudziłam, usłyszałam głos mamy:

- Lenka nie wygląda najlepiej. Nie uważasz?

- Co się dziwisz. Pewnie ciągle cierpi po rozstaniu - mówił tata. - Jak ja dorwę tego skurczybyka! Żeby tak potraktować taką wspaniałą dziewczynę.

- To prawda. Mężczyźni są ślepi - odpowiedziała mama. - Lecą na tandetę, byle miała piersi jak melony i nosiła kuse spódniczki.

- Nie wszyscy, moja droga, nie wszyscy. Ani się obejrzysz, a obok naszej Lenki pojawi się ktoś, kto doceni naszą wspaniałą córkę i kogo ona pokocha.

Spojrzałam na swoje piersi. „Są niczego sobie. Nogi też nadają się do mini. Chyba tylko tej tandety zabrakło” - pomyślałam.

Powoli zwlekłam się z łóżka. Spojrzałam na komórkę. Była wyłączona. No tak, zapomniałam ją włączyć po wylądowaniu. Wiktor prosił mnie, żebym zadzwoniła, jak tylko postawię pierwsze kroki na ziemi. Włączyłam telefon.

Dziesięć nieodebranych połączeń. Dziewięć od Wiktora, jedno od Marka. Wybrałam numer Wiktora.

- Lenka! - usłyszałam jego pełen ulgi głos.

- Wiktor. Przepraszam, że nie zadzwoniłam - zaczęłam się tłumaczyć.

- Jesteś cała? Lot przebiegał bez zakłóceń? Gdzie teraz jesteś? - zarzucił mnie pytaniami.

- Jestem u rodziców. Lot był całkiem przyjemny. Czuję się dobrze - odpowiedziałam na każde z nich.

- Tęsknię za tobą - powiedział Wiktor.

- Jeszcze raz dziękuję ci za te wszystkie romantyczne chwile - powiedziałam poważnie.

- Lenka, ja mam nadzieję, że nie ostatnie.

- Będziemy w kontakcie - zapewniłam.

- Czekam, Lenka. Kocham cię.

„Czy mama przykleiła ucho do ściany?” - pomyślałam z rozbawieniem, bo zaraz weszła do pokoju i spytała zaciekawiona:

- Z kim rozmawiałaś, Lena?

Przypomniałam sobie, że moja mama jest jedną z najbardziej ciekawskich osób na kuli ziemskiej i nie zaprzestanie wyrafinowanych tortur psychicznych, póki nie dowie się prawdy.

- Mamo, w Paryżu spotkałam dawnego znajomego Wiktora. To był wyjątkowy zbieg okoliczności i... wszystko było tam wyjątkowe, również dzięki niemu - wyznałam.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę - zaczęła mama. - Wiedziałam, że jeszcze kogoś pokochasz!

- Ale ja nie mówię wcale, że go kocham! - powiedziałam nieco za głośno.

Najwyraźniej ojciec usłyszał tylko dwa ostatnie słowa, bo wszedł energicznie do mojego pokoju i powiedział zadowolony:

- Nie mówiłem ci, Krysia, że Lenka lada moment znajdzie odpowiedniego człowieka, w którym się zakocha? - powiedział z tryumfem w głosie.

„Ja tu długo nie wytrzymam - pisnęłam w duchu. Od jutro ostro ruszam z poszukiwaniem mieszkania”.

Po kolacji zaszyłam się w toalecie i wykonałam telefon do Marka. Odebrał prawie natychmiast.

- Cześć, Marek! - starałam się mówić jak najciszej. - Dzwoniłeś do mnie. Masz jakieś nowe wieści?

- Cześć! Dlaczego tak szepczesz? Chyba nic ci nie grozi? - spytał zaniepokojony.

- Oprócz ognia pytań moich rodziców, nic - zapewniłam.

- Lenka, Chojnicki jest jeszcze w Paryżu. Mają go przetransportować jutro do Polski. Moje źródła podają, że na razie wyląduje w psychiatryku na obserwacji - szeptał.

- A ty dlaczego tak cicho mówisz?

- Faktycznie, dlaczego? - powiedział już normalnym głosem. - Chyba udzielił mi się twój konspiracyjny ton.

- Możesz jeszcze przechować moje rzeczy? Na razie nie mam ich gdzie zabrać - spytałam z nadzieją w głosie.

- Oczywiście. Nie martw się, są bezpieczne - zapewnił.

- Marku, wspominałeś coś w Paryżu o jakichś tarapatach finansowych. Potrzebujesz pomocy?

- Lenka, gdybyś była taka miła, to chciałbym się z tobą spotkać. Mam problemy finansowe, ale z nimi sobie poradzę. Bardzo potrzebuję wsparcia psychicznego - mówił proszącym tonem. - Ale to nie jest sprawa na telefon.

- Dobrze. Spotkajmy się zatem gdzieś na mieście. Może w tej kawiarni, gdzie dałam popis krasomówczy? - spytałam ze śmiechem w głosie.

No i umówiliśmy się na poniedziałkowy wieczór w kawiarni pod jakże wymowną, lecz czasami zupełnie nieadekwatną nazwą „Słodka Chwila”.

Następnego dnia siedziałam z rodzicami w ich saloniku i buszowałam po internecie w poszukiwaniu mieszkania. Była niedziela, więc mogłam je obejrzyć jedynie wirtualnie. Na ekranie laptopa wyświetlały się zdjęcia różnych wnętrz: kuchnie, sypialnie, łazienki.

- Lenka - zaczęła mama, patrząc z boku na ekran mojego komputera. - Jak duże mieszkanie zamierzasz kupić?

- Dlaczego chcesz wiedzieć, mamo? - pytałam bardziej skupiona na przeglądaniu ofert niż na rozmowie.

- No bo wiesz, żeby nie było za małe. Przecież nie będziesz tam mieszkać sama. Skoro masz już kogoś, to pewnie założysz rodzinę. Pojawią się dzieci. Wiesz, dzieci muszą mieć dużo przestrzeni. Jak tak obserwowałam Zosię i Pawełka, to naprawdę potrafią zagospodarować całkiem sporo miejsca. A wy może będziecie mieli ich więcej. No myślę, że trójka to takie minimum.

- Słucham? - dopiero po chwili dotarły do mnie jej słowa. - Jakie dzieci, jaka rodzina? - patrzyłam na nią jak na zjawę.

- No, nie denerwuj się. Wiem, że z Piotrem nie wyszło. To po prostu nie był odpowiedni mężczyzna dla ciebie. Ale na pewno warto jeszcze spróbować. Natura zna takie przypadki - mówiła dość niejasno. - Może z Wiktorem, oczywiście po ślubie, jak się odpowiednio postaracie...

- Chodzi ci o to, że jak ubierzemy obrączki i będziemy się w nich bzykać odpowiednio często, to zajdę w ciążę? - wypaliłam prosto z mostu. - Mamo, Wiktor to tylko mój znajomy. Proszę cię, nie planuj mojego życia za mnie!

- Już nic nie mówię - wystraszyła się mojego wybuchu mama.

- Przepraszam - mruknęłam - Na razie nie chcę się angażować.

- Ale czas leci - biadoliła mama.

- Mamo, ale ja nie mam takiej mocy, żeby go zatrzymać albo cofnąć - znowu podniosłam głos. - „Znane są tysiące sposobów zabijania czasu, ale nikt nie wie, jak go wskrzesić” - Albert Einstein. Ja też nie.

- Kochanie, „Skoro nie można się cofnąć, trzeba znaleźć najlepszy sposób, by pójść naprzód” - Paulo Coelho - zripostowała, wysoko unosząc głowę.

Wszystkiemu przysłuchiwał się ojciec, który teraz dopiero zabrał głos:

- Krysia, daj już spokój dziewczynie. Lena da sobie radę sama.

- A ciebie kto o zdanie pytał? Poczytałbyś lepiej literaturę piękną. A ty nic, tylko siedzisz ubabrany po pachy klejem, z nosem w tych modelach.

„Ja tu oszaleję. Muszę jak najszybciej poszukać swojego kąta” - pomyślałam.

* * *

W poniedziałek od rana w towarzystwie pośrednika od nieruchomości zrobiłam tour po wybranych mieszkaniach i niestety nie byłam zachwycona.

Podczas oglądania ostatniego z nich w drzwiach pojawiła się właścicielkaaaa???!!!! Matko, to była mocno już brzuchata... Anetka. Spojrzałyśmy na siebie z przerażeniem w oczach.

„To byłby dopiero numer, jakbym kupiła mieszkanie od Anetki - pomyślałam. I spała w tym samym pokoju, w którym ona z Piotrem uprawiali seks. Tfu”.

- Dzień dobry i do widzenia! - powiedziałam i wypadłam jak strzała na korytarz.

Zdezorientowany pośrednik gonił mnie po schodach. Prawie nóg nie połamał.

- Pani Leno! Co się stało? Nawet pani nie obejrzała sypialni.

- I dzięki Bogu - odpowiedziałam. - Muszę wszystko przemyśleć. Odezwę się - rzuciłam na odchodnym.

Wróciłam do rodziców. Właśnie pili kawę. Mama rozwiązywała krzyżówki, tata czytał gazetę. Gdy weszłam, spojrzeli na mnie z tą nieodłączną troską w oczach.

- I co, Lenka, znalazłaś coś ciekawego? Też byśmy chętnie obejrżeli.

- Mamo, jak znajdę, to masz jak w banku, że nie kupię, zanim nie zatwierdzisz - powiedziałam ze śmiechem.

- A teraz idę się położyć do pokoju obok. Zmęczyłam się.

- A kawki z nami nie wypijesz? - spytał tata.

- Może później - odpowiedziałam.

Rzuciłam się na łóżko, aż zajęczały sprężyny. Zaczęłam rozmyślać.

Nie chciałam kupować byle czego na chybcika. Ale z drugiej strony musiałam wyprowadzić się od rodziców, bo mimo całej miłości, jaką ich darzyłam, nie mogłam znieść ich nadopiekuńczości. „Ta troska ich wykończy - pomyślałam. Nie mówiąc już o tym, że sama mam zero prywatności”. Rodzice nie powinni tak bardzo przejmować się dorosłymi, odpowiedzialnymi już za siebie dziećmi, bo to prowadzi do jakiegoś paradoksu. Rodzice martwią się problemami dzieci. Dzieci wcale nie martwią się swoimi problemami, bo wiedzą, że z nimi sobie przecież poradzą. Niepokoją się za to o zdrowie zatroskanych, starszych już rodziców, nad którym nie mają kontroli, i to stwarza prawdziwy problem.

A tak w ogóle nie należy się za dużo martwić. Jak powiedziała największa dama polityki i autorka wielu trafnych i błyskotliwych myśli - Margaret Thatcher: „Dziewięćdziesiąt procent naszych zmartwień dotyczy spraw, które nigdy się nie zdarzą”.

„No proszę - pomyślałam - chyba wróciła dawna optymistyczna Lena”. Zostaje co prawda te dziesięć procent

niepewności. Ale co to jest dziesięć procent? Gdyby robili w sklepach przeceny o dziesięć procent, to nawet pies z kulawą nogą by się na nie nie połasił. Chociaż z drugiej strony, to jak ona to wyliczyła? Te dziewięćdziesiąt procent.

„Chyba coś wynajmę - wpadło mi nagle do głowy. Jeden pokój mi przecież wystarczy. Wynajęcie kawalerki nie będzie kosztować majątku. Pieniądze ze sprzedaży apartamentu ulokuję gdzieś na procent, może na giełdzie. Jak znajdę coś atrakcyjnego, to kupię” - kombinowałam.

W drzwiach pojawiła się mama.

- Chodź na obiad, kochanie - powiedziała. - Zrobiłam twoje ulubione pierożki.

- Dziękuję, mamusiu.

Obiad był wyśmienity. Dla rozładowania atmosfery zabawiałam rodziców opowiadaniem moich paryskich przygód. Oczywiście, tylko tych zabawnych. W niektórych pojawiał się Wiktor.

- Tak ciepło wymawiasz jego imię - zauważyła mama.

- Mamusiu, nie zaczynaj, proszę.

Zdałam sobie wtedy sprawę, że cały czas czekam na telefon od niego. „Dziewczyno - pomyślałam - przecież zaledwie wczoraj z nim rozmawiałaś. Co się z tobą dzieje?”

Postanowiłam się czymś zająć i zadzwoniłam do starego klienta - Leszka Bawickiego, który budował kolejny dom i jakiś czas temu wspominał mi, że będzie potrzebował projektantki wnętrz i że liczy na mnie. Okazało się jednak, że aktualnie jest z żoną na Seszelach. Ale wracają niebawem i wtedy skontaktują się ze mną. Dom był na ukończeniu i nadeszła właśnie pora, żeby zaprojektować wnętrze. Na wszelki wypadek dałam mu swój adres mailowy.

Zadzwoniła Marta, potem Julka. Ustaliłyśmy, że ze spotkaniem poczekamy na powrót Weroniki. Wtedy

uroczyście podsumujemy naszą wymykającą się konwencji wycieczkę do Paryża.

Zbliżał się wieczór i czas spotkania z Markiem. Zaczęłam się szykować, co przecież nie mogło umknąć uwadze mojej mamy.

- Kochanie, a gdzie ty się tak stroisz? - spytała zaciekawiona.

- Mam spotkanie, służbowe - skłamałam. - Przecież nie mogę wyglądać jak półtorej nieszczęścia. Mój wizerunek jest w pewnym sensie moją wizytówką. Nie wiesz, mamusiu, że jak cię widzą, tak cię piszą. Kto powierzyłby urządzenie swojego mieszkania jakiemuś bezguściu?

- Ty zawsze wyglądasz ślicznie - zapewniła z uśmiechem.

„Nie ma to, jak mieć fankę we własnej mamie - pomyślałam. Budujące i miłe. Niejedna córka tęskni za pochwałami własnej matki. Ale to działa na pewno w obie strony. Niejedna matka dużo by dała za komplement z ust własnego dziecka". Tę myśl podsunęła mi po prostu wyobraźnia. Wyobraźnia całkiem nieźle wspiera często ułomną rzeczywistość. Szkoda, że ludzie jej nie doceniają.

- Mamusiu, ty również wyglądasz wspaniale - powiedziałam śpiewnym głosem i wyszłam.

Weszłam do kawiarni i od razu zauważyłam Marka. Siedział przy stoliku ze smutną miną. Na mój widok rozpromienił się.

- Witaj, Lena, jak dobrze cię znowu widzieć - zaczął.

- Cześć, co słyszeć w świecie Jamesa Bonda? - zażartowałam.

- Chwilowo zastój w interesie.

Podszedł kelner i zamówiliśmy dwie kawy. Ale gdy kelner odchodził już od stolika, Marek dodał:

- I jeszcze dwie lampki koniaku.

- Masz problemy? - nawiązałam do naszej rozmowy przez telefon.

- Tak, ale raczej narzekam na brak kogoś, z kim mógłbym o nich porozmawiać - powiedział z żalem. - A czuję, Lena, że ty mnie zrozumiesz. Może wesprzesz. Wiem, że to brzmi absurdalnie. W końcu zachowałem się wobec ciebie bardzo nie w porządku. Musisz jednak wiedzieć, że nie grałem przed tobą, gdy siedzieliśmy razem przy winie w twoim starym apartamencie. Pamiętasz?

Pokiwałam głową.

- Natomiast kobieta, z którą mnie widziałas tutaj w tej kawiarni, jest tylko moją współpracowniczką i wtedy z nią to była tylko scenka odgrywana po to, żebyś nie nabrała podejrzeń, że cię śledzę.

- Ale po co mi o tym mówisz, Marku? - popatrzyłam mu w oczy.

- Chcę, żeby sytuacja była zupełnie jasna. Jestem właśnie świeżo po rozwodzie. Żona odeszła ode mnie po dwudziestu latach małżeństwa. Mamy dorosłą córkę, która studiuje w Rzymie. Tam też żona poznała nadzianego Włocha, który zupełnie zawrócił jej w głowie. Rozwód nie tylko wykończył mnie finansowo, ale i psychicznie. Jestem kłębkim nerwów. Dlatego też nawaliłem w Paryżu i dałem ci się przyłapać. Bardzo ją kochałem. Teraz chyba tylko nienawidzę. Po nocach nie śpię, tylko wyobrażam sobie, jak mszczę się na niej i na nim. To chore.

- Próbowałeś szukać pomocy u jakiegoś psychoterapeuty?

- Ja, James Bond u psychoterapeuty? Żartujesz? - ironizował.

- A co z córką? Nie wspiera cię w żaden sposób? - spytałam.

- Właśnie, moja mała córeczka. To jest najgorsze - miał łzy w oczach. - Nie wiem, co nagadała jej matka, ale nie chce ze mną rozmawiać. Dzwoniłem już tyle razy.

- A wcześniej miałeś z nią dobry kontakt?

- Jak była mała, uwielbiała mnie. Spędzaliśmy razem każdą wolną chwilę. Potem stała się młodą pyską dziewczyną. Nasze relacje pogorszyły się. Często bywałem poza domem. Taka praca. Byłem dobry, jak dawałem pieniądze na fatalaszki, prawie znienawidzony, jak wymagałem posłuszeństwa. Myślałem sobie: „Taki wiek, przeczekać, dojdzie kiedyś do rozumu, zrozumie, że wszystko robiłem z miłości”. Ale teraz już wiem, że ją straciłem.

Spuścił głowę.

- Nie mów tak, Marku. Dopóki życie trwa, wszystko można naprawić. Musisz do niej pojechać. Na pewno znajdziesz sposób, żeby z nią porozmawiać sam na sam, pokazać, jak ci na niej zależy. Sama pamiętam z tego młodzieńczego okresu, że nie mogłam znaleźć wspólnego języka z ojcem. Ale człowiek w końcu dojrzewa i na wszystko zaczyna patrzeć inaczej. Nie można tylko dopuścić do całkowitego zerwania kontaktu. Trzeba go podtrzymywać choćby z jednej strony.

Spojrzał na mnie z nadzieją.

- Tak myślisz?

- Tak. A co do twojej żony... Jak wiesz, przeżyłam niedawno podobną historię. Nienawiść to jeden z etapów w drodze do wybaczenia. Trzeba go pokonać jak najszybciej. Nienawiść zatruwa duszę, niszczy radość życia. Też ją czułam. Ale na szczęście szybko przeszło. I powiem ci, że teraz czuję się tak lekko. Nie mówię, że już wybaczyłam, ale przestałam pogrążyć się w gorzkim rozmyślaniu o tym, jak mnie skrzywdzono. Przecież możemy sterować naszymi myślami. Gdy przyjdą te zatrute, uciekaj w inne, przyjemne albo trudne, ale nie bolesne. Nie katuj się. Rany same się zasklepią, jeśli trochę nad tym popracujesz. Mnie bardzo

pomógł wyjazd do Paryża. Przeżyłam tam absolutnie fascynujące chwile, i to bez niego. Teraz mam bazę wspaniałych wspomnień, do których mogę bezpiecznie wracać. Na niej będę budować kolejne i kolejne.

- Może też powinienem wyjechać? Najpierw pojedę do Włoch do córki. Może namówię ją na podróż we dwoje - zaczął planować.

Uśmiechnęłam się.

- Lenka, wiem, że ulokowałaś już swoje uczucia. Ale gdyby to nie wyszło...

- Jak to wiesz, że ulokowałam uczucia? - spytałam zdziwiona.

- Widziałem, jak patrzysz na Wiktora. To było spojrzenie zakochanej kobiety.

Zdebiałam i wypiłam duszkiem kieliszek koniaku. Przelyk zaczął mnie palić, więc szybko popiłam kawą.

Marek patrzył na mnie z lekkim niepokojem.

- Ale skąd znasz jego imię? No tak, w końcu jesteś detektywem. Pewnie wiesz o nim wszystko... A co z Chojnickim? - spytałam w końcu.

- Właśnie. Dowiedziałem się, kim była Ewa - wyciągnął z kieszeni zdjęcie. - Spójrz.

Popatrzyłam na zdjęcie i trochę mnie zamurowało. Przedstawiało młodą dziewczynę bardzo podobną do mnie, kiedy miałam dwadzieścia lat.

- To jest Ewa - powiedział Marek. - Była narzeczona Chojnickiego sprzed około czterdziestu pięciu lat. Chojnicki był w niej szaleńczo zakochany. Znali się krótko, ale już był wyznaczony termin ślubu. Nie doszło jednak do niego. Dwa dni przed przyłapał ją w łóżku ze swoim najlepszym przyjacielem. Dwie zdrady za jednym zamachem. To był dla niego straszny cios. Podobno, gdy ich razem zobaczył, stracił poczucie. Rzucił się na nich, bredził coś, że Ewa jest mu

pisana, że gwiazdy nie kłamią. Ponoć miał fioła na punkcie przepowiedni.

- Co się teraz z nią dzieje? - spytałam.

- No właśnie, dzień po tym wydarzeniu zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach.

Ciarki przeszły mi po plecach.

- Podejrzewano, że załatwił ją Chojnicki. W końcu miał powód, żeby to zrobić - kontynuował Marek.

- No i?

- Nigdy nie znaleziono ciała. I nic mu nie udowodniono.

- A skąd ty to wszystko wiesz? - spytałam zdziwiona.

- Mam swoje wejścia do starych kartotek.

- Czyli wziął mnie za swoją dawną narzeczoną Ewę?

- Myślę, że na początku waszej znajomości jeszcze rozróżniał przeszłość od terażniejszości, Zakochał się w tobie, tak jak zakochał się w Ewie. Potem w jego chorym umyśle coraz bardziej stawałaś się Ewą. Wtedy, gdy cię zaatakował, rozprawiał się ze swoją niewierną narzeczoną sprzed lat.

- Marek, a jeśli jego wypuszczą na wolność, a on mnie załatwi tak jak Ewę? - spytałam niepewnie.

- Nie wiemy, czy ją zabił. Nie bój się. Będę trzymał rękę na pulsie - zapewnił i delikatnie chwycił mnie za rękę.

- Na moim pulsie? - zażartowałam, choć nie było mi do śmiechu. - A co z jego żoną? Czy aby na pewno umarła bez niczyjej pomocy?

- To niestety też ciemna karta jego historii.

- O matko - jęknęłam.

- Popęłniła samobójstwo. Kiedy ją znaleźli, leżała w kałuży krwi, z podciętymi żyłami.

- Matko boska - wyszeptałam przerażona.

- A czy on ma jakieś dzieci, rodzinę? - spytałam.

- Nie, nie ma nikogo. Ale najwyraźniej bardzo chce kogoś złapać w swoje sidła - popatrzył wymownie na mnie.

- Nie, nic już nie mów! Zamów mi jeszcze kieliszek koniaku - zażądałam.

Do domu wróciłam taksówką. Rodzice już spali, więc poruszałam się na paluszkach. Ciasne mieszkanko wymuszało precyzję ruchów, z którą było teraz trochę u mnie kruch. Trzy kieliszki koniaku plus niezła porcja mrozących krew w żyłach opowieści dawały o sobie znać. Do łazienki udało mi się dotrzeć bezszelestnie. Jednak po zamknięciu drzwi ni z tego, ni z owego zaatakowała mnie jakaś miska wisząca wcześniej grzecznie na ścianie. A gdy próbowałam bronić się przed jej atakiem, straciłam z półeczki kilka flakoników, które strasznie hałasując, wpadły do umywalki.

- Witek! Dzwon na policję! To na pewno złodzieje - usłyszałam krzyk wybudzonej ze snu mamy.

- Ciii - uciszyłam flakoniki, kładąc palec na ustach. - Dobrze, że nic się nie zbiło - mruczałam sama do siebie, ustawiając je z powrotem na półeczce. - Bo Krysia widoku krwi by nie zniosła.

Na to wpadł do łazienki tata.

- Córciu, co się dzieje? - spytał. Popatrzył na mnie, zbliżył się i pociągnął kilka razy nosem.

- No, no - powiedział z uznaniem. - Dobrze się czujesz?

- Wyśmienicie, mój klient okazał się Kubą Rozpruwaczem. Ale mnie jeszcze nie dopadł - powiedziałam i sama sobie zakryłam usta ręką. „Dziewczyno, nie denerwuj ojca” - pomyślałam w popłochu.

- Lenka, myj się i idź spać. Chyba troszkę główka ci nie domaga - uśmiechnął się i pogładził mnie po włosach.

- Tak, tatusiu. Masz zupełną rację. Wiem, że kiedyś byłam nieznośna - pod wpływem Marka przypomniały mi się młode lata. - Ale teraz obiecuję - wystawiłam dwa palce jak do przysięgi harcerskiej - będę chodzić jak w zegareczku.

Tata spojrział na mnie ze zdziwieniem na twarzy i troską w oczach.

- Witek, co się tam dzieje?! - wołała mama z łóżka. Tata wyszedł z łazienki.

- Nic, Krysiu, to Lenka przez przypadek straciła coś z półki. Wszystko w porządku. Śpij, kochanie.

- Matko, jak ci moi rodzice się kochają - sepleniałam do swojego odbicia w lustrze ze szczoteczką w ustach. - „Kochanie”, po tylu latach małżeństwa? Małżeństwo, które przetrwało tyle lat! A dookoła wszyscy się rozwodzą, rozstają, zdradzają. Czy tylko te stare roczniki potrafią być wierne, lojalne i kochające się aż po grób? Świat zwariował! Idę spać.

Pomaszerowałam do łóżka nieco chwiejnym krokiem, starając się nie zawadzić o żaden mebel. Poszło mi całkiem nieźle. Tylko raz potraçałam lekko ławę, a może raczej to ona złośliwie ubodła mnie w kolano. Rzuciłam się na łóżko i zasnęłam.

Nie wiem, jak znalazłam się w tym ciemnym zaułku. Nie czułam się w nim bezpiecznie, przyspieszyłam kroku. Zaniepokojona obejrzałam się za siebie i gdzieś w oddali dostrzegłam straszego zbira z ogromnym, zakrzywionym nożem. Zaczęłam biec, uciekać co sił w nogach. Ale na mojej drodze pojawił się mur, wysoki, zbudowany z czerwonych cegieł. Próbowałam się na niego wspiąć, wczepiając się paznokciami, aż krew tryskała mi z palców. Krwi było coraz więcej. Zaczęłam się na niej ślizgać, aż upadłam na plecy. Widziałam, że zbir jest bardzo blisko. „To koniec” - pomyślałam. Nagle nie wiadomo skąd pojawił się jakiś mężczyzna ubrany w niebieski strój do joggingu. Rzucił się z całym impetem na zbira i wtedy zaczęła grać muzyka. To była ta miłosna piosenka, którą zadedykował mi Wiktor. Zbir padł

rażony ciosem na ziemię. Mężczyzna odwrócił się do mnie. To był Wiktor. Podszedł i zaczął mnie szarpać.

- Obudź się, Lena, masz jakiś koszmar! - usłyszałam głos dochodzący z zaświetów.

Gdy otworzyłam jedno oko, bo tylko na tyle było mnie stać, zobaczyłam, że to mama szarpie mnie za piżamę.

- Mamo, miałam koszmar! - wykrzyknęłam.

- No właśnie mówiłam ci, że masz koszmar. Co ci się śniło?

- Gonił mnie jakiś bandzior z nożem - odpowiedziałam.

- Niedobrze, niedobrze - mama zrobiła zatroskaną minę.

Odkąd pamiętam, mama pasjonowała się snami.

- Co niedobrze? - spytałam zaniepokojona.

- Gonił tylko czy napadł?

- No, miał napaść, ale nie zdążył. Bo ktoś przyszedł z ratunkiem.

- Ktoś konkretny? - pytała dalej. - Tak, Wiktor.

- Czy było w tym śnie coś jeszcze?

- Tak, gdy uciekałam, na mojej drodze pojawił się mur, przez który nie umiałam się przedostać, wbijałam w niego paznokcie, raniąc palce aż do krwi, która lała się strumieniami i ściekała po murze.

- Czyli wszystko jasne - powiedziała ze stoickim spokojem.

- Mamo, co jest jasne? Bo dla mnie to jest raczej mroczne.

- Goniący cię bandyta to grożące ci niebezpieczeństwo.

Mur nie do przejścia to brak możliwości realizacji planów albo inaczej nieoczekiwana zmiana planów. Spływająca na ziemię krew to szczęście, i to szczęście w małżeństwie, bo w twoim śnie był również twój kochanek.

- Słucham?

- A co ty myślisz, że ci uwierzyłam w tego znajomego? Po twoich oczach było widać, że z nim spałaś - wypaliła moja własna matka.

„No ładnie, okazuje się, że wszystko widać w moich oczach” - pomyślałam.

- No dobrze, poszłam z nim do łóżka. Ale na tym koniec - powiedziałam i poczłapałam do łazienki.

- Zobaczymy - skwitowała.

- Kochanek we śnie to szczęście z małżonkiem. Co za pokrętna interpretacja - mruczałam do swojego odbicia w lustrze. - Mam matkę czarownicę. Niedługo wyciągnie z szafy swoją szklaną kulę i z czarnym krukiem na ramieniu przepowie mi świetlaną przyszłość. Małżeństwo z Wiktoorem. Też wymyśliła. On już nawet przestał do mnie dzwonić. Już bardziej realne jest, że uzbrojony po uszy Chojnicki dorwie mnie w jakimś ciemnym zaułku. Po tym, co usłyszałam od Marka, mój sympatyczny, dobroduszny Grubcio przemienił się w przebiegłego, szalonego mordercę. Jak to pozory mylą.

- Lena, twój telefon dzwoni - usłyszałam wołanie mamy. Wypaliłam z łazienki, jakby gonił mnie zbir z zakrzywionym nożem, i dopadłam do komórki.

- Halo?

- Dzień dobry, Lenka! Musiałem zadzwonić - mówił Wiktor. - Dwa dni udało mi się powstrzymać. Ale dzisiaj już nie wytrzymałem i dzwonię - zawiesił głos.

- Dzień dobry! - powiedziałam ciepło. - To miło, że dzwonisz - odruchowo poprawiłam włosy.

- Naprawdę? Cieszysz się, że dzwonię? - spytał zadowolonym głosem.

- Dobrze, że dzwonisz - zapewniłam.

- Mogę dzwonić częściej, jeśli mi pozwolisz...

- Wiktor, bo mi już w uszach dzwoni od mielenia tym „dzwonić”.

- To może przyjadę do ciebie i wtedy nie trzeba będzie dzwonić - zaproponował ze śmiechem w głosie.

- Zaproszę cię, jak będę na swoim - sama zdziwiłam się swoimi słowami, ale musiałam w końcu zmienić ten dzwoniący temat.

- Szukasz mieszkania? - zapytał.

- Tak, ale chyba tak prędko nie znajdę - westchnęłam. - To znaczy może szybciej znajdę coś do wynajęcia.

- Lenka, dowiadywałem się. Ten Chojnicki jest jeszcze w Paryżu. Podobno szaleje. Chcą go jakoś ustabilizować lekami i przetransportować do Polski. Nie znaleźli żadnej rodziny. Boję się o ciebie - powiedział cicho. - Jeśli w Polsce zlekceważą sprawę... - mówił z niepokojem w głosie.

- Nie martw się. Dam sobie radę - powiedziałam, ale w duchu pomyślałam: „Gdybyś znał najnowsze informacje o panu Chojnickim, bałbyś się jeszcze bardziej”.

- Pracujesz nad jakimś nowym projektem? - spytał.

- Jeszcze nie. Ale lada moment coś zacznę. A jak twoja nowa książka?

- Na razie nie mam do niej głowy. Myślę tylko o tobie - powiedział smutno. - Tęsknię.

- Wiktor, ostrzegałam cię...

- Nic nie mów - przerwał mi w pół zdania. - Kocham cię i czekam. Miłego dnia, Lenka!

- Miło było cię usłyszeć - zapewniłam. - Pa! - Pa!

- To był Wiktor, prawda? - mama już była w moim pokoju.

- Tak, mamo.

- To dobrze, to bardzo dobrze - powiedziała tajemniczo i udała się w kierunku kuchni.

„Teraz moja kochana czarownica dosypie mi czegoś do jajecznicy na rozbudzenie miłosnej żądz” - pomyślałam nieco rozbawiona.

Po śniadaniu zabrałam się do przeglądania zamieszczonych w internecie ofert, tym razem wynajmu mieszkań. Oglądałam same kawalerki. „Muszę zredukować koszty - myślałam. Pieniądze zarobione u Chojnickiego się kończą, a tych za apartament nie będę ruszać. Niech sobie leżą na lokacie”. Wytypowałam kilka mieszkań, zadzwoniłam do biura nieruchomości i umówiłam się na popołudnie.

Odebrałam maile. Jak zwykle kupa reklam, biuletynów, jakiś mail z niewybrednymi żartami od kolegi z firmy, w której kiedyś pracowałam, i list od Leszka Bawickiego:

„Lena, wracamy jutro. Rozmawiałem z budowlańcami. Dom jest na tym etapie budowy, że można obejrzeć wszystkie pomieszczenia bez obawy, że jakaś cegła spadnie na głowę. Bądź gotowa na sobotę. Możesz wziąć ze sobą asystentkę albo asystenta ;) Nie będę wnikać, w czym będzie ci asystował. Podjedziemy po was około godziny jedenastej i zabierzemy na lotnisko. Wyślij mi tylko mail zwrotny, skąd was zabrać. Aha, chyba ci wspominałem, że tym razem stawiam dom na Teneryfie. Weźcie stroje kąpielowe, bo będziemy mieszkać w hotelu z basenem. No i zarezerwuj sobie jakiś tydzień, bo tyle tam będziemy. Wszelkie koszty biorę na siebie. Pozdrowienia. Leszek z Klaudunią.

PS. Jak się bawić, to tylko z Bawickim :)”

Przeczytałam tekst kilka razy i nadal nie rozumiałam. Na Teneryfie? Z Klaudunią? Czy to jest wiadomość od tego Leszka Bawickiego? Przecież on miał żonę Mirkę i niepohamowany lęk przed lataniem samolotem. Żona zwiedzała świat sama, bo Leszek cały się trząsał, gdy miał wsiąść na pokład. Wiele razy próbował, bezskutecznie. Ale ten dopisek: „Jak się bawić, to tylko z Bawickim” to faktycznie było zawsze motto rozrywkowego Leszka. Poznałam ich bliżej, bo w jakimś sensie zaprzyjaźniliśmy się

ze sobą. Ale Piotr ich nie polubił, więc kontakty się urwały. Skoro w liście jest jego motto, to musi być on, we własnej osobie. A skoro tak, to:

- Lecę na Teneryfę!!!! - krzyknęłam radośnie, jakbym trafiła szóstkę w totka.

- Co takiego? - mama wyleciała z kuchni. - Z Wiktorem - ucieszyła się.

- Nie, z klientami, mamusiu. Z tym Leszkiem Bawickim, pamiętasz go? Panicznie bał się latać. Opowiadałam ci kiedyś o nim.

- Coś kojarzę. Myślisz, że moja stara głowa spamięta wszystkich twoich klientów? Ale po co lecisz na tę całą Teneryfę z klientami. To już nie masz z kim?

- Mamo, do pracy lecę. On tam dom stawia.

- Matko boska, do czego to doszło! Czy w Polsce już ziemi brakuje? Żeby taki kawał świata stąd dom stawiać! Po co mu ten dom?

- Mamusiu, nie wiem. Może chcą się przeprowadzić. Może będzie wynajmował turystom. To piękna wyspa, jedna z Wysp Kanaryjskich. Oglądałam zdjęcia, bo kiedyś nawet miałam tam polecieć z Pio... No, polecieć.

- A gdzie to właściwie jest? - pytała mama.

- Niedaleko Afryki, jakieś sto kilometrów od zachodniego wybrzeża Maroka - odpowiedziałam.

- Do Afryki jedziesz? Tam chyba nie jest bezpiecznie - zaniepokoiła się.

- Nie do Afryki, tylko na wyspę. W dodatku należącą do Hiszpanii.

- Wyspy Kanaryjskie to ojczyzna kanarków, nieprawdaż? - tata interesował się wszystkim, co miało coś wspólnego z lataniem.

- Tak, ale nie wzięły swej nazwy od kanarków. A wprost przeciwnie. Nazwa wysp pochodzi od łacińskiego słowa canis,

czyli pies, ponieważ na wyspach grasowały kiedyś duże stada dzikich psów. A słowo „kanarek” z kolei pochodzi od nazwy archipelagu - tłumaczyłam.

- To kiedy wylatujesz, córeczko? - spytał.

- W sobotę wylatuję i będę tam tydzień - odpowiedziałam zadowolona. - Muszę zadzwonić do Julki i Marty - podskoczyłam i pobiegłam do telefonu, żeby umówić się z nimi na wieczór w „Słodkiej Chwili”.

„Czego będę potrzebowała na Teneryfie? Pewnie lżejszych ciuchów - medytowałam. Wszystko jest w garażu Marka. Muszę w ekspresowym tempie coś wynająć. Umówić transport i zadzwonić do Marka. Chyba jeszcze nie wyjechał do Włoch?! Lepiej od razu do niego zadzwonię”.

Odebrał po kilku sygnałach i zapewnił, że służy pomocą przy przeprowadzce. Mam tylko ustalić termin. Wyjeżdża dopiero w przyszłym tygodniu.

- No dobrze, to z grubsza zarysował mi się plan działania - mruczałam do siebie. - Dzisiaj jest wtorek. Wyjeżdżam w sobotę. Więc mam na wszystko trzy i pół dnia. Zdam się spokojnie - uspokajałam sama siebie.

Po domu już roznosiły się obiadowe zapachy. Pomaszerowałam do kuchni.

- Mamo, w czym ci pomóc? Może zrobię jakąś sałatkę? - zaproponowałam, chłonąc smakowite aromaty pieczeni i ziół.

- Może nakryj do stołu - odpowiedziała z uśmiechem.

- A co, boisz się, że z moimi kulinarnymi zdolnościami nawet sałatkę uda mi się zepsuć? - powiedziałam ze śmiechem i wyciągnęłam talerze z szafki.

- Lenka, ty się nie śmiejesz - mama zrobiła poważną minę. - Ty musisz u mnie pobrać lekcje gotowania. Wiesz, że do serca mężczyzny najlepiej trafia się przez żołądek.

- Mamo, to już nieaktualne. Teraz faceci gotują, i to jak. A co jest jeszcze bardziej niesamowite: to mają z tego prawdziwą frajdę.

- Co ty powiesz? - zdziwiła się. - Ten Wiktor też?

- Też - zapewniłam.

- No, no. Może kiedyś go tu zaprosisz i pokaże nam, co potrafi. Chętnie popróbuje francuskiej kuchni - powiedziała z uśmiechem. - Może nawet wymienię się z nim jakimiś przepisami.

- To ja lepiej idę nakrywać - wycofałam się czym prędzej do saloniku.

„Z mamą nie wygram - pomyślałam. Chyba dla świętego spokoju go tu zaproszę. Ciekawe, co by powiedziała, gdyby poznała jego życiorys - zaśmiałam się w duchu. Może to troszkę ostudzi jej zapal do swatania mnie”.

Obiad był jak zwykle znakomity.

- Mamusiu, jesteś mistrzynią. Wszystko jak zawsze smakuje wspaniale - chwaliłam.

- Dziękuję, córeczko.

- Tak, Krysiu, to ty mi popsulaś figurę - żartował tata, klepiąc się po okrągłym brzuchu.

- A powiedz, Lena, ten Wiktor to ile ma lat? - mama nie odpuszczała.

- Mniej więcej tyle co ja - odpowiedziałam.

- To jak on się uchował? Sam tyle czasu? Lenka, a może on jest jakiś nieudacznik - zastanawiała się mama. - Wiesz, to, że umie gotować, to jeszcze nie wszystko. Do kobiety to przez żołądek się raczej nie trafi.

- Tak, do kobiety to raczej przez gruby portfel - zaśmiał się tata.

- No wiesz - oburzyła się mama.

Postanowiłam zagrać w otwarte karty. Nadszedł moment ostudzenia mamy.

- Mamo, ależ on jest rozwodnikiem. Miał już żonę, ma dziecko, a po drodze miał jeszcze mnóstwo kochanek - wypaliłam, aż tata zakrztusił się kompotem.

- I bardzo dobrze - mama była nadal oazą spokoju. Teraz ja zakrztusiłam się kompotem.

- Córeczko, w twoim wieku ciężko byłoby znaleźć prawiczkę - tłumaczyła mi, zajądając się pieczenią. - Poza tym to dopiero byłoby nieszczęście - dodała - męczyć się z taką surowizną.

„Nigdy nie bądźcie pewni, że dobrze znacie swoich rodziców, bo w najlepszym przypadku grozi wam... zakrztuszenie się kompotem” - pomyślałam.

- Ale naprawdę cieszę się, że ma dziecko - kontynuowała uradowana. - Ile ma lat? Dziewczynka, chłopiec? Jak ma na imię? - zarzuciła mnie gradem pytań.

- Chłopiec, lat pięć. Imienia nie znam.

- Spałaś z nim, a nie znasz imienia jego synka? - zdziwiła się mama.

Tata znowu zakrztusił się kompotem. Aż ruszyłam na pomoc z oklepywaniem.

„Jak tak dalej pójdzie, ojciec mi się udusi” - pomyślałam zaniepokojona.

- Tato, nie pij przez chwilę, proszę cię - powiedziałam. - Mamo, żeby się bzykać z facetem, nie jest wymagana znajomość imion jego dzieci - zapewniłam.

- Raczej „Kamasutry” - dodał przytomnie tata.

- Może zmieńmy już temat - zaproponowałam - bo biedny tata nie może popijać.

- Dobrze, kochanie - mama była wyjątkowo ugodowa. - A powiedz mi, ten miły pan, który zaopiekował się twoimi rzeczami...

- Marek, mamusiu.

- No właśnie, a ten pan Marek jest wolny? - spytała. -
Mamo! Daj już spokój! Lecę. Jestem umówiona na oglądanie
mieszkań - gwałtownie wstałam od stołu.

- Ale nie wypijaś kompciku - zareagowała słodkim
głosem mama.

- W tych warunkach się nie da - rzuciłam na odchodnym i
już mnie nie było.

Po mieszkaniach znowu oprowadzał mnie ten sam
pracownik biura.

- Dzień dobry, pani Leno! - przywitał mnie z uśmiechem.

- A pan tak właściwie to jak ma na imię? - spytałam. - Bo
niestety nie pamiętam.

- Ryszard Klops - powiedział z godnością. Spojrzałam na
niego z lekkim współczuciem. „Rudy przy

Klopsie to naprawdę pikus" - pomyślałam, wspominając
gadatliwego Konrada Walenroda.

- Panie Rysiu - zaczęłam. - Dzisiaj muszę koniecznie coś
znaleźć. Jak mówiłam przez telefon, tym razem szukam
małego mieszkańka do wynajęcia, no i ważna jest cena.

- Rozumiem, pani Leno. A więc do dzieła.

Już pierwsza oglądana kawalerka przypadła mi do gustu.
Była kompletnie urządzona i nieźle wyposażona. Cena też nie
była wygórowana.

- Od kiedy mogłabym się wprowadzić? - spytałam.

- Jak tylko podpiszemy umowę. No i wpłaci pani
trzykrotność ceny miesięcznego najmu.

- Trzykrotność? No to klops! - palnęłam i od razu zdałam
sobie sprawę, jak nie na miejscu jest to powiedzonko. -
Przepraszam, panie Rysiu. Ale to nie o panu.

- Nic nie szkodzi. Nie jestem przeczulony na punkcie
swojego nazwiska.

- Chodziło mi o to, że to duża kwota. No ale trudno.
Nadszarpnę oszczędności.

- Czyli finalizujemy, pani Leno? - spytał, szykując już papiery.

- Jak najbardziej, panie Rysiu.

Wróciłam do domu w dobrym humorze. W międzyczasie wykonałam dwa telefony. Zamówiłam na następny dzień ciężarówkę do transportu moich rzeczy i zawiadomiłam o tym Marka. „No to jeden problem rozwiązany” - pomyślałam. Ten drugi dużo poważniejszy o nazwisku Chojnicki nadal ciążył. „Ale nic to, zaraz wylatuję na Teneryfę. Nie będę sobie teraz nim głowy zawracać - pocieszałam sama siebie. W końcu od tego jest policja”.

- Mamo, tato, od jutra macie mnie z głowy! - krzyczałam od progu. - Wynajęłam mieszkanie. To znaczy mieszkanko, kawalerkę.

- Klitkę znaczy - podsumowała mama.

- Dla mnie starczy - stwierdziłam. - Jutro przeprowadzam moje rzeczy.

- Pomogę ci - zadeklarował tata.

- Pomożemy - poprawiła mama.

- Dziękuję wam, naprawdę. Ale nie ma takiej potrzeby - próbowałam odwieść ich od tego pomysłu. - Przyjedzie dwóch panów. Załadują, rozładują i po robocie. Marek też będzie, w razie czego.

- Marek będzie? Tym bardziej muszę ci pomóc - stwierdziła stanowczo mama.

- Wiecie co, przekąszę coś małego i lecę na spotkanie z dziewczynami - porzuciłam stracony już temat przeprowadzki.

W kawiarni obsługiwał nas ten sam kelner.

- Znowu koniaczek? - spytał z uśmiechem. Dziewczyny spojrzały na mnie ze zdziwieniem.

- Nie, kawę weźmiemy i po dużym ciachu firmowym - mrugnęłam do Julki i Marty.

Gdy kelner odszedł, zaatakowała mnie Marta:

- Lenka, ty chyba nie wpadłaś w nałóg?! Na koniaczek tu codziennie przychodzisz?

- Marta, jakie codziennie? Wczoraj tylko byłam. Musiałam się trochę znieczulić po rewelacjach Marka.

- A co się jeszcze wydarzyło? - spytała zaniepokojona Julka.

Opowiedziałam im więc całą historię Chojnickiego, i trochę mi ulżyło. Im za to wprost przeciwnie. Julka wyprężyła się, skamieniała i tylko nerwowo mrugała oczami, a Marta, skurczona do rozmiarów leśnego skrzata, nerwowo stukała palcami o blat stołu.

- Hej, co wam jest? - spytałam rozbawiona. - Spokojnie, Chojnicki jest w rękach policji. Nic mi na razie nie grozi.

- No właśnie, na razie - w końcu Julka porzuciła pozycję żony Lota - ale co będzie jak go wypuszczą?

- Chwilowo staram się o tym nie myśleć - odpowiedziałam i zaraz dodałam: - Mam co innego na głowie. Jutro przeprowadzam rzeczy do wynajętego mieszkania, a w sobotę wylatuję na tydzień na Teneryfę - powiedziałam z zadowoleniem w głosie.

- Co takiego? - spytała Marta. - Znowu wyjeżdżasz?

- Tak, mój klient buduje dom na Teneryfie i lecę tam służbowo. Ale mogę zabrać asystentkę czy kogo tam chcę i chciałam się właśnie was spytać, czy może któraś z was reflektuje na krótkie wakacje w hotelu z basenem?

- Ojej, jak ja ci zazdrozczę - jęknęła Julka. - Ja niestety nie mogę. Mam urwanie głowy z tą księgarnią. No i wiesz, to byłoby trochę nie w porządku wobec mojego Andrzejka, jakbym tak ciągle bez niego wyjeżdżała.

- Doskonale cię rozumiem - powiedziałam i spojrzałam na Martę.

- Wiesz... - zaczęła Marta - ja też za bardzo nie mogę. Zakładamy teraz z Jerzym taką małą klinikę weterynaryjną.

- Gratulacje! - obie z Julką uściskałyśmy Martę.

- W tym samym miejscu? - spytała Julka.

- Tak. Stawiamy obok taki mały pawilon.

Marta do tej pory prowadziła z mężem gabinet weterynaryjny dla zwierząt. Teraz najwyraźniej zamierzali go rozbudować.

- Dziewczyno, nie ma sprawy. Nie musicie się tłumaczyć. To była tylko propozycja. Dostałam taką możliwość, to mówię. W końcu komu miałam zaproponować jak nie przyjaciółkom? - uśmiechnęłam się. - Ale w sumie to jadę tam do pracy i na pewno będę zajęta.

- Lenka, a może Wiktorowi byś zaproponowała? - nieśmiało rzuciła Julka. - On tak dbał o nas w tym Paryżu. Nie tęsknisz za nim?

- Może trochę - przez głowę przemknęły mi co pikantniejsze wspomnienia.

- Dziewczyno, na co ty czekasz? Chyba nie chcesz być sama do końca życia? - ruszyła na mnie Marta.

- No chyba nie myślisz, że już zamierzam je kończyć? - parsknęłam śmiechem.

Dziewczyny popatrzyły na mnie ze zgrozą.

- Zabierz Wiktora. Lepiej się poznacie - namawiała Marta.

- Pomyślę - powiedziałam. - Czy miałyście jakieś wieści od Weroniki? - spytałam.

- Nie, chyba spędza upojny tydzień w Paryżu i nie wychodzi z łóżka - Julka filuternie mrugnęła okiem.

- Oboje są udani. Pasują do siebie jak ulał - stwierdziła Marta.

Zaczęłyśmy wspominać paryskie przygody, zaśmiewając się z nich do rozpuku.

- A pamiętacie, jak panicznie wystraszyłyśmy się śledzącego nas faceta w tej ciemnej uliczce? - mówiła Julka. -

A potem się okazało, że to był Adam. Prezes banku, wystrojony w brodę, wąsy i perukę skradał się za nami jak detektyw Clouseau.

- No, od tej strony go jeszcze nie znałam - mówiłam, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

- Ale najlepsza była Weronika na komisariacie policji - wspominała Marta. - Jak wygarnęła temu polskiemu Francuzowi, pewna, że ni w ząb jej nie rozumie.

- Ale dobry był. Nawet mrugnięciem oka nie zdradził się, że doskonale przyswaja jej każde obraźliwe słowo - stwierdziłam. - Szkolony. Ale po co, Julka, tak wystartowałam z tą mową błagalną po polsku, to nie wiem.

- Jak to nie wiesz? - chichotała Julka. - To przez to wino, którym tak hojnie częstował nas Wiktor. Miałam wrażenie, że znam wszystkie języki świata.

Chichotałyśmy jak najęte. Aż zaciekawiony kelner podszedł do nas.

- Może jednak koniaczku? - zaproponował.

Następnego dnia rano znowu zadzwonił Wiktor.

- Lena - zaczął proszącym głosem. - Czy możemy się chociaż spotkać? Ja jestem gotów przelecieć... To znaczy przylecieć do ciebie choćby na pół dnia.

- Wiktor, powiedz mi, proszę. Czy ty uprawiasz jogging? - spytałam.

- Tak, biegam sobie czasami - odpowiedział nieco zdziwiony pytaniem.

- A w jakim kolorze masz strój do biegania?

- Wiesz, podobno mężczyźni nie potrafią sprecyzować nazwy koloru - mówił coraz bardziej zaskoczony. - Ja bym powiedział, że to niebieski. Mam taki niebieskawy dres.

„Pewnie to zbieg okoliczności - pomyślałam - chociaż moja mama miałaby zupełnie inne zdanie”.

- W takim razie zapraszam cię na Teneryfę! - wypaliłam. „Teraz weźmie mnie za niepoczytalną - pomyślałam - i chyba będzie miał rację. Wystraszy się i na pewno odmówi”. Zapadło milczenie. Serce waliło mi jak szalone. Te kilka sekund ciszy w słuchawce ciągnęło się w nieskończoność.

- Nie wierzę - wyjąkał w końcu niepewnie. - Kiedy? Jak to zapraszasz? Ja chętnie cię zaproszę - mówił coraz bardziej podekscytowany.

Wyjaśniłam mu całą sytuację.

- Wiesz, nie marzyłem nawet, że wybierzemy się tak szybko gdzieś razem - powiedział, gdy skończyłam. - Ale to będzie dla mnie strasznie kłopotliwe, wakacje na cudzy koszt.

- No tak. Nie pomyślałam o tym - odpowiedziałam zbita z tropu.

- Po prostu zapłacę za nasz pobyt i tyle - powiedział zadowolony. - Muszę jeszcze tylko rozwiązać kwestię urlopu. Będę w piątek wieczorem - zapewnił cały w skowronkach.

- W takim razie czekam - powiedziałam cała uśmiechnięta.

„Czy to nie jest ironia losu, że teraz ja czekam?” - rozmyślałam po skończonej rozmowie. Tak właściwie to zaprosiłam go pod wpływem impulsu, którego przyczyn nie znam. Czasami mam takie odczucie, że we mnie są dwie Leny. Jedna racjonalna i ostrożna, druga nieprzewidywalna i spontaniczna. Jedna nie rozumie drugiej. „Lepiej nie mów o tym swojemu lekarzowi, bo zaczną cię leczyć na schizofrenię - śmiałam się w myślach sama z siebie. A teraz obie Leny do roboty! Przeprowadzka czeka”.

Kiedy zajechaliśmy pod garaż, Marek już tam był. Przedstawiłam go rodzicom.

- Mamo, tato, to jest właśnie Marek, mój były sąsiad, który był tak miły, że udzielił mi wsparcia i udostępnił swój

garaż - przemawiałam jak na akademii ku czci zasłużonych, pomijając inne ciemniejsze strony naszej znajomości.

- Bardzo mi przyjemnie, że mogę poznać szanownych rodziców - Marek w grzecznościach dorównywał mi kroku.

Widziałam, jak mama mierzy go wzrokiem, a potem z wyrazem uznania na twarzy patrzy w moją stronę. „O nie! Tylko nie to!”

Za chwilę pojawiła się zamówiona ciężarówka. Wsiadło z niej dwóch roślących panów w pomarańczowych kombinezonach, i bez zbędnych pytań zabrali się do układania moich kartonów na pace.

Ojciec próbował chwycić jakiś karton, ale od razu naciął się na sprzeciw jednego z nich:

- Panie starszy, lepiej da pan spokój. Jeszcze w krzyżu strzeli. My tu od tego są, żeby zapieprzać. No nie, Zdzisiek? - zwrócił się do kolegi.

- Panie pomarańczowy... - zaczął mój tata, ale do akcji wkroczyła błyskawicznie mama, nie dając mu dojść do słowa. Szkoda, bo zapowiadało się na interesującą wymianę zdań.

- Witek, daj spokój. Niech sobie panowie spokojnie pracują - mówiła, ciągnąc tatę do mojego samochodu. - Pomożemy Lenie przy rozpakowywaniu.

Załadunek poszedł w miarę sprawnie. Pożegnałam się z Markiem, podziękowałam mu za pomoc, życzyłam powodzenia w realizacji planów. Na koniec podałam mu mój nowy adres i wsiadłam do samochodu.

W moim samochodzie w najlepsze trwała kłótnia pomiędzy tatą siedzącym z przodu a mamą, która zajęła miejsce na tylnej kanapie.

- Dlaczego ty mi się zawsze wtrącasz? - mówił podenerwowany tata.

- A po co ty się wdajesz w niepotrzebne awantury? - odpowiedziała z przekąsem mama.

- Wcale się nie wdaję, bo ty mi na to nigdy nie pozwalasz! - tata już krzyczał.

- I powinienes mi za to dziękować, a nie wrzeszczeć! - krzyczała też mama.

- Tak? A może ja bym chciał sobie podyskutować jeszcze z kimś oprócz ciebie?!

- I ty to nazywasz dyskusją? - mama przeszła w dyszkant, aż zaświdrowało mi w uszach. - „Panie pomarańczowy” - przedrzeźniała.

- A co on mi będzie walił „panie starszy”?!

- A co, może nie jesteś starszy?!

- A on nie jest pomarańczowy?!

- Ty, ty... ty rasisto jeden - huknęła z grubej rury.

- Uwaga!!! - krzyknęłam jeszcze głośniej od nich. Zamilkli chyba ze zdziwienia moją wybuchową reakcją. - Kierowca musi mieć spokój podczas prowadzenia pojazdu. Proszę o ciszę.

I jechaliśmy w grobowym milczeniu aż pod sam blok, w którym miałam tymczasowo zamieszkać. Ciężarówka z gratami już była na miejscu.

- Panowie, na trzecie piętro poproszę - powiedziałam do panów od przeprowadzek.

- Mamo, tato, też zapraszam na trzecie piętro.

- Na trzecie? Już wyżej nie mogłaś zamieszkać? - narzekała mama.

- Ta ciągle tylko jęczy - podsumował tata.

„No nie. Dopiero co nie mogłam nadziwić się ich miłości” - pomyślałam. Chyba jednak każde pokolenie ma te same problemy.

Poszłam przodem i otworzyłam drzwi. Chwilę później pojawił się tata. Weszliśmy do środka.

- No, całkiem ładne - chwalił tata.

- Ale malutkie - już od wejścia krytykowała mama, która dołączyła do nas po jakimś czasie, ciężko dysząc.

Panowie pomarańczowi uwijali się z paczkami. Mieszkanie powoli wypełniało się kartonami. Już za chwilę nie było gdzie nogi postawić. „To ja mam aż tyle rzeczy? - zdziwiłam się. Gdzie ja to wszystko upchnę?”

- Gdzie ty to wszystko pomieścisz? - zapytała za chwilę mama, jakby czytała w moich myślach. '

Zlustrowała całe mieszkanie. Zaglądała w szafki kuchenne. Obejrzała łazienkę. Puszczala wodę ze wszystkich możliwych kranów. Otwierała okna. Macała podłogi i ściany. Zapalała lampy. Ojciec w tym czasie siedział sobie spokojnie na kanapie i czekał.

- Krysia, ty się powinnaś zatrudnić w nadzorce budowlanym - stwierdził z ironicznym uśmiechem.

- A ty tylko siedzisz, kanapowcu jeden. Pomógłbyś lepiej - wypaliła mama.

- Wiecie co, zrobię wam kawy - zaproponowałam pojednawczo, widząc, że grozi wybuchem. Ojciec zrobił się czerwony z gniewu i już nabierał powietrza, żeby się solidnie Krysi zrewanżować.

Przeszłam do aneksu kuchennego połączonego z pokojem. Rozejrzałam się po szafkach. Znalazłam szklanki. Kawę i kilka innych bezwzględnie potrzebnych produktów przyniosłam ze sobą. Obok już huczało.

- Co się z nimi dzieje? - zaniepokoiłam się. - Jeszcze gotowi rozwieść się na stare lata - mruczałam do siebie. - Może lepiej herbatkę z melisy na uspokojenie im zaparzę. Bo jak kawa im jeszcze podniesie ciśnienie, to chyba eksplodują.

Do kuchni znienacka wszedł jeden z pracowników firmy przeprowadzkowej.

- Szefowo, robota skończona - powiedział zadowolony.

- A to dobrze, dziękuję - powiedziałam, wręczając mu ustaloną wcześniej kwotę plus napiwek.

- Co złego, to nie my - uśmiechnął się na pożegnanie. Wróciłam do rodziców. Teraz milczeli obrażeni.

- Kochani, czy możecie przestać zachowywać się jak dzieci? - spytałam. - Czy to już ten etap?

- No wiesz - oburzyła się mama. - Ale ten Marek, to całkiem niczego sobie - powiedziała zadowolona.

- Proszę, częstujcie się herbatką - udałam, że nie słyszę jej ostatnich słów.

- Jak to herbatką? Kawa miała być - zdziwił się tata.

- Ale jest melisa. Muszę was wyciszyć.

Melisa chyba zadziałała, bo wyszli pod rękę, jak przystało na stare dobre małżeństwo. A ja zabrałam się do wypakowywania rzeczy z kartonów. „Chyba będę musiała zorganizować tu jakąś parapetówkę - pomyślałam. Ale to po powrocie z Teneryfy. Właśnie, trzeba powoli zacząć się pakować”.

Zaczęłam przeglądać letnie rzeczy. - Jaka właściwie tam jest teraz pogoda? - mruczałam sama do siebie. Popatrzyłam przez okno. Druga połowa kwietnia, a na dworze chlapa i chłód. Ludzie opatuleni w płaszcze z parasolami, szybko przemykają do ciepłych domów. Weszłam w internet. No tak, na Teneryfie dwadzieścia pięć stopni, słońeczko. Tam to mają życie. Cały rok przyjemna temperatura. Cały rok zielono. Bez zimy, bez mrozów. Hurra! Wskoczyłam na kanapę i zaczęłam skakać. - Jadę tam! Będę niedługo moczyć się w basenie wśród palm i wygrzewać na słończku. I będzie ze mną Wiktor - podśpiewywałam sobie.

„No właśnie. Tego akurat się trochę obawiam - pomyślałam. Ale raz kozie śmierć. Może to jest moja i jego szansa, szansa na szczęście”. Czyż nie o to chodzi w życiu? Czy nie do tego dąży każdy człowiek? Mówi się często, że

najważniejsza jest miłość. Ale jeśli uwikłamy się w trudną miłość, która nie daje szczęścia, tylko sprawia ból, czy jest sens w niej trwać? Aby potem, po kilku latach stwierdzić, że zmarnowało się kawał życia, jeśli nie całe? Kochałam Piotra bezgranicznie i często przymykałam oko na jego egoizm. Często nie byłam szczęśliwa, ale myślałam sobie, że miłość wymaga poświęceń. I co z tego wyszło? Poszukał sobie bardziej wymagającej.

„Mam trzydzieści osiem lat i nie zamierzam już marnować więcej czasu na życie bez szczęścia. I teraz tego będę się trzymać” - podsumowałam rozmyślenia i wróciłam do przeglądania garderoby.

Przymierzałam sukienki i stroje kąpielowe. Paradowałam w szpilkach i bikini i oglądałam się w lustrze jak jakaś zakompleksiona nastolatka. „Kobieto, co się z tobą dzieje?” - strofowałam się w myślach i dalej mierzyłam jakieś zapomniane sukienki w kwiatki i krótkie spódniczki. Rozpakowywałam karton po kartonie. Rzeczy przydatne na wyjazd rzucałam na jedną kupę, resztę na drugą. Po jakimś czasie miałam dwa wielkie stosy i piramidę z pustych kartonów, pomiędzy którymi biegałam półnaga i totalnie zakręcona. Z amoku przebieranek wyrwał mnie dzwonek.

„Kto to może być? - pomyślałam. Czyżby rodzice wrócili sprawdzić, jak mi się żyje w nowym miejscu?” Wciągnęłam na siebie mierzoną dopiero co kusą kieckę z dużym dekoltem i pomaszerowałam do drzwi. Otworzyłam...

- Marek?!!! - nie potrafiłam ukryć zdziwienia. „Mistrz trafiania mnie w najmniej odpowiednim momencie” - pomyślałam. - Cześć, wejść, proszę.

- Przepraszam, że ci znowu przeszkadzam - zaczął, patrząc w mój dekolt. - Ale to ważne.

- To ja ciebie przepraszam za ten bałagan, ale właśnie się rozpakowuję - tłumaczyłam, wskazując na kolorowe sterty ciuchów skutecznie blokujące przejście.

Zrobiłam wąską ścieżkę, odgarniając rzeczy nogą, i zaprosiłam go do stołu.

- Może kawy? - zaproponowałam i poleciałam do czajnika.

- Przyjemne mieszkanie - zauważył.

- Tak, nie najgorsze. Chociaż małe. No i nie moje własne. Ale na razie może być. Po powrocie znowu rozejrzę się za czymś.

- Po powrocie? - zdziwił się. - Wyjeżdżasz?

- Tak, lecę służbowo na Teneryfę. Chociaż nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić - uśmiechnęłam się, podając mu kawę.

- No tak, rozumiem. Nie masz do mnie zaufania - westchnął ciężko.

- Mam, tylko ograniczone.

- Pół godziny temu dostałem cynka, że Chojnicki już dzisiaj wraca do Polski. Wezmą go na obserwację psychiatryczną. Ale podobno znacznie mu się poprawiło po lekach.

- Czyli jest duże prawdopodobieństwo, że wkrótce wyjdzie na wolność? - spytałam zaniepokojona.

- Niestety tak. Za naruszenie porządku publicznego na pewno nie grozi mu więzienie. Ty też nie masz go za bardzo o co oskarżyć - zauważył.

- Tak, jedynie o strach, jaki we mnie teraz budzi. Gdybyś widział, jaka siła w niego wstąpiła, gdy bił się z Wiktorem i Adamem... Wyglądał jak jakieś monstrum o nadludzkiej mocy.

- Dobrze, że wyjeżdżasz. Oderwiesz się trochę od tego. Kiedy wracasz? - spytał.

- W przyszłą sobotę.
- Dzień przed twoim powrotem dam ci znać, co u niego -
zapewnił.

- Ale przecież też miałeś wyjechać - zauważyłam.
- Niestety, a właściwie, to na szczęście dostałem intratne
zlecenie. Trafiła się okazja zarobić trochę grosza. Bez
pieniędzy i tak nigdzie Ani nie zabiorę.

- Ma na imię Ania?

- Tak - powiedział cicho. - Sam wybrałem to imię.

- Piękne - zapewniłam.

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu, popijając kawę.

- Lecę - zerwał się. - Pakuj się dalej i koniecznie zabierz
tę sukienkę - musnął mnie ręką po biodrze.

Reszta dnia upłynęła mi na przygotowaniach do wyjazdu.
Powiadomiłam Julkę, Martę i Weronikę o moim nowym
adresie. Próbowałam też oswoić wynajęte mieszkanie.
Wybrałam się na zakupy i kupiłam trochę drobiazgów, żeby
poczuć się bardziej u siebie. Piękną atlasową narzutę na
kanapę w kolorach lawendowym i ecru, trochę poduszek w
podobnej tonacji, mały dywanik. Porozstawiałam ulubione
zdjęcia w ramkach. Pomyślałam okna, zawiesiłam firanki i
nakryłam stół obrusem. „Nie jest tak źle - pomyślałam.
Ciekawe, jak minie pierwsza noc tutaj?” Spojrzałam na
wieczór za oknem. Byłam sama w obcym mieszkaniu. W
domu rodziców tęskniłam za spokojem. Ale cisza w
nadmiarze może działać depresyjnie. Włączyłam telewizor.
Rozłożyłam się wygodnie na kanapie. Leciła jakaś stara
komedia romantyczna. Ona go kocha, ale jeszcze o tym nie
wie. On za to wie doskonale, że to z nią chce spędzić resztę
życia, ale jest mało wiarygodny. Na ich drodze pojawiają się
różne przeszkody... Zadzwoił telefon.

- Córciu, jak ci tam jest? - pytała mama.

- Dobrze, całkiem nieźle.

- Bo jakby ci było źle, to wracaj do nas - zapraszała.
 - Mamo, możesz być spokojna. Czuję się jak u siebie w domu. Leżę na kanapie. Oglądam sobie film.
 - A jadłaś coś?
 - Mamo, ja jestem już całkiem dorosłą kobietą, żeby nie powiedzieć starą babą. Nie możesz się martwić o takie rzeczy - cierpliwie tłumaczyłam.
 - No, no, nie postarzaj mnie. Nie przeszkadzam w takim razie. Dobrej nocy!
 - Dobranoc, mamo!
- Ledwie odłożyłam telefon, zadzwonił znowu.
- Lenka, tu Weronika. Gratuluję! Kupiłaś mieszkanie? Kiedy parapetówka?
 - Hej! Nie kupiłam, wynajęłam. Jak Paryż?
 - Bosko. Opowiem wszystko, jak wrócimy. Może umówimy się na niedzielę?
 - Werka, ja w sobotę wylatuję na Teneryfę, służbowo. Ale zabieram Wiktora.
 - Bosko! To jak wrócisz, daj znać. Muszę kończyć, bo mój misiaczek wraca. Pa!
 - Pa, pozdrów też misiaczka - zachichotałam do słuchawki.
- Znowu wyciągnęłam się na kanapie. Akcja filmu przeszła z etapu miłości platonicznej do scen łóżkowych. Tym razem zadzwonił Wiktor.
- Cześć, Lenka!
 - Cześć, Wiktor!
 - Przylatuję w piątek. Będę na lotnisku około siedemnastej. Zarezerwowałam sobie hotel na tę jedną noc. Ale mam nadzieję, że zobaczymy się już w piątek.
 - Przyjadę po ciebie na lotnisko - zaproponowałam.
 - Super. Już nie mogę się doczekać - powiedział ciepło.

- Ja też się cieszę - zapewniłam. - Wynajęłam kawalerkę. Dziś spędzę w niej pierwszą noc - pochwaliłam się.

- Nie czujesz się tam... samotna?

- Może trochę - wyznałam nieoczekiwanie dla samej siebie.

- Bardzo za tobą tęsknię - wyznał. - Za twoim zapachem, za twoim ciałem - szeptał namiętnie. - Chętnie powtórzyłbym tamtą noc - słuchałam jak zahipnotyzowana, patrząc jednocześnie na ekran, gdzie toczyła się bardzo podobna scena do tej, o której mówił.

Nagle usłyszałam dzwonek do drzwi.

- Wiktor, muszę kończyć. Ktoś dzwoni do drzwi. Pa!

- Pa! - powiedział zbity z tropu.

Z wypiekami na twarzy podbiegłam do drzwi, za którymi stały Julka i Marta z ogromnym bukietem kwiatów.

- Wszystkiego najlepszego na nowym mieszkaniu! - uściskały mnie zaraz po przekroczeniu progu i wręczyły bukiet oraz butelkę czerwonego wina.

- Wchodźcie, laski. Jak miło, że przyszłyście.

- Nawet fajne to mieszkanko - pochwaliła Julka. Zrobiłam im krótką prezentację mojego nowego lokum, po której usiadłyśmy do stołu.

- Wypijmy za to, żeby dobrze ci się tu mieszkało, ale krótko - wzniosła toast Marta.

- Dlaczego krótko? - zdziwiła się Julka.

- Żebyś jak najszybciej zamieszkała w swoim własnym domu - wytłumaczyła Marta.

- Słuchajcie najnowszych wieści - ' zaczęłam tajemniczo - zaprosiłam Wiktora na Teneryfę! Ta - tam! - zanuciłam, rozkładając tryumfalnie ręce.

- A jednak nas posłuchałaś - zawołała zadowolona Marta.

- Trochę się też temu przysłużył mój sen - zaśmiałam się i opowiedziałam im wszystko ze szczegółami.

- Twoja mama tłumaczy sny? - zainteresowała się Julka.

- Moja mama ma różne niegroźne dziwactwa. Jest też bardzo przesądna - uśmiechnęłam się. - W życiu nie przejdzie pod żadną drabiną, a w piątek trzynastego nie rusza się z domu.

- O, z tymi przesądami to trzeba uważać - zaczęła poważnie Marta. - Czasami mogą być niebezpieczne. Taka moja jedna koleżanka, też bardzo przesądna osoba, jechała sobie samochodem. Było już ciemno, przejeżdżała przez jakąś wieś. Nigdzie żywego ducha. Aż tu nagle przebiegł jej drogę czarny kot. Zdenerwowała się bardzo, bo nie zdążyła zauważyć, czy był cały czarny czy nie. Na pierwszy rzut oka wydawał się czarny jak smoła, ale jeśli miałby chociaż jedną małą jasną łatkę, mogłaby odetchnąć spokojnie. W jej głowie już kłębiły się różne straszne myśli, co może się zdarzyć, jeśli kot był jednak czarny. Próbowwała więc go wypatrzeć na poboczu i tak się zagapiła gdzieś w tył... że przywaliła w przydrożne drzewo.

- O matko - jęknęłyśmy.

- No i skończyło się na połamanych żebrach i uszkodzonej chłodnicy - dokończyła smutno Marta.

- A dowiedziała się przynajmniej, jaki był ten kot? - spytała Julka.

- No właśnie nie. Ale sądząc po skutkach, musiał być cały czarny - podsumowała ponuro Marta.

- Czyli sama jesteś przesądna - zaśmiałam się, celując w nią palcem. - A wiecie, że już zaczęłam się pakować - zmieniłam temat. - I co mnie samą przeraża, powybierałam same sexy ciuchy.

- To zdrowy objaw - zapewniła Julka. - Zależy ci na nim i tyle.

- Ale ja już nie mam osiemnastu lat. Tylko o dwadzieścia więcej - żaliłam się nie wiem komu.

- Kochana, kobieta chce się podobać w każdym wieku - powiedziała Marta. - Jak dziś pamiętam moją babcię. Na twarzy gęsta siateczka zmarszczek, a na ustach malinowa szminka. I wiecie co? Pięknie w niej wyglądała. Moja babcia to miała klasę.

- Weronika dzisiaj dzwoniła - przypomniałam sobie nagle. - Baluje w Paryżu.

- Z mężem czy z innym adoratorem? - zaśmiała się Julka.

- W sumie to nie wiem - chichotałam. - W każdym razie z kimś miłym, bo mówi o nim: misiaczek.

Gadałyśmy jeszcze kilka godzin, aż zrobiło się późno. Dziewczyny wyszły i znowu zostałam sama. „Ale już niedługo - pomyślałam. Już niedługo”.

Ze snu wyrwał mnie telefon. Zerknęłam na zegarek. Była szósta rano.

- Halo, Lenka? Tu mama. Kochanie, mów mi szybko, co ci się śniło. Zanim zapomnisz. To bardzo ważne. Sen na nowym miejscu sprawdza się na sto procent.

- Mamo, właśnie przerwałaś mi jakiś wspaniały sen - zamruczałam z pretensją. - Może jak pozwolisz mi jeszcze chwilkę pospać, to sobie dokończę ten sen i zadzwonię do ciebie - mówiłam nie do końca przytomna.

- No szkoda - zmartwiła się. - Faktycznie przerwany sen nic nam nie powie. Ale sen w dwóch częściach chyba też jest nieważny - zastanawiała się, a ja prawie chrapałam jej do ucha.

- Dobranoc, mamusiu - nie wytrzymałam dłużej i odłożyłam słuchawkę.

Obudziłam się o dziewiątej i zdziwiona rozejrzałam po pokoju. „Aa, przecież wynajęłam mieszkanie - przypomniałam sobie. I mama do mnie dzwoniła w środku nocy”. To wszystko było takie surrealistyczne. Śniło mi się, że

leżę na plaży, nad lazurowym morzem. Świeciło słońce. Obok leżał Wiktor i trzymał mnie za rękę i nagle... zadzwonił dzwonek. Odbyłam krótką rozmowę z mamą, a potem wróciłam na plażę, ale zamiast Wiktora obok mnie leżała moja mama.

„Teraz trzeba wrócić do rzeczywistości i wziąć się do roboty - pomyślałam. Dzisiaj muszę trochę popracować”. Miałam zamiar przypatrzeć się kanaryjskiemu stylowi urządzania wnętrz. Może Bawicki będzie chciał mieć dom w lokalnym charakterze. W każdym razie ja chciałam mu to doradzać, a przynajmniej stylizację. Dom pod każdym względem powinien dobrze komponować się z otoczeniem.

Przez dobre kilka godzin przeglądałam internet. Układałam sobie wszystko w głowie. Byłam bardzo ciekawa, jak wygląda dom. Jak rozplanowano pomieszczenia, okna. Jak operuje światło. Powoli zaczynałam już żyć tym projektem. Mam wielkie szczęście, ponieważ moja praca jest również moją pasją. Uwielbiam kreować przestrzeń. Wystarczy, że wejdem do jakiegoś wnętrza, a już w głowie rysuje mi się jego aranżacja. Trzeba jeszcze poznać upodobania klienta. Czasami trzeba je nawet ukształtować, bo są zupełnie niesprecyzowane.

Właśnie, gust Leszka Bawickiego już znałam. Miałam jeszcze zamiar troszkę zaprzyjaźnić się z nową panią Bawicką. Spodziewałam się, że Klaudunia okaże się młodym, nieopierzonym dziewczęciem bez wyrobionego smaku. Ale za to z niepodważalnymi atrybutami ciała. Niektórym facetom po pięćdziesiątce całkiem odbija. Jak gdzieś przeczytałam: „Wielu mężczyzn zawdzięcza swój sukces pierwszej żonie, a swą drugą żonę - sukcesowi”. A Leszek odniósł sukces. Kiedy go poznałam, był właścicielem dużej fabryki mebli, która świetnie sobie radziła na rynku.

Wysłałam Bawickiemu maila z moim nowym adresem.

Obejrzałam pocztę. Tak, nastały czasy, że maili się nie czyta. To znaczy rzadko które. Większość maili się tylko ogląda z daleka. Do każdego podchodzi się jak saper do bomby. Pochopnie nie ruszać, bo nie wiadomo, jakie zagrożenie niesie. Może wirusa, może robaka, a może nawet konia trojańskiego. Jak ja kocham tych kreatywnych ludzi, którzy pakują do poczty ten cały zwierzyniec. Kocham i podziwiam. Tyle poświęcenia, żeby tak zupełnie nieznannej osobie zupełnie bezinteresownie zrobić duże kuku.

Zamknęłam laptopa i poczułam się strasznie głodna. „Może skoczę do Julki - pomyślałam. Zobaczę, jak jej idzie w tej jej wymarzonej księgarni i wyciągnę ją na jakiś lunch”.

Julka uwijała się wśród książek. Pochłonięta pracą, w ogóle nie zauważyła, jak weszłam.

- Dzień dobry pani! - starałam się przyciągnąć jej uwagę.
- Jak idzie biznes?

- A cześć, Lenka! - ucieszyła się. - O tej porze ruch jest mały. Ale ogólnie nie narzekam. Napijesz się kawki?

Julka posłuchała moich rad przy urządzaniu księgarni i stworzyła pełne ciepła, nastrojowe wnętrze. Aż chciało się sięgnąć po książkę i zanurzyć w dużym miękkim fotelu, który stał w rogu pomiędzy drewnianymi regałami.

- A ja myślałam, że pójdziemy razem coś zjeść - powiedziałam z nadzieją w głosie.

- A właściwie to też zgłodniałam. Chętnie. Chodźmy tu obok na pierogi. Mają pyszne ruskie. Tylko pójdę na zaplecze i powiem Kaśce co i jak. Mam pracownika - powiedziała z dumą i zniknęła za kotarką.

I już za chwilę siedziałyśmy nad solidnymi porcjami pierogów okraszonych skwarkami i śmietanką.

- Jakie one piękne - rozczuliła się Julka.

- Ty nie podziwiał, tylko jedz - powiedziałam z pełnymi ustami. - Ale faktycznie pierogi są zrobione po prostu

artystycznie - dodałam, gdy przełknęłam. - Ten kucharz ma talent, i to nie tylko kulinarny. Mógłby wziąć się za jakąś rzeźbę czy coś w tym guście - zażartowałam.

- On maluje - całkiem poważnie powiedziała Julka, wskazując na małe obrazki na ścianach.

- No co ty? To bieda tak przycisnęła malarzy, że dorabiają, lepiać pierogi? - zdziwiłam się. - A skąd ty to wiesz? - uśmiechnęłam się, grożąc jej palcem. - Przystojny?

- Był u mnie w księgarni, przeglądał albumy z malarstwem i tak pogadaliśmy sobie chwilę.

- On sam to malował? - upewniałam się, patrząc na martwą naturę wiszącą nad naszym stolikiem. - Niezłe nawet.

- Mnie też się wydaje, że chłopak ma talent. Ale on mówi, że to tylko hobby, i nie wierzy, żeby malarstwem mógł zarobić na chleb. Nie skończył żadnej akademii, tylko technikum gastronomiczne. Skromny bardzo i pracowity. Wspiera finansowo mamę na rencie.

- Jak ma talent, to się wybije - stwierdziłam z nie wiem skąd zaczerpniętym przekonaniem. - A jak twoja książka?

- Coś zaczęłam skrobać - uśmiechnęła się tajemniczo.

- Dasz przeczytać?

- Jak skończę.

- Dopiero jak skończysz? Umrę z ciekawości do tego czasu. Pokaż chociaż próbkę - zebrałam.

- Nie - Julka była stanowcza. - Spakowana na wyjazd? - sprytnie zmieniła temat.

- Tak mniej więcej. Wiesz co - natchnęło mnie - jutro przyjeżdża Wiktor, chyba przed jego przyjazdem przyskoczę tu po te pierogi. Kuchni w moim wydaniu jego francuskie podniebienie może nie zdzierżyć. A takich ruskich w żadnym hotelu nie dostanie.

- No, dobra myśl - pochwaliła Julka. - Na pewno je doceni. W końcu jest specjalistą od sztuki - zaśmiała się radośnie.

„Może nie tylko pierogi doceni” - pomyślałam, bo w głowie zaświtała mi pewna myśl.

Po powrocie do domu zaczęłam drugi raz przeglądać rzeczy na wyjazd. Było ich stanowczo za dużo. „Trzeba dokonać cięć - pomyślałam. Jadę tylko na tydzień, a nie na miesiąc”.

W końcu po dobrze wykonanej robocie (wszystkie rzeczy po sprasowaniu pięciotomową encyklopedią języka polskiego ze szkolnych lat i przygnieceniu kolanem, zmieściły się w jednej walizce] położyłam się do łóżka. Ale sen nie nadchodził. Nachodziły mnie za to różne niepokojące myśli. Co będzie, gdy Chojnickiego wypuszczą na wolność, bo w końcu go przecież wypuszczą? Czy podleczą go na tyle, żeby dał mi spokój i czy to w ogóle jest możliwe? Obawiałam się, że jednak będę musiała udać się na policję, chociaż Marek mi to odradzał. Z drugiej strony nie chciałam przysporzyć mu kłopotów. Polubiłam go. Marek przedstawił Chojnickiego w taki sposób, że nie wiedziałam, czy jest mordercą czy bardzo nieszczęśliwym człowiekiem. Jedno było pewne: miał bardzo poważne kłopoty z psychiką.

Leżałam i nie umiałam się wyciszyć. W końcu zażyłam środki nasenne i już za chwilę poczułam, że podążam w objęcia Morfeusza.

Spałam jak zabita prawie do południa. Śniły mi się jakieś koszmary. Na szczęście była to druga noc na nowym miejscu. Zwlokłam się z łóżka i udałam do łazienki. „Ojoj! Dzisiaj przyjeżdża Wiktor, a ja wyglądam jak obraz nędzy i rozpaczy - pokręciłam głową z dezaprobatą na swój widok w lustrze. Muszę natychmiast zastosować środki zaradcze. Fryzjer,

kosmetyczka! Że też wcześniej o tym nie pomyślałam" - dziwiłam się swojemu roztargnieniu.

Ubrałam się w popłochu, w co mi wpadło pod rękę i pognałam do zaprzyjaźnionego salonu piękności.

- Pani Helenko - wołałam już od progu do kierowniczkii salonu. - Ratunku! Proszę mnie reanimować, bo wyglądam jak zombi.

- A dzień dobry, pani Leno! Niech pani nie przesadza. Zrobimy włoski, makijaż, paznokcie i będzie pani jak ta lala - zapewniła.

Trochę uspokojona usiadłam na fotel. Podszedł do mnie jakiś tleniony blondyn w stroju firmowym i zaczął gmerać w moich włosach. Znowu się zaniepokoiłam.

- A gdzie jest pani Marysia? - spytałam żałośnie.

- Pani Marysia już tu nie pracuje - powiedział egzaltowanym, urażonym głosem. - Co robimy? Rozjaśniamy, tniemy, tapirujemy? - krytycznym spojrzeniem obrzucił mój rozciągnięty sweter, który nałożyłam w pośpiechu w dodatku na lewą stronę.

- Nie! - krzyknęłam, aż przyleciała pani Helenka.

- Co się stało, pani Leno? Proszę się nie obawiać. Tomek jest wysokiej klasy specjalistą. Wszystkie klientki są nim po prostu zachwycone.

- Nie wątpię. Ale ja nie chcę robić się na marną imitację Marylin Monroe. Wystarczy zwykłe podcięcie i wymodelowanie na gładko. Jak zwykle robiła pani Marysia.

- Rozumiem - Tomek był już obrażony na całego. Siedziałam na fotelu i podejrzliwie śledziłam każdy ruch

fryzjera. „Teraz się na mnie zemści i ciachnie mnie tuż przy uchu. No, ucha mnie chyba nie pozbawi?" - myślałam przerażona, widząc, jak szaleje z nożyczkami.

- Ładna pogoda dzisiaj, prawda? - powiedziałam przyjaźnie, próbując go jakoś udobruchać.

- Ja tam wolę, jak pada - odburknął.

Na szczęście za chwilę odłożył metalowe narzędzie zbrodni i zabrał się za wielką, okrągłą szczotę i suszarkę. „Teraz co najwyżej mnie przypiecze” - kalkulowałam. A fryzjer znowu zaczął tańczyć wokół mojej głowy. Robił jakieś dziwne wygibasy i pozy. Wydymał usta. Istny teatr. „Nie wiedziałam, że fryzjerstwo wymaga takiego przygotowania aktorskiego” - pomyślałam. Ale po skończonej pracy musiałam przyznać, że osiągnął naprawdę niezły efekt. Włosy lśniły i miękko spływały na ramiona, lekko falując.

- Dziękuję bardzo - powiedziałam lekko zawstydzona swoimi obawami.

Wcisnęłam mu napiwek i uciekłam do gabinetu kosmetyczki. Tu na szczęście królowała ta sama, co zawsze, pani Irenka. Energiczna i konkretna pani po pięćdziesiątce.

- Jak miło panią widzieć - ucieszyłam się na jej widok. - Ale co się stało z Marysią? - spytałam, siadając na fotel kosmetyczny.

- Aa, Marysia - uśmiechnęła się. - Wyszła za męża i wyjechała. Mieszka ze swoim nowym mężem i dzieckiem w Niemczech. W końcu szczęśliwa. Przysłała nawet zdjęcia. Rodzinka jak z obrazka.

- To wspaniale. Ale trochę jestem zaskoczona. Tak się zarzekała, że już w życiu nie zwiąże się z żadnym mężczyzną.

- No tak, przeszła swoje. Przecież ten jej poprzedni facet, jak tylko dowiedział się, że dziecko urodziło się chore, czmychnął jak spłoszony zając. A Marysia, sama pani wie, pani Leno, dumna taka, nawet o alimenty nie zabiegała. Sama ciągnęła wszystko. A leki dla małego kosztowały majątek.

- Dobrze, że teraz ma wsparcie. Taka fajna dziewczyna zasługuje na szczęście.

- Długo za nią chodził, aż wychodził. Nawet tu pojawiał się od czasu do czasu. Starszy od niej, ale elegancki, miły.

Wdowiec, bezdzietny. Dostał pracę w Niemczech i chciał się szybko żenić, żeby nie wyjeżdżał bez niej.

- Ale to wszystko musiało działać się błyskawicznie. Przecież jeszcze miesiąc temu z nią rozmawiałam i nie wspominała słowem, że wychodzi za mąż.

- Faktycznie, zdecydowała się prawie z dnia na dzień. Poszła do wróżki i dowiedziała się, że właśnie on jest jej pisany. I tyle.

Spojrzałam na nią jak na UFO.

- Poszła do wróżki radzić się, czy ma wyjść za niego za mąż? - upewniałam się. - I poślubiła go, bo wróżka tak jej zasugerowała?

Pani Irenka przerwała malowanie moich paznokci i teraz ona patrzyła na mnie skonsternowana.

- No tak, w sumie to ludzie pobierają się z bardziej błahych powodów - dodałam szybko, widząc, jak z pędzelka kapie jej lakier.

- A pani w ogóle nie chodzi do wróżki? - spytała trochę zaczepnie.

- Jak do tej pory, to nie - wyznałam zawstydzona, jakbym właśnie przyznała się, że w życiu nie byłam u dentysty.

- A mówię pani, że warto. Ja mam zamiar do prawdziwej wróżki. Jak ona pani przepowie, to na sto procent się spełni. Mogę pani dać numer. Umówi się pani i będzie pani wiedziała co i jak, bo widzę, że jakaś pani taka rozchwiana strasznie.

Nie wierzyłam własnym uszom, pani Irenka, która zawsze wydawała mi się taką racjonalną osobą, wierzy w jakieś czary - - mary.

- Robimy masaż twarzy? Maseczkę? - zapytała.

- Tylko szybki makijaż, bo nie mam już czasu - powiedziałam, patrząc na zegarek.

Zadowolona z efektu, poszłam do recepcji uregulować rachunek. Byłam już za drzwiami, gdy usłyszałam wołanie kosmetyczki.

- Pani Leno! Proszę poczekać. To numer do tej wróżki - włożyła mi zapisany skrawek papieru do kieszeni płaszcza. - Tylko niech pani nie zwleka. Trzeba trzymać rękę na pulsie.

- Tak jest, pani Irenko, będę trzymać - zapewniłam po żołniersku, nie mając zielonego pojęcia, o co jej chodzi. „Co oni wszyscy o tym pulsie?” - pomyślałam, przypominając sobie słowa Marka.

Wsiadłam do samochodu i wróciłam do domu. Zaczęłam szukać czegoś sensownego do ubrania i po przejrzeniu wszystkich szmatek w końcu znalazłam. Obejrzałam się w lustrze. - Jest OK - zamruczałam i uśmiechnęłam się do swojego odbicia. Podobno, tak twierdzą różni mądrzy psychologowie, trzeba obdarzać uśmiechem również siebie. To poprawia humor i wzmacnia poczucie własnej wartości. Jeszcze bardziej wyszczerzyłam zęby.

W pierogarni był spory ruch. Złożyłam zamówienie na wynos i ruszyłam na obchód wszystkich obrazów wiszących na ścianach. Chodziłam od ściany do ściany i bacznie przyglądałam się dziełom kucharza. Najbardziej spodobał mi się abstrakcyjny obraz w ciepłej tonacji pomarańczy, złamanych czerwieni, żółci i różnych odcieni fioletu. Emanował ciepłem i przykuwał uwagę ciekawą kompozycją barwnych plam. Widziałam w nim zachód słońca nad cudownym fioletowym morzem. Wróciłam do lady.

- Proszę pana, mam nietypową prośbę - zaczęłam. - Czy pan jest właścicielem tych obrazów na ścianach?

- A dlaczego pani pyta? - mężczyzna w białym fartuchu patrzył na mnie zaciekawiony.

- Chciałabym kupić tamten obraz - powiedziałam, uśmiechając się promiennie.

- Janek! Chodź no tu! Klientka do ciebie - zawołał w kierunku kuchni i jakby nigdy nic zaczął obsługiwać kolejną osobę.

Z zaplecza wyłonił się drobny, niepozorny, młody chłopak w wysokiej białej czapie kucharza. Popatrzył na mnie wyczekująco.

- Proszę pana - zaczęłam jeszcze raz. - Chciałabym kupić tamten obraz. Jaka jest pańska cena?

- No wie pani, płótno kosztuje, farba też... Trzysta - wydukał.

- Daję pięćset dla równego rachunku i proszę zapakować. Tylko nie razem z pierogami - zażartowałam.

Młody malarz uśmiechał się zadowolony, gdy wręczałam mu pieniądze.

- Panie Janku, a może mi pan dać jakiś namiar do siebie?
- konfidencjonalnie szepnęłam mu do ucha, zaraz uświadamiając sobie, że mogę zostać źle zrozumiana.

Popatrzył na mnie zdziwiony i spłonął rumieńcem.

- To znaczy chciałabym kontakt do pana, na wypadek gdybym chciała obejrzeć inne pana dzieła - jąkałam się.

Na chwilę zniknął na zapleczu.

- Proszę, to numer mojej komórki - powiedział, wręczając mi świstek papieru, który pośpiesznie schowałam do kieszeni.

Wyszłam z pudłem pierogów i obrazem pod pachą i udałam się do księgarni Julki.

Akurat obsługiwała klienta. Więc na chwilę, nie wypuszczając niczego z rąk, zanurzyłam się w wielkim fotelu stojącym niedaleko lady.

- Cześć, Lenka! - przywitała mnie radośnie. - Ale jesteś objuczona.

- No hej, właśnie przyszedłam ci powiedzieć, że kupiłam pierogi i obraz.

- Coś dla ciała i ducha - zaśmiała się. - A który wybrałaś?

- Tę kolorową abstrakcję - odpowiedziałam zadowolona.
- Też mi się podobała.
- Już za późno. Jest moja - zaśmiałam się.
- Jak go ładnie poproszę, to namaluje mi podobną -
zapewniła Julka.

- Julka, nie mać chłopakowi w głowie - pogroziłam jej
palcem. - Muszę lecieć do domu z tymi pierogami. Załaduję je
do lodówki i pędzę na lotnisko. Przyszłam tylko na sekundę.
Latam dzisiaj jak szalona.

- No zauważyłam, fryzura i paznokcie świeżo z salonu.
Już widzę, jak Wiktor pada na twój widok.

- Mój fryzjer byłby zadowolony. Lubi, jak pada -
przypomniała mi się jego naburmuszona mina i wybuchnęłam
trochę nerwowym śmiechem.

Julka, niewtajemniczona w sprawę, uśmiechała się
pobłaźliwie.

- Nie stresuj się tak, Lenka. Będzie dobrze - zapewniała,
gładząc mnie po ręce. - Jesteś wspaniałą kobietą i Wiktor
dobrze o tym wie. Dlatego tak zabiega o ciebie.

- No to lecę - poderwałam się z fotela. To znaczy
usiłowałam się poderwać, ale kurczowo trzymane zakupy
skutecznie ściągnęły moje siedzenie z powrotem na siedzenie.

- Nie wiem, co z tego będzie. Jestem trochę przerażona -
wyznałam załamana. - Nie wiem, jak zniosę kolejną porażkę.

Oszukuję sama siebie, że teraz będę myśleć o sobie i
swoim szczęściu. Ale ja tak nie umiem. Jak kocham, to na
maksę. Chyba za wcześnie się zaangażowałam. Dzisiaj u
kosmetyczki dowiedziałam się, że w razie wątpliwości
uczuciowych należy bez wahania uderzyć do wróżki -
trajkotałam jak nakręcona.

- Może i to nie jest taki zły pomysł. Dobra wróżka jest jak
psycholog - uśmiechnęła się Julka... „Do swoich wspomnień?
Nie - pomyślałam - ja w ogóle nie znam moich przyjaciółek.

Kogo ja w ogóle znam? Piotra, Grubcia, Marka? Nawet moja mama mnie nieustannie zaskakuje. W takim razie w najmniejszym stopniu znam Wiktora" - myślałam zagubiona.

- Daj mi ten obraz. Pomogę ci wstać - powiedziała Julka, wyciągając pomocną dłoń. - Jedź już, bo się spóźnisz. I nie martw się za dużo na zapas. Nikt nie da nam gwarancji, że nasz związek przetrwa. Ale mimo to trzeba próbować. Sama wiesz, że życie bez miłości jest puste. Już lepiej zaznać cierpienie po jej stracie, niż wcale jej nie zaznać - uściskała mnie na pożegnanie.

„Tak, zamierzałam być twardzielką i dyktować Wiktorowi warunki, a chyba już się zatraciłam i będę tańczyć, jak mi zagra" - myślałam, czekając na niego w sali przylotów. - Już po mnie - zamruczałam do siebie, gdy go zobaczyłam. Szedł pewnym krokiem, ubrany jak z żurnala. Uśmiechnął się szeroko na mój widok. Nogi miałam jak z waty, a serce biło mi jak szalone. - Kobieta prawie czterdziestoletnia, a reakcja jak u podlotka - strofowałam pod nosem sama siebie.

- Kochanie - Wiktor już porwał mnie w ramiona. - Nie mogłam się doczekać tej chwili.

Nie zważając na ludzi dookoła, zaczął mnie namiętnie całować. A ja... nie zostałam mu dłużna. Świat wirował. Czułam się wspaniale. Tysiące endorfin zatańczyło w mojej głowie.

- Chodźmy - szepnęłam mu w końcu do ucha. - Zapraszam cię do mnie.

Zapakowaliśmy się do auta. Teraz ja byłam kierowcą Wiktora. Trzęsącymi się rękami odpaliłam samochód. Wiktor namiętym wzrokiem błędził po moim ciele, a ja zupełnie nie mogłam skupić się na drodze.

- Proszę, nie patrz tak na mnie, bo nie dojedziemy - ostrzegałam.

- Nie mogę się powstrzymać. Wyglądasz zjawiskowo. Teraz zaczął gładzić moje uda. Poczulałam przyjemny dreszcz.

- No nie, Wiktor, ja zaraz spowoduję wypadek - w ostatniej chwili zauważyłam czerwone światło i zahamowałam z piskiem opon.

Spojrzałam na niego z wyrzutem i już chciałam go zbesztać, ale on przywarł ustami do moich ust i złożył na nich płomienny pocałunek. Znaleźliśmy się nagle na pełnej kwiatów łące. Pachniała trawa. Promienie słońca rozgrzewały nasze ciała. Coś... trąbiło?

Światło zmieniło się na zielone, a ja wciąż stałam. Zniecierpliwieni kierowcy energicznie naciskali klaksony. Ruszyłam, posyłając im przeproszający uśmiech. Wiktor nadal patrzył. Sama nie wiem, jak w końcu dotarliśmy pod mój dom.

- Jesteś głodny? - spytałam, gdy weszliśmy do mieszkania. - Mam coś dobrego.

- Jestem bardzo głodny, kochanie - powiedział i znowu zaczął mnie całować. - Ciebie. Nawet nie wiesz, jak się za tobą stęskniłem - szeptał namiętnie, niecierpliwie zrywając ze mnie ubranie.

- Ja też tęskniłam - wyznałam drżącym głosem, mocując się z paskiem u jego spodni.

I już za chwilę nadzy wylądowaliśmy na kanapie, chłonąc siebie nawzajem, pośpiesznie i gwałtownie.

- Uwielbiam cię - uśmiechnął się do mnie, gdy leżeliśmy wyczerpani, przytuleni mocno do siebie. - Smakujesz jak truskawki z bitą śmietaną.

- Właśnie, muszę cię nakarmić - przypomniałam sobie. - Zaczęliśmy nietypowo od deseru. Teraz będzie danie główne.

- Dobrze, za chwilę, poleż tu jeszcze ze mną - poprosił, otulając nas narzutą.

Gdy się ocknęłam, była pierwsza w nocy. Wstałam, starając się go nie obudzić, co nie do końca mi się udało.

- Gdzie idziesz? - spytał rozespany.

- Nie wiem jak ty, ale ja jestem głodna. Idę coś upichcić.
Zaraz wracam - mrugnęłam do Wiktora.

Włożyłam swój kusy, seksowny, czerwony szlafroczek, kupiony specjalnie na tę okazję, i poszłam grzać pierogi. Kuchnia była ze trzy kroki od kanapy, więc Wiktor miał z pewnością niezły widok, gdy uwijałam się wkoło kuchenki. „Żeby tylko nie popsuć tych pierogów” - myślałam, przejęta rolą gospodyni. - Jeszcze śmietanka - mruczałam do siebie.

- Proszę - postawiłam na stole dwa talerze z gorącymi, pachnącymi pierogami.

- Jakie piękne nogi, to znaczy pierogi - powiedział Wiktor, siadając do stołu. - A mówiłaś, że nie umiesz gotować.

- To nie moje dzieło, tylko dobrze zapowiadającego się młodego malarza - kucharza Janka.

Spojrzał na mnie trochę rozbawiony.

- To teraz w Polsce artyści zajmują się kucharzeniem?

- Oto jeden z jego obrazów - powiedziałam, kładąc go przed Wiktorem.

- Pierogi przepyszne, obraz też niezły.

- Myślisz, że chłopak ma talent? - dalej drażyłam temat.

- Chętnie zobaczyłbym więcej jego obrazów.

- Po powrocie z Teneryfy coś zorganizuję, jeśli będziesz miał czas i będziesz tak miły, żeby go jemu poświęcić...

- Dla ciebie wszystko, kochanie - przygarnął mnie do siebie. - Ale teraz mam wielką ochotę na tę truskaweczkę - zaczął rozplątywać pasek mojego szlafroka.

Tej nocy nie mieliśmy za wiele czasu na sen.

Pięć po jedenastej już siedzieliśmy na tylnej kanapie w samochodzie Leszka Bawickiego. Ku mojemu niebotycznemu zdziwieniu Klaudunia nie była długonogą blond seksbombą w

wieku jego córek. Klaudunia okazała się pełną energii i uroku... panią w wieku Leszka, a może nawet ciut starszą.

- To moja żona Klaudia - przedstawił nam ją Leszek. - Doktor psychologii. Tak więc miejcie się na baczności - mówił z dumą zanim wsiedliśmy do samochodu.

Na usta cisnęło mi się pytanie: a co stało się z Mirką? Ale zamiast je zadać, dokonałam prezentacji Wiktora.

- No, no, ale masz asystę. Historyk sztuki - gwizdnął z uznaniem Leszek - i to prosto z Paryża.

Samochód ruszył. Wiktor przysunął się blisko.

- Dlaczego im nie powiedziałaś, że jesteśmy parą - szeptał mi do ucha z drobną pretensją w głosie.

- A jesteśmy? - droczyłam się z nim po cichu.

- Co tak tam szepczecie, gołąbki? - zagadnął rozbawiony Leszek, który zawsze był bardzo bezpośredni.

- No widzisz, Leszek już sam zdążył się zorientować - uśmiechnęłam się do Wiktora.

- Pewnie jesteś zdziwiona, że latam samolotami - zagadnął znowu Leszek, spoglądając na mnie przez wsteczne lusterko.

- O tak, bardzo - odpowiedziałam. „Chociaż nie tylko tym” - dodałam w myślach.

- No więc, zawdzięczam to mojej żonie - odpowiedział zadowolony. - Klaudia wyleczyła mnie z awiofobii hipnozą. Jest niezrównana w tym, co robi. Jeśli macie jakieś problemy z główką, polecam.

- A coś sugerujesz? - zaśmiałam się.

- Leszek wszystkim to powtarza, nie przejmujcie się - powiedziała wesoło Klaudia. - Odkąd przełamał strach przed lataniem, wstąpiła w niego jakaś nowa energia i chce na siłę zarażać nią innych.

- Mówię wam, niesamowite uczucie. Jakby ktoś zdjął mi jakiś zajebisty ciężar z pleców. Teraz latam jak szalony.

Muszę nadrobić stracony czas. Dopiero co wróciliśmy z Klaudunia z Seszeli. Mówię wam bajka.

I tak Leszek przez całą drogę do lotniska zabawiał nas fascynującą opowieścią o rajskich wyspach na Oceanie Indyjskim, gdzie zawsze jest ciepło, a widoki zapierają dech w piersiach.

W samolocie siedziałam obok Wiktora, Klaudia z Leszkiem kilka rzędów przed nami.

- Jakie wrażenie po poznaniu moich klientów? - spytałam z uśmiechem.

- Fajni ludzie, tacy bezpośredni. Ale z tą hipnozą to niesamowita historia. Ciekawe, czy w czasie hipnozy można zaszcześcić komuś miłość? - mówił rozbawiony, patrząc na mnie znacząco.

- Wiem, co masz na myśli. I dziwię się, że ty zadajesz to pytanie - powiedziałam zaczepnie. - Niegdyś naczelną hipnotyzerką płci damskiej na uczelni. Wystarczy, że spojrzales jakiegś głęboko w oczy i już była twoja.

- Ale nie ty - zauważył. - Zresztą, proszę, nie przypominaj mi tego niechlubnego rozdziału mego życia. Teraz jestem innym człowiekiem. Najszczęśliwszym na ziemi - zapewniał. - I zrobię wszystko, żebyś ty też była szczęśliwa - powiedział i pocałował mnie prosto w usta.

- Dokładnie po to cię ze sobą zabieram - żartowałam. - Tylko pamiętaj, że masz uszczęśliwiać tylko mnie - ze śmiechem pogroziłam mu palcem.

- Lenka, nie przeceniaj mnie, mam swoje lata, nie byłbym nawet w stanie działać na dwa fronty - szeptał rozbawiony. - Teraz, kiedy mam ciebie, czuję się spełniony na tysiąc procent - dokończył poważnym tonem.

- Jak podróż? - usłyszeliśmy nagle głos Leszka. - Dobrze się czujecie? Żadnych nerwów? - pytał żartobliwie. - Patrzcie na mnie. Oaza spokoju. I to bez żadnych wspomagaczy.

- No, naprawdę jestem pod wrażeniem - zapewniłam. -
Twoja żona jest cudotwórczynią.

- To prawda. Wracam do niej. Do zobaczenia po
wylądowaniu! - powiedział i już go nie było.

- Widzisz, miłość może przetrwać długie lata. Klaudia i
Leszek są tego najlepszym przykładem - powiedział Wiktor.

- Pudło, mój drogi. To jego druga żona. A na dodatek nie
wiem, co się stało z pierwszą. Mam nadzieję, że żyje i ma się
dobrze.

- Myślisz, że Klaudia w czasie hipnozy zaprogramowała
go na morderstwo? - szeptał jak odkrywca spisku.

Stewardesy zaczęły podawać napoje. Wzięliśmy sobie po
szklaneczce piwa.

- Wiesz - mówiłam, popijając - czuję się, jakbym jechała
na wakacje. Totalny relaks.

- A nie jedziesz? - żartował Wiktor. - Nie martw się,
pomogę ci przy projekcie. Uwiniemy się raz - dwa, a potem
będziemy korzystać z życia - Wiktor zrobił szelmowską minę.

- Tym też się zajmujesz? - uśmiechnęłam się. - Ale mi się
trafiło. Historyk sztuki, pisarz, projektant wnętrz i - zbliżyłam
usta do jego ucha - znakomity kochanek.

Wiktor uśmiechnął się promiennie. Lecieliśmy nad
puchowym dywanem, utkanym ze śnieżnobiałych chmur. A
nad nami świeciło słońce.

Rozdział 4

Teneryfa przywitała nas purpurą zachodzącego słońca. Nie mogłam nasycić oczu widokiem połyskującego, różowego oceanu. Gdy dojechaliśmy do miejscowości Playa de Las Americas, było już prawie ciemno, ale wkoło życie toczyło się na całego. Ze wszystkich barów rozbrzmiewała muzyka. Promenadą spacerowali ludzie. Całe miasto było oświetlone. Wszędzie panowała typowo wakacyjna atmosfera.

- I jak wam się podoba? - zagadnął Leszek, wskazując okazały hotel, pod którym zaparkował nasz samochód.

- Tu będziemy mieszkać?! - wykrzyknęłam pełna entuzjazmu. - Jak dla mnie, bomba!

Udaliśmy się do recepcji, która wyglądała jak wnętrze jakiegoś pałacu.

- Dla was pokój z łóżem małżeńskim? Dobrze rozszyfrowałem? - zapytał zadowolony z siebie Leszek.

- Bardzo dobrze. W końcu to moja przyszła żona - odpowiedział całkiem poważnie Wiktor, łapiąc mnie za rękę i patrząc głęboko w moje szeroko otwarte ze zdumienia oczy.

- No to gratulacje! - wykrzyknął Leszek. - To biorę wam apartament dla nowożeńców - zdecydował. - Dobrze, że pogoniłaś tego palanta. Jak mu było? Patryk? Nie do życia człowiek - powiedział i poklepał mnie po ramieniu.

- No może nie końca tak było, ale nie mówmy już o tym - powiedziałam do Leszka.

- A z tobą to ja sobie jeszcze porozmawiam - zasyczałam do ucha Wiktora i promiennie uśmiechnęłam się do Klaudii. - Jest super - zapewniłam ją. - W życiu nie byłam w tak luksusowym hotelu.

Bagażowy wziął nasze walizki i udaliśmy się do pokojów. Naprawdę dostaliśmy apartament dla nowożeńców. W sypialni stało ogromne łóżko wodne, a w łazience piękna okrągła szklana wanna, otoczona wianuszkami świec. Z

apartamentu można było wyjść wprost na ukwiecony taras z podświetlonym jacuzzi.

- O czym chciałaś ze mną rozmawiać? - Wiktor pociągnął mnie na łóżko, które zafalowało pod naszym ciężarem.

- Dlaczego rozgłaszasz na prawo i lewo, że będę twoją żoną? - zapytałam z pretensją. - Dlaczego robisz sobie z tego tematu żarty?

- Ależ to nie są żarty. Ja czekałem na ciebie prawie dwadzieścia lat. Chciałbym podzielić się swoim szczęściem z całym światem - mówił rozentuzjasmowany. - Nie ma w tym ani grama fałszu.

- Ale chyba powinieneś najpierw mnie spytać o zdanie. Skąd w ogóle pewność, że się zgo... - Wiktor zamknął mi usta pocałunkiem. I w tym momencie usłyszeliśmy pukanie do drzwi, a zaraz potem do pokoju wparowali Leszek z Klaudią.

- O, przepraszamy - powiedziała Klaudia - nie chcieliśmy przeszkadzać, ale kolacja czeka.

- Wejdźcie, proszę - powiedziałam, zrywając się gwałtownie z łóżka. - Oprowadzę was po głównych atrakcjach tego miejsca. Jak widzicie, w sypialni gwoździem programu jest łóżko wodne. Jeszcze na takim nie spałam.

- Oo, my tak - zapewnił uśmiechnięty Leszek. - Trzeba tylko uważać, żeby nie dostać choroby morskiej.

- Ale spójrzcie na tę łazienkę - powiedziałam.

- Piękna. Czekają was tu same romantyczne chwile - uśmiechnęła się Klaudia.

- No i na koniec najlepsze. Taras z jacuzzi - włączył się Wiktor.

- Muszę was lekko zmartwić, ale też mamy taki taras - pochwalił się Leszek. - A teraz już chodźcie, bo nie wiem jak wy, ale ja zgłodniałem.

Na kolację zajadaliśmy się owocami morza i pieczoną doradą. Podziwiałam wystrój restauracji, gdy nagle moje

spojrzenie napotkało na piękne, niebieskie oczy uroczej młodej blondynki, siedzącej samotnie przy sąsiednim stoliku, utkwione w... Wiktorze. On zdawał się jej nie zauważać. Ona pożerała go wzrokiem niczym Leszek swoją doradę.

- Wiktor, czy ty znasz tę panią? - szepnęłam mu do ucha.

- Którą, kotku? - spytał i podążył za moim wzrokiem. - A tę. Niestety chyba tak - odpowiedział nieco zmieszany i przywitał się z nią lekkim skinieniem głowy.

Ona uśmiechnęła się szeroko i już była przy naszym stoliku.

- Wiktorku, to ty? Nie wierzyłam własnym oczom. Dzień dobry państwu! - zwróciła się do nas. - Wiktor, nie przedstawisz nas sobie?

- A tak - zaczął niechętnie. - To moi przyjaciele - wskazał na nas. - A to moja dawna znajoma Milena.

- Nie taka znowu dawna - uśmiechnęła się znacząco. - I chyba coś więcej niż znajoma. Ja też jestem tu z przyjaciółmi. Czekają na mnie w barze, więc muszę lecieć. Do zobaczenia, kochanie - powiedziała i odwróciła się na pięcie. W mini ledwo zakrywającym kształtne pośladki i szpilkach podkreślających długie, zgrabne nogi kroczyła wolno, seksownie kołysząc biodrami. Bardzo świadoma wrażenia, jakie robi na mężczyznach.

- No, no, Wiktor - chrząknął z uznaniem Leszek. Ale zaraz wykrzywił się z bólu, poczęstowany przez Klaudię kopniakiem pod stołem.

Spojrzałam na Wiktora. „Przecież ja go wcale nie znam - pomyślałam. A dzielę z nim łóżko małżeńskie, i to w dodatku wodne, w apartamencie dla nowożeńców. Chyba oszalałam”.

- Lenka - zaczął Wiktor. - Wszystko ci wytłumaczę. Nie denerwuj się.

- A czy ja w ogóle wyglądam na zdenerwowaną? - powiedziałam drżącym głosem i wypięłam duszkiem duży kieliszek wina, swój i za chwilę Wiktora.

- Wybaczcie - Wiktor zwrócił się do Klaudii i Leszka - ale musimy was na chwilę opuścić i porozmawiać - uśmiechnął się przepraszająco i pociągnął mnie za rękę.

Wylądowaliśmy w naszym pokoju.

- Kochanie - zaczął - to stara sprawa. Przecież powiedziałem ci wszystko jak na spowiedzi. Miałem w życiu kilka kobiet. Ale teraz liczysz się tylko ty. Tak właściwie to zawsze liczyłaś się tylko ty. Dla mnie to spotkanie w restauracji też nie było miłe. Ale nie mogłem udawać, że jej nie pamiętam, chociaż wolałbym, żeby ten romans nigdy się nie wydarzył.

- Romans? No nieźle. Dlaczego z nią zerwałeś? Niezła sztuka. Czego jej brakowało? - pastwiłam się nad nim, wstydząc się sama przed sobą za tę bezsensowną, trochę prymitywną zazdrość.

- Nie była tobą - odpowiedział z całą powagą i tym mnie zupełnie rozbroił.

- Wiktor, muszę cię ostrzec - mówiłam nieco załamana. - Nie będziesz miał ze mną łatwo. Jestem kobietą po przejściach. Zostałam porzucona przez człowieka, którego naprawdę kochałam. Rozumiesz chyba, że jestem nieufna i długo taka będę, może zawsze.

- Tak, Lenka, doskonale to rozumiem. Domyślam się, przez co przeszłaś. A może chcesz mi o tym opowiedzieć? - zaproponował cicho.

- Nie - pokręciłam głową - nie chcę tego drugi raz przeżywać.

Przygarnął mnie do siebie.

- Już ja się postaram, żebyś o nim szybko zapomniała.

Kiedy się obudziłam, za oknem świeciło słońce. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła dziesiąta. - No nieźle - zamruczałam do siebie. „Ciekawe, jakie plany ma Leszek?” - myślałam. Wczoraj uciekliśmy z kolacji i nie zdążyłam się z nim umówić. Trzeba wstawać. W końcu przyjechałam tu do pracy. W popłochu poleciałam do łazienki. Szybka toaleta, drobny makijaż. Wróciłam do pokoju. Złapałam za szczotkę i zaczęłam doprowadzać do ładu zmierzwiłone włosy. Równocześnie gmerałam w nierozpakowanej jeszcze walizce w poszukiwaniu czegoś do ubrania.

- Co tak się miotasz, kochanie? - usłyszałam nagle rozweselony głos Wiktora.

Drgnęłam na ten dźwięk. Matko, z głowy mi wypadło, że mieszkam z Wiktorem.

- Czyżbyś o mnie zapomniała? Po takiej nocy? - droczył się ze mną.

- Wstawaj, śpiochu. Musimy namierzyć Klaudię i Leszka - komenderowałam.

- Już się robi - Wiktor pomaszerował do łazienki. Zadzwoił hotelowy telefon. „Oho, Leszek namierzył nas” - pomyślałam.

- No, hej, Leszku, za pięć minut będziemy na śniadaniu - powiedziałam od niechcienia do słuchawki.

- Jaki znowu Leszku? - usłyszałam damski głos. - Tu Milena. Czy mogę rozmawiać z Wiktorem?

- Nie, nie możesz, bo właśnie bierze prysznic po cholernie upojnym seksie ze mną - palnęłam do słuchawki i zaraz się rozłączyłam.

- Leszek dzwonił? - Wiktor wynurzył się z łazienki. - Pewnie już na nas czekają?

- To nie był Leszek. Tylko Milena - odpowiedziałam lodowatym tonem.

- Chyba będę musiał z nią poważnie porozmawiać.

- Tak, pewnie tak - odburknęłam nieco poirytowana i wykręciłam numer do pokoju Leszka.

Niestety nikt nie odebrał.

- Może są już na śniadaniu. Chodźmy, poszukamy ich - zaproponował Wiktor.

I rzeczywiście siedzieli w restauracji i z apetytem konsumowali jajecznicę.

- O, jak miło was widzieć. Siadajcie z nami - ucieszył się Leszek, gdy nas zobaczył. - Jak łóżko? - mrugnął do Wiktora.

- Rewelacja - zapewnił Wiktor. - Chyba sobie takie sprawię.

- To co, jemy i jedziemy na budowę? - spytałam.

- Lena, daj spokój, dzisiaj niedziela. Zarządzam relaks - odpowiedział Leszek.

- Dzisiaj wybieramy się na wulkan El Teide. Pokażemy wam kawałek wyspy - odezwała się Klaudia. - Wszystko jest już zaplanowane. Musisz poznać charakter Teneryfy, żeby wpleść go w wystrój naszego domu - dodała, uśmiechając się do mnie.

- I to rozumiem - ucieszyłam się, że Klaudia tak podchodzi do tematu. - Kiedy wyruszamy? Zaraz po śniadaniu? - zapaliłam się i zaczęłam zamiatać widelcem ze zdwojoną siłą.

- Lena, wyluzuj. Jedz spokojnie, bo ci te jajca na żołądku staną - powiedział zatroskany Leszek, na co Wiktor ze śmiechu omal nie zadławił się kawą. - Po śniadaniu zarządzam leżakowanie na basenie, żeby się sadełko prawidłowo zawiązało - dodał i poklepał się po swoim okrągłym brzuchu.

- Ty już lepiej nic nie zawiązuj - śmiała się Klaudia. - No, chyba że chcesz wygrać casting na nowego Świętego Mikołaja.

Zgodnie z zarządzeniem przebraliśmy się w stroje kąpielowe i namaszczeni olejkami z filtrem, rozłożyliśmy

swoje blade ciała na leżakach przy basenie. Otaczała nas egzotyczna, bujna roślinność: dorodne, zielone palmy, różowe i białe oleandry, malinowe hibiskusy i amarantowe bugenwille. „Jak w raju” - pomyślałam, wygrzewając się na słoneczku. No, nie do końca. Dopiero teraz zauważyłam, że na leżaku nieopodal leży Milena. Właściwie to nie leży, tylko pręży się, usiłując zwrócić uwagę Wiktora. A może właśnie dokładnie jak w raju. Jest kobieta. Jest mężczyzna. I jest szatan - kusiciel.

- No, no, niezła sztuka - mówił roześmiany Leszek. Spojrzałam na Klaudię. Rozanielona nacierała plecy męża

kremem do opalania. Nie miałam pojęcia, jak ona wytrzymuje tę nierówną konkurencję? Jestem od niej sporo młodsza, a ledwo daję radę. Naprawdę można wpaść w depresję, patrząc na te wszystkie zgrabne i jędrne ciała młodych kobiet. A jest ich coraz więcej! Kolejne roczniki wychodzą na arenę i wszelkimi dostępnymi środkami, a kobiety dysponują całym arsenałem środków, i to o stuprocentowej skuteczności, walczą o płć męską. Bez skrupułów odbijają ustawionych w życiu starszych mężczyzn, zostawiając zgliszcza życia rodzinnego, a przynajmniej małżeńskiego. No, może czasami tylko zgliszcza w sercach, takich jak moje. Ale jednak zgliszcza.

- Kochanie, co za mina - usłyszałam głos Wiktora. - Nie marszcz tak czołka, bo opalisz się w paski.

- Wiktor, powiedz mi, a gdzie ty właściwie poznałeś tę panią - wskazałam Milenę.

- O matko, ona mnie śledzi czy jak? - zdenerwował się Wiktor.

- Wiesz co, najlepiej, jeśli oczywiście dasz radę - uśmiechnęłam się ironicznie - nie zwracaj na nią uwagi.

- Nie zamierzam - przytaknął, przyglądając mi się badawczo. - To moja była studentka. Polka w Paryżu. Trochę zagubiona.

- Potrzebowała opieki - odpowiedziałam, kiwając głową ze zrozumieniem. - Stara sztuczka. Wszyscy faceci się na to nabierają.

- Tak, pewnie masz rację.

- Długo się nią opiekowałeś?

- Kilka miesięcy, może dłużej, nie pamiętam - powiedział cicho.

„Co się ze mną dzieje? - pomyślałam, patrząc na skruszonego Wiktora. Stałam się zgorzkniałą jędzą. Potrzebuję psychologa! Klaudia jest psychologiem! Klaudia, ratunku!”

- Chodźmy popływać - pociągnęłam go za rękę. Wskoczyliśmy razem do wody. Płynęliśmy obok siebie.

Woda była ciepła i przyjemna. Patrzyłam na Wiktora, na jego silne umięśnione ciało. „Dlaczego mężczyźni się w ogóle nie starzeją?” - psioczyłam w duchu. Nagle obok Wiktora wynurzyła się... Milena, w swej całej seksownej okazałości.

- Hej! - uśmiechnęła się do Wiktora, zupełnie nie zważając, że jestem obok. Szczyt bezczelności.

- Dzień dobry! - odpowiedział Wiktor. - Słuchaj, kochana - zaczął ze słodkim uśmiechem, a ona wyszczerzyła zęby i jeszcze bardziej wypięła i tak okazały biust - spójrz - powiedział i objął mnie za ramiona - to jest miłość mojego życia, ty byłaś jedynie pomyłką. Więc odczep się łaskawie i poszukaj sobie innej ofiary - skończył nieprzyjemnym tonem.

Zaskoczona, aż odjęło jej mowę, zamrugała tylko długimi rzęsami i wściekła wyszła na brzeg.

Wiktor spojrzał na mnie i uśmiechnięty od ucha do ucha zakomunikował:

- No, to mamy ją z głowy.

- Chyba trochę za ostro ją potraktowałeś.

- Lenka, ty w ogóle nie znasz kobiet. Z takimi tak trzeba - stwierdził kategorycznie i zanurkował gdzieś pod wodę.

Przez chwilę stałam oniemiała. Ja nie znam kobiet? A czy ja sama przypadkiem nie zaliczam się do tej płci? Pochodzącej podobno z Wenus, chociaż część z nas chyba raczej urwała się z choinki. I nie rozumiem, że lepiej by wyszła na kobiecej solidarności niż szarpaninie o tego samego faceta. Zaczęłam płynąć wzdłuż basenu i nagle poczułam, że ktoś łapie mnie za nogi i ciągnie w dół. Oczami wyobraźni już widziałam, jak żadna zemsta Milena wciąga mnie w czarną głębię. Nabrałam szybko ostatni haust powietrza, zamknęłam oczy i znalazłam się pod wodą. Poczułam na swoich ustach głęboki pocałunek, a na pośladkach dwie duże dłonie. „To chyba jednak nie Milena” - pomyślałam z zadowoleniem i odwzajemniłam pocałunek Wiktora.

Gdy wyszliśmy na brzeg, Mileny nie było na leżaku. Leszek pochrapywał, a Klaudia czytała jakiś kolorowy magazyn. Wiktor poszedł po napoje, a ja przysiadłam obok Klaudii.

- Wspaniałe miejsce i fajny klimat - zagadnęłam - ciepło, ale nie upalnie.

- O tak, za to pokochałam Teneryfę - powiedziała, odkładając gazetę. - Za piękną przyrodę i panującą tu wieczną wiosnę. Chociaż klimat panujący na wyspie nie jest wszędzie jednakowy. Sama się dzisiaj przekonasz. Są miejsca, gdzie jest zimno. A wulkan może być nawet pokryty czapą śniegu. Więc zabierzcie coś ciepłego do ubrania - radziła.

- Widziałaś tę znajomą Wiktora, Milenę? - zapytałam.

- O tak, trudno jej nie zauważyć - uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Klaudia wzbudzała nie tylko sympatię, ale i zaufanie.

- Wiesz - ściszyłam głos - Milena była kiedyś kochanką Wiktora. Nie jest to dla mnie łatwa sytuacja, zwłaszcza że niedawno zostałam mocno zraniona...

- A co tak plotkujecie, baby? - Leszek w najmniej oczekiwanym momencie wybudził się z drzemki.

Za chwilę pojawił się Wiktor. Rozdzielił przyniesione kubeczki.

- Dla pań po drinku. Dla nas bezalkoholowo. W końcu czeka nas podróż samochodem. Może będziesz potrzebował zmiennika - zagadnął do Leszka.

- Dobrze kombinujesz - pochwalił go. - Tylko przygotuj się na wąskie i zajebiste kręte drogi.

- O, to ja rzeczywiście wypiję tego drinka - zassałam napój przez słomkę, aż zatrąbiło.

- Lena, co ty dzisiaj taka nerwowa? - zapytał Leszek. - Wyluzuj się, kobieto. Chyba przyniosę ci jeszcze - roześmiał się.

- Ja, nerwowa? - udawałam zdziwienie.

Wiktor usiadł obok i objął mnie w pasie. - Kocham cię - wyszeptał do ucha. - Kiedyś mi zaufasz.

- A ty sam sobie ufasz? Jesteś sobie pewien? Może za chwilę znudzisz się mną jak tą Mileną - wypaliłam odrobinę za głośno.

- Tak, powoli możemy się zbierać. Pewnie już podstawili nam samochód pod hotel - zakomunikował Leszek.

Gdy już siedzieliśmy w samochodzie, odebrałam telefon od mamy.

- Halo, Lenka! Gdzie jesteś?

- Cześć, mamo! Właśnie wybieramy się na wulkan - oznajmiłam.

- Matko boska, Lenka! Błagam cię, dziecko, trzymaj się od wulkanów z daleka. Wiesz, że mamy cię tylko jedną.

- Mamo, spokojnie. To wulkan uśpiony. Ostatnia erupcja była w 1909 roku.

- No właśnie, uśpiony. Ten Fajawoku na Islandii też był uśpiony i jak pieprznał, to sama wiesz, co się działo. Przez te chmury pyłu ciotka Marysia przez miesiąc nie mogła z Ameryki wrócić.

- Ejafjatłajokutł, mamó - poprawiłam ją. - Nie martw się. Ten nie wybuchnie.

- Obiecuj mi chociaż, że nie podejdziesz do krateru.

„Ona to ma pomysły. Pewnie wyobraża sobie, że będziemy sobie robić zdjęcia z lawą za plecami jak w filmach na Discovery” - pomyślałam.

- Obiecuję. A co u was?

- Wszystko w porządku. Nic się nowego nie wydarzyło. Pan Chojnicki pytał o ciebie. Powiedziałam mu, że wyjechałaś na Teneryfę. Aha, i pytał jeszcze o twój nowy adres. Ale ja nie pamiętam i nie mogłam mu podać.

Zastygłam w bezruchu. Moje niedopatrzenie. Nie chciałam denerwować rodziców, ale przesadziłam z blokadą informacji.

- Mamo, proszę cię, nigdy więcej nie rozmawiaj z tym panem i nie pytaj mnie dlaczego, bo teraz nie będę o tym rozmawiać - powiedziałam kategorycznie. - Ojca to też dotyczy. Zrozumiałaś? Potwierdź, mamó. To ważne.

- Tak, Lenka, zrozumiałam. To znaczy nic nie rozumiem - mówiła pogubiona. - Myślałam, że może zalega ci jakieś pieniądze za projekt i chce ci je po prostu oddać.

- Nie, mamó. Tu nie chodzi o pieniądze. Zadzwonię wieczorem i jeszcze raz wszystko ci wyjaśnię.

- Dobrze, do tego czasu na wszelki wypadek ani ja, ani tata nie będziemy z nikim rozmawiać - zapewniła. - Ale ze sobą możemy? - szeptała konspiracyjnie.

- Tak, mamó. Do usłyszenia.

- Pa, kochanie. Pamiętaj, z dala od krateru.

- Przepraszam was. Sami rozumiecie, starsza osoba - tłumaczyłam pokrętnie.

- Nie tłumacz się - powiedział Leszek. - Nie wiadomo, jacy my będziemy na stare lata. Pewnie będę wkurzał wszystkich dookoła.

- Już wkurzasz - śmiała się Klaudia.

„Najwyraźniej Chojnickiego już wypuścili. Mam tylko nadzieję, że nie wpadnie mu do głowy lecieć za mną na Teneryfę” - myślałam. Wiktor przytulił mnie do siebie i od razu poczułam się bezpieczna.

Spojrzałam za okno. Wokół ciągnął się sosnowy las. Majestatyczne drzewa wyrastały z czerwono - brązowego podłoża, przeplatając się ze skalnymi, baśniowymi tworami. Droga powoli pięła się w górę i za chwilę byliśmy ponad drobnymi białymi chmurami, pomiędzy którymi widać było szmaragdową wodą oceanu.

- Zatrzymamy się? - spytałam. - Chętnie popstrykam parę zdjęć.

- Oczywiście - Leszek już zjeżdżał na pobocze.

Mimo świecącego słońca powietrze było chłodne. Obfotografowałam całą okolicę i ruszyliśmy dalej. Zniknęły drzewa, roślinność stawała się coraz bardziej uboga, za to przybywało skał. Byliśmy coraz bliżej wulkanu, który wyglądał jak wielka, szaro - brązowa góra z białą czapą śniegu na szczycie. Droga stawała się coraz bardziej kręta. Jechaliśmy wolno, bardzo blisko skalnych ścian, z trudem mijając się z samochodami jadącymi z naprzeciwka. Podziwiałam kamienny spokój Leszka pewnie prowadzącego samochód. Przed nami wyłonił się księżycowy krajobraz - rozległa równina, pokryta zastygłą lawą w najróżniejszych fantazyjnych kształtach.

- Nie wiem, czy wiecie - zaczęła Klaudia - ale tutaj kręcono sceny do filmów „Planeta Mała” i „Gwiezdne wojny”.

- Faktycznie sceneria niesamowita. Taka surowa i groźna - komentowałam.

- Zaraz będzie parking. Pójdziemy dotknąć tych bazaltowych tworów - powiedziała Klaudia.

Wysiedliśmy z samochodu i stanęliśmy oko w oko z wulkanicznymi górami o ciekawych, nieregularnych kształtach. Poszarpane, z licznymi iglicami, stożkami, wybrzuszeniami, tworzyły nieziemsko baśniowy krajobraz. W górę prowadziły kamienne schody. Szłam za Wiktorem, a za mną na końcu szedł Leszek. W pewnym momencie chwycił mnie za rękę i zatrzymał.

- Lena, masz jakieś kłopoty? Ktoś ci grozi?

Zmieszana popatrzyłam mu w oczy. „Czy on ma jakiś szósty zmysł?” - pomyślałam.

- Słyszałem twoją rozmowę z mamą. Mówiłaś do niej, żeby nie rozmawiała z tym panem. Jeśli wpadłaś w jakieś tarapaty finansowe i ktoś cię ściga, to mów, dziewczyno. Pomożemy.

- Leszek, dziękuję ci bardzo. Ale to nie chodzi o pieniądze. W ogóle to zawiła sprawa.

- Rozumiem. Ale pamiętaj, że możesz na nas liczyć - zapewnił.

Dogoniliśmy Klaudię i Wiktora, którzy byli już na szczycie skały. Wkoło roztaczał się niesamowity widok. Ogromna kaldera starego wulkanu otoczona bazaltowymi górami, której pomarszczone dno przybierało różne odcienie brązu. Zeszliśmy do podnóża skał i teraz brodziliśmy wśród kwitnących, egzotycznych roślin.

- To jest niesamowite, że w tak trudnych warunkach rosną tak piękne rośliny - zatrzymałam się przy czerwono - -

zielonym stożku. - Przecież tu jest strasznie sucho, skaliste podłoże, a tu proszę. Nawet nie wiem, jak się to nazywa.

- Kanaryjczycy nazywają ją „tajinaste roho” - odezwała się Klaudia. - Czyli czerwone tajinaste, które stało się symbolem Teneryfy, bo w tym kolorze występuje tylko tutaj. Rośnie wyłącznie na lawie wulkanicznej, specyficznej dla tej wyspy. Kwitnie raz do roku, a po przekwitnięciu obumiera. Ale w następnym roku z tego samego korzenia wyrastają nowe stożki.

- Klaudia, jesteś ekspertem od Teneryfy - powiedziałam z uznaniem.

- To prawda, mam fioła na punkcie tej wyspy. Od lat moim marzeniem było zamieszkać tutaj albo chociaż spędzać tu część roku. Nawet nauczyłam się hiszpańskiego. Chyba w poprzednim wcieleniu byłam Guanczem - zaśmiała się perliście. - Teraz dzięki Leszkowi moje marzenie się spełnia. Budujemy tutaj dom i na pewno będzie to nasze lokum na zimę - powiedziała i pocałowała siarczyście męża.

- Ty, kochanie, spełniłaś moje marzenie. Teraz ja spełniam twoje - Leszek objął żonę i szli tak przed nami wpatrzeni w siebie.

- Co za miłość - szepnęłam do Wiktora.

- A jakie ty masz marzenie? - spytał.

- Kiedyś miałam marzenia. Ale w tej chwili są już nie do spełnienia - nie umiałam ukryć smutku. - Ale nie mówmy o tym. Cieszymy się tym, co mamy.

- O nie, kochanie. Na marzenia nigdy nie jest za późno. Mów zaraz, co to za marzenia.

Nagle tuż przed naszymi stopami przemknęła wielka jaszczurka. W pierwszej chwili wzięłam ją za jadowitego węża i oczywiście wpadłam w panikę. Z niosącym się na całą okolicę okrzykiem: „Matko boska, wąż!!!” wskoczyłam

wprost na ręce Wiktora. Ledwo mnie złapał, bo ze śmiechu nie mógł utrzymać się na nogach.

- Spokojnie, kochanie. To tylko niegroźny gad.

Klaudia musiała usłyszeć mój pełen grozy okrzyk, bo przystanęła i uspokajająco powiedziała:

- Lenka, możesz być spokojna. Na wyspie żadnych jadowitych stworów nie ma. Nawet o komara trudno.

- No, Wiktor, chwyt masz niezły. Przez próg żonę przeniesiesz - zażartował Leszek.

Wiktor cały czas trzymał mnie na rękach.

- Fotkę proszę - powiedział i puścił mnie dopiero, gdy Klaudia zrobiła zdjęcie.

Doszliśmy do przepięknej skały w kształcie maczugi. Widać było na niej skośne warstwy bazaltu w różnych kolorach ziemi: ceglonym, beżowym, brązowym i grafitowym. Wkoło rosły żółte i fioletowe kwiaty. A w tle wznosił się majestatyczny wulkan El Teide.

- Fajnie by było mieć taki obraz w domu - Klaudia z uśmiechem wpatrywała się w góry. - Uwielbiam olejne obrazy z pięknymi widokami.

„Może tym razem ja spełnię twoje marzenie” - pomyślałam i obfotografowałam widoczek na wszystkie możliwe sposoby.

- Nie ma co się tyle gapić. Jedziemy na wulkan - zdecydował Leszek. - Mam nadzieję, że kolejka działa. Przy silnych wiatrach niestety jest nieczynna - wyjaśniał.

Ale działała. Duży wagon wwiózł nas, co prawda, nie na sam szczyt, ale na wysokość trzy i pół tysiąca metrów nad poziomem morza. Chodziliśmy po śniegu, a w powietrzu roztaczał się zapach siarki świadczący o tym, że wulkan jest czynny. Oglądaliśmy widoki: kaldere, którą dopiero co podziwialiśmy z dołu, a za nią ocean i sąsiednie wyspy.

Wiktor z Leszkiem przystanęli i o czymś zawzięcie dyskutowali.

- Lenka, jeśli masz jakieś kłopoty - zaczęła Klaudia. - Wiem, mało się znamy, ale przyjaciele Leszka są moimi przyjaciółmi - powiedziała i objęła mnie serdecznie.

- Dziękuję. Jesteście kochani. Długo jesteście razem? - spytałam.

- Pięć lat. Tak, to już pięć lat, jak jesteśmy razem - zamyśliła się na chwilę. - Leszek trafił do mojego gabinetu totalnie zdruzgotany po poprzednim małżeństwie - mówiła do mnie, ale jej oczy patrzyły gdzieś daleko w horyzont. - Na pewno znałaś Mirkę. Nie odbiłam jej męża. Gdy się poznaliśmy z Leszkiem, on był po rozwodzie, ja byłam wdową. W trakcie terapii wyszedł też na jaw jego ogromny lęk przed lataniem. Zajęliśmy się i tym. Jestem psychologiem, ale nawet nie wiem, kiedy zbliżyliśmy się do siebie tak bardzo, że już nie chcieliśmy żyć osobno. Szkoda życia na samotne życie.

Też spojrzałam w horyzont.

- Mój poprzedni partner opuścił mnie po dziesięciu latach szczęśliwego, jak mi się wydawało, związku. Związku, w którym nie było dzieci, bo on nie chciał ich mieć. Odszedł do dużo młodszej kobiety, z którą będzie miał dziecko. Jak ty to wytrzymujesz? - popatrzyłam jej w oczy. - Wkoło jest tyle młodych, pięknych kobiet, które zrobią wszystko, by usidlić faceta, jeśli tylko wyczują w tym szansę na dostatnie życie dla siebie i swojego potomstwa. Można powiedzieć, że to instynkt. Na niego nie ma rady. Jest jak tajfun. Zmiecie wszystko po drodze.

- Kochanie, trochę więcej pewności siebie. Jesteś wspaniała i masz koło siebie wspaniałego człowieka. Widać, że cię kocha, i nie jest to szczenięca miłość nastolatka, tylko dojrzałego człowieka, też pewnie po przejściach. Na drugi

związek każdy chucha i dmucha. Stara się nie popełniać tych samych błędów.

- Ale widzisz, chodzi o to, że ja nie umiem mu zaufać. On... Klaudia przerwała mi w pół zdania.

- Lenka, pogadamy o tym jeszcze, obiecuję. Panowie tu idą.

- No, babeczki - Leszek już był przy nas - wracamy do hotelu, na obiadek.

W drodze powrotnej z nosem przyklejonym do szyby zachwycałam się krajobrazem, starając się utrwalić go w pamięci.

- Pierwszy raz jestem na wulkanicznej wyspie - powiedziałam. - Niesamowity jest ten księżycowy krajobraz. Taki kontrast z tym słodkim widoczkiem wokół hotelu. Tam palmy, tu skały.

- O tak, Teneryfa to wyspa kontrastów - potwierdziła Klaudia siedząca teraz przy mnie. Wiktor przejął kierownicę a Leszek jako pilot wycieczki siedział obok niego.

- A jak usytuowany jest wasz dom? - spytałam.

- Jutro zobaczysz - powiedział z uśmiechem Leszek. Prosto z samochodu udaliśmy się do hotelowej restauracji, bo dochodziła siedemnasta i właśnie kończyła się pora obiadu.

- Chojnicki jest na wolności? - zwrócił się do mnie zatroskany Wiktor zaraz po wejściu do naszego apartamentu.

- Tak myślę, bo zdążył już zadzwonić do moich rodziców.

- Lenka, to chory człowiek. On może nawet nie pamięta, co zrobił w Paryżu. Najlepiej będzie, jak po powrocie do Polski pójdziemy na policję i powiesz im o swoich obawach. Może oni wiedzą coś więcej. Może przydzielą ci ochronę.

- Ja już wiem coś więcej, Wiktor. I nie są to przyjemne rzeczy - powiedziałam i powtórzyłam mu, co usłyszałam od Marka.

- Lenka, tym bardziej powinniśmy pójść na policję - przekonywał Wiktor. - Jedno wiem na pewno, dopóki ta sprawa się nie rozwiąże, ja będę twoim osobistym ochroniarzem.

- No tak, tobie ufam ciut bardziej niż Chojnickiemu - zaśmiałam się.

- Jakie ciut? Jakie ciut? - Wiktor porwał mnie w objęcia.

- Poczekaj, poczekaj - zaczęłam przed nim uciekać. - Jesteśmy umówieni z Klaudią i Leszkiem na kawę i kanastę, pamiętasz?

- Pamiętam, ale pięć minut nas nie zbawi.

- Pięć minut? - prychnęłam. - O nie, mój drogi, pięcioma minutami to ty się nie wykpisz - popchnęłam go na łóżko i zaczęłam się powoli rozbierać, dając popis swojego nieobjawionego do tej pory striptizerskiego talentu.

- No, no, noo - usłyszałam w jego głosie uznanie i oczekiwanie na więcej.

Rozebrałam się do bielizny i... sięgnęłam do szafy po sukienkę.

- No co, noo? Przebieram się po prostu - powiedziałam. - I tobie też radzę. To elegancki hotel - dokończyłam ze śmiechem.

- O ty, oszustko. Wieczorem się nie wymigasz - pogroził mi palcem i też zaczął się przebierać.

W barze grała muzyka. Dookoła paliły się kolorowe lampiony. Roześmiani ludzie siedzieli przy stolikach, sącąc kolorowe napoje. Szukałam znajomych twarzy, i znalazłam. Milenę. Siedziała z jakimś młodym towarzystwem, ale jej oczy błędziły po ludziach siedzących przy innych stolikach. „Poluje dalej” - pomyślałam. Klaudii ani Leszka jednak nie było.

- Nie ma ich - zwróciłam się do stojącego obok Wiktora. - Pewnie są jeszcze w pokoju.

- I uprawiają seks - dokończył z wyrzutem.

- To jest możliwe - uśmiechnęłam się. - Przejdźmy się - zaproponowałam.

Wkoło hotelu był piękny, zadbany egzotyczny ogród. Ruszyliśmy alejką. Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Tak, milczenie to dobra próba. Jeśli nie męczy, nie ciąży, to znak, że wytworzyła się między ludźmi intymna, szczerza więź. I nie męczyło.

- Jak ma na imię twój synek? - spytałam.

- Christian. Krzysiu - powiedział miękko.

- Chciałabym go poznać - powiedziałam wzruszona. - Czy on mówi po polsku?

- Niestety nie za dobrze. Za rzadko go widuję. Ale jeszcze go nauczę. W końcu musisz się z nim jakoś dogadywać - spojrzał na mnie z uśmiechem. - Na pewno prędzej go nauczę polskiego niż ciebie francuskiego - zażartował.

- Ja ci pokażę! - rzuciłam się na niego.

- Proszę się nie bić! - usłyszeliśmy za sobą znajomy głos. Naszym tropem podążali już Leszek z Klaudią.

Dom był przepięknie położony. Na wysokiej skarpie z widokiem na ocean. Wkoło rosły wysokie palmy. Parterowy, biały, z lekko skośnym dachem pokrytym dachówką w ceglastym kolorze. Dużo łuków i kolumn, taras, basen. Wszystko razem tworzyło dość idylliczny obrazek. Jak dla mnie, styl może odrobinę przekombinowany. Ale w końcu każdy buduje dom dla siebie i taki, w którym będzie się dobrze czuł.

- I jak? - zapytała uśmiechnięta od ucha do ucha Klaudia.

- Zazdroszczę wam tych widoków - powiedziałam.

Weszliśmy do środka. I od razu zaczęłam szkicować. Klaudia przyglądała się ze zdumieniem, jak błyskawicznie wypełniam kartki.

- Ale ty masz szybki ołówek - powiedziała z podziwem.
- Zrobię szkice i przedyskutujemy sobie je na spokojnie.

Dodamy kolory.

Poprzedniego wieczora długo rozmawiałyśmy o jej upodobaniach co do wystroju wnętrza. Wiedziałam już, w czym gustuje i jakie funkcje ma pełnić ten dom. Mówiła, że chce w nim przyjmować gości. Będą zjeżdżały do nich dzieci ze swoimi rodzinami, przyjaciele i znajomi. Dom musi więc być dostosowany do dużego ruchu.

Wiktor w tym czasie na moje polecenie robił zdjęcia. Kątem oka widziałam, jak fotografował wszystko, co się da. Przechodziłam z pomieszczenia do pomieszczenia i szkicowałam.

- Może zrobimy sobie przerwę na piknik? - zaproponował Leszek. - Klaudia ma cały koszt wiktuałów w bagażniku.

Usiedliśmy na dworze w przyjemnym cieniu. Jedliśmy i omawialiśmy wstępny projekt. Nanosiłam zmiany. Dzień upłynął nam bardzo pracowicie.

W hotelu wylądowaliśmy wieczorem i rozeszliśmy się do pokoi, żeby się odświeżyć przed kolacją.

- I jak projekt? - spytał Wiktor. - Wymagający klienci?

- Tylko dla takich lubię pracować - powiedziałam z uśmiechem. - Projekt jest w powijakach. Teraz przeniosę go do komputera i będzie z każdą chwilą rósł i nabierał ciała.

- Ale to już chyba jutro? Dzisiaj znajdziesz dla mnie chwilkę? - powiedział prosząco. - Jeszcze nie wypróbowaliśmy tego jacuzzi.

- Jakąś małą chyba znajde.

Wiktor objął mnie i zaczął całować. Ale miłosna akcja nie zdążyła się rozkręcić, bo zadzwoniła moja komórka i poleciałam wygrzebać ją z torby.

- Halo - odebrałam pełna niepokoju. Może mama znowu ma jakieś wieści o Chojnickim. Co prawda, poprzedniego

wieczora starałam się jej w miarę dokładnie, ale też delikatnie wytłumaczyć, dlaczego nie należy rozmawiać z szalonym panem Chojnickim. Ale mama to mama. Może miała jakiś sen, który radził jej dokładnie na odwrót.

- Cześć, Lenka! To my, twoje psiapsióły - chichotały wszystkie trzy do słuchawki. - Jak się bawisz?

- No, hej! Tu się pracuje, a nie bawi. Ale słyszę, że wy się tam doskonale bawicie. Jakaś okazja?

- No, i to jaka! Marta będzie miała dziecko! - zaśpiewała Julka.

- Słucham? - spytałam totalnie zaskoczona. - Jak to możliwe?

- Marta z Jerzym w tajemnicy przed nami wystąpili o adopcję i właśnie skończyła się procedura adopcyjna z wynikiem pozytywnym! Dam ci ją do telefonu.

- Marta, gratuluję, kochanie. Ale że nic nam nie powiedziałaś?

- Dziękuję, Lenka. Nie chciałam zapeszyć. Jak sama zauważyłaś, jestem trochę przesądna. Będę mamą, Lenka, będę mamą - szalała ze szczęścia. - To dziewczynka. Ma trzy latka. Jest taka słodka. Smutna, ale już ja ją rozweselę - mówiła pełna zapału.

„W to nie wątpię” - pomyślałam.

- Marta, jesteś wspaniałym człowiekiem, naprawdę - mówiłam wzruszona. - Bawcie się dobrze!

- Ale co u ciebie? Pewnie obok jest Wiktor. Odpowiadaj tylko tak lub nie. Seks w porządku?

- Tak - odpowiedziałam ze śmiechem.

- Codziennie?

- Taaak - spojrzałam uśmiechnięta na Wiktora.

- O, zazdroszczę. Miodowy tydzień ci się zapowiada.

- Dużego ma? - słuchawkę przejęła siłą podchmielona Weronika.

- No wiesz - oburzyłam się. - Za dużo byś chciała wiedzieć. Nie pijcie tyle beze mnie. Pa!

- Pa, pa!

Wiktor spojrzał na mnie pytająco.

- Dziewczyny dzwoniły. Marta z Jerzym właśnie zostali rodzicami.

- Żartujesz. W ogóle nie było po niej widać.

- Adopcja, kochanie, adopcja.

- Lenka, po raz pierwszy powiedziałaś do mnie „kochanie” - wykrzyknął Wiktor i porwał mnie w ramiona.

Spojrzałam zaskoczona.

- Powiedziałaś? Myślisz, że to coś znaczy? - droczyłam się z nim. - Rozkochasz mnie w sobie, a potem rzucisz dla młodszej.

- Jakiej młodszej? Ty jesteś młodsza od niejednej trzydziestolatki. Liczy się młodość duszy, a nie ciała. Chociaż ciało też masz niezłe - dodał z szelmowskim uśmiechem.

Kiedy zeszliśmy na kolację, Klaudia i Leszek byli już właściwie po. Spojrzeli na nas z uśmiechem.

- Pracowałam - próbowałam usprawiedliwić nasze spóźnienie.

- Tak. To też w sumie jakaś praca - zachichotał Leszek. - Dość przyjemna, ale jednak praca.

- Tak, jutro pokażę wam efekty - brnęłam dalej.

- Już jutro? - zdziwił się Leszek. - Normalnie czeka się dziewięć miesięcy - powiedział i zaczął się śmiać ubawiony własnymi słowami.

- Ha, ha, ha - parodiowała go Klaudia. - Nie przejmuj się nim - szepnęła mi na ucho. - Nie ma chłop wyczucia. Pogadamy później. Musimy tylko ich czymś zająć.

- Byle nie widokiem półnagiej Mileny - odszeptałam z porozumiewawczym uśmiechem.

Po kolacji poszliśmy do baru przy basenie. Sączyliśmy kolorowe drinki i bawiliśmy się luźną rozmową. Nagle obok ostentacyjnie przemaszerowała Milena kurczowo uczepiona jakiegoś siwego starszego pana z ogromnym złotym rolexem na rękę. Popatrzyliśmy na niego ze współczuciem.

- Ciekawe, której babci go poderwała? - zażartował Leszek. - Oby nie skończyło się zawałem.

- Idziemy pograć w bilarda - zaproponowała Klaudia. - Leszek jest mistrzem - czule poklepała męża po ramieniu. Aż ten urósł z dumy.

- Może będę nieskromny - zaczął Wiktor - ale też idzie mi niezgorzej.

- O, to świetnie, zrobimy turniej. Każdy z każdym. Najpierw nasi mistrzowie - zarządziła Klaudia, mrugając do mnie okiem.

Panowie zajęli się grą, a my podeszliśmy do basenu i usiadaliśmy na jakimś zbłąkanym leżaku, którego obsługa, nie wiedzieć czemu, nie włożyła na wysoki stos bliźniaczych łóżek do opalania.

- No, teraz możemy swobodnie porozmawiać - zauważyła Klaudia. - Leszek celebrytuje każdy strzał. Więc trochę to potrwa. Nie wiem tylko, jak wytrzyma to Wiktor.

- W sumie to ja też nie wiem. Nie znam granic jego cierpliwości - zauważyłam ze smutkiem. - Piotr by długo nie wytrzymał. To znaczy Piotr, jakiego znałam - dodałam dla uściślenia.

- Spokojnie, macie dużo czasu, żeby się dobrze poznać.

- Ale ja właśnie nie jestem pewna, czy powinnam dać nam ten czas. To, co wiem o jego przeszłości, sprawia, że boję się życia z nim - powiedziałam złamanym głosem i pokrótce naświetliłam Klaudii historię Wiktora, czując się trochę jak... zdrajca? „W końcu siedzę na kozetce u psychoterapeuty -

pocieszyłam sama siebie. Tu nie zdradza się nikogo. Tu szuka się pomocy dla chorej duszy. Tylko czyjej? Wiktora?"

- Rozumiem, że boisz się cieszyć własnym szczęściem, bo spodziewasz się najgorszego - zdrady. Niedawno jej doświadczyłaś i panicznie boisz się, że to się powtórzy. Zwłaszcza że związałaś się z człowiekiem, który w przeszłości zdradzał. Nie ciebie, ale zdradzał. Lenka, musisz sobie odpowiedzieć na pytanie. Czy kochasz Wiktora? Zapomnij na chwilę o jego przeszłości. Odbył psychoterapię. Zniknął też powód zdrad. Próbował szukać w nich szczęścia, bo nie mógł zaznać go z tobą. Powiedz mi, czy pokochałaś tego nowego Wiktora czy tylko zapelniasz nim samotność? Może potrzebujesz więcej czasu, żeby go pokochać albo uświadomić sobie, że to uczucie już istnieje.

Patrzyłam na nią i myślałam. W tle kłębiły się myśli i wspomnienia.

- Jeśli stworzycie związek, w którym tylko on będzie kochał, to byłby aniołem, nie człowiekiem, gdyby cię w końcu nie zdradził. Jeśli jednak odwzajemnisz jego uczucie, macie dużą szansę. Gwarancji nikt ci nie da. Nie możemy ręczyć nawet za siebie samych. Znam zameżne kobiety, które zupełnie zaskoczyła miłość do nowego mężczyzny. Przychodzą do mnie i próbujemy jakoś rozplątać ten węzeł gorącego uczucia i okropnego poczucia winy, czasami - jak się okazuje - tylko zauroczenia. Miłość nie jest dana raz na zawsze. Czasami umiera, by mogła narodzić się nowa, jak tajnaste, pamiętasz?

Kiwnęłam głową, a ona kontynuowała.

- Wiktor jest szczery i na moje oko psychologa bardzo uczuciowy i wrażliwy. To dobry materiał na partnera, męża, faceta. Jak zwał, tak zwał. Możesz go zostawić, ale jeśli coś do niego czujesz, możesz całe życie tego żałować. Druga rzecz to taka, że zdrada to nie koniec świata. To bardzo boli,

ale od tego się nie umiera. Nie wolno ci czuć się gorszą, bo jakiś facet cię zostawił. Masz swój własny świat. Swoją pracę, przyjaciółki, hobby. Uczucie też się pojawi. Jeśli nie do Wiktora, to do kogoś innego.

- Czyli po prostu histeryzuję?

- Tak, ale masz do tego prawo. Jednak im szybciej się z tego otrząśniesz, tym lepiej dla ciebie. Jesteś silna i poradzisz sobie doskonale bez długofalowej terapii na kozetce - dokończyła z uśmiechem.

- Chodźmy do naszych panów, sprawdzę, jaką cierpliwością dysponuje Wiktor, bo chyba bez niej w naszym związku się nie obędzie - powiedziała ze śmiechem.

Jak się okazało, Wiktor grał z równym namaszczeniem, co Leszek. Przed każdym strzałem pocierał kredą kij, przymierzał się dobrą minutę, poprawiał ułożenie ręki.

- Matko, wy w golfa powinniście grać, a nie w bilard - podsumowała ich Klaudia. - Szybciej, panowie, bo uśniemy.

- Nie popędzaj, kobieto! - odparował Leszek. - Z kulem trzeba się pieścić jak z kobitką. Powoli i z wyczuciem.

- Żeby trafić do dziurki? - ze śmiechem dodała Klaudia i wszyscy zaczęli się rechotać.

- To nie dziurka, tylko luz - wyjaśnił za chwilę Leszek.

- Tak? Od kiedy? - spytała rozbawiona.

- Dołączcie do nas - zaproponował Wiktor. - Zagramy drużynowo. Chodź, Lenka - wręczył mi kij.

- Dobrze, sam tego chciałeś. Które wbijamy?

- Te z kolorowym paseczkiem, kochanie - odpowiedział Wiktor. - Tylko pamiętaj, nie wbij czarnej, bo przegramy - mówił takim głosem, jakby ostrzegał mnie przed katastrofą nuklearną.

- Co wy tak poważnie do tego podchodzicie? Przecież to tylko zabawa - zaśmiała się.

Przymierzyłam i z całej pary strzeliłam w białą kulę. Ta odbiła się od jednej ścianki, potem drugiej i podwójnym rykoszetem wbiła pasiastą kulę prosto w łuzę.

Zdumienie wyparło chyba powietrze, bo widziałam, jak Leszek i Wiktor na moment przestali oddychać. Włożyłam kij w rękę zastygłego w dziwnej pozie Wiktora i odtańczyłam radosny taniec zwycięstwa.

- Teraz ty, Wiktor - wykrztusił ciągle zaskoczony Leszek. Wiktor przybrał pozycję podobną do mojej i strzelił. Biała kula odbiła się od jednej ściany, drugiej, aż w końcu trafiła w czarną, która powolutku potoczyła się w kierunku łuzy, aby za chwilę, przy głośnym jęku rozpaczony Wiktora, w niej zniknąć. Spojrzałam na sprawcę naszej przegranej i zrobiło mi się go szczerze żal. Wyglądał jak kupka nieszczęścia.

- Wiktorku, nie przejmuj się tak. To tylko zabawa - powiedziałam, tłumiąc śmiech, i mocno go przytuliłam.

- Chodźmy lepiej coś wypić - zaproponował ubawiony Leszek i zaraz zapytał: - Lenka, gdzie nauczyłaś się takich sztuczek?

- Nigdzie. To był czysty przypadek.

Następnego dnia od samego rana zasiadłam do projektu. Miałam głowę przepelnioną pomysłami i chciałam jak najszybciej zamienić je na postać czytelną dla Klaudii i Leszka. Wiktor przyniósł mi nawet śniadanie do pokoju, żebym nie musiała przerywać pracy.

- Kochanie, idź na basen, popływaj sobie - zaproponowałam. - Nie nudź się tu ze mną. Obiecuję, że na obiad pójdziemy razem. Potem może spacer nad ocean?

- Nie, wiesz co, popracuję nad książką - powiedział i wyjął swojego laptopa.

Siedzieliśmy razem wpatrzeni w swoje monitory. Wiktor biegał po klawiszach, ja tańczyłam z myszką. Tak zastali nas Klaudia i Leszek.

- No, no, praca wre - pochwalił Leszek.

- Jedziemy do sklepów, przywieziemy próbki tapet, kafli - wyjaśniała Klaudia. - Wiesz, to, o czym wczoraj rozmawialiśmy...

- Jasne - rzuciłam, nie patrząc nawet w jej stronę.

- No, to idziemy, nie przeszkadzamy - mówił Leszek. - Partyjka bilarda dziś wieczór? - spytał ze śmiechem.

- Jasne, dziś was rozgromimy - zapewnił Wiktor, uporczywie wpatrując się w monitor.

- No, to pracujcie - mówił Leszek. - Wrócimy dopiero wieczorem. Znając Klaudię, to przewertuje wszystkie sklepy stąd aż do stolicy. Sroka jedna.

- No, chodź już - w tle słychać było głos Klaudii.

- Nie śpieszcie się - powiedziała, klikając z zapalem lewym klawiszem myszy. - Ale wieczorem partyjka, pamiętajcie. Możecie potrenować do naszego powrotu - powiedział jeszcze Leszek i został brutalnie wywleczony z pokoju.

- Chodź już wreszcie, ty marudo - usłyszeliśmy stłumiony głos Klaudii.

- Ja mu dam partyjkę - mruknął pod nosem Wiktor. - Dzisiaj im pokażemy.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

- Ty na poważnie? Daj spokój. Kochanie.

- Drugi raz powiedziałaś do mnie „kochanie”!! - wykrzyknął zadowolony.

- Taaak. Ale to nie jest żaden sygnał. Pracujemy dalej.

- Musisz mieć ciszę przy pracy? - spytał.

- No grobowej nie. Ale jakieś skupienie musi być.

- Ja lubię przy muzyce. Mogę coś włączyć?

- Skoro tak wolisz.
- Ale Lenka, jeśli ci to ma przeszkadzać, to mów.
- No więc, twoje gadanie, Wiktoru, trochę mi przeszkadza, bo muszę ci ciągle odpowiadać i nie mogę się skupić na projekcie.

- Aha. To już milczę.
„Ciekawe, ile wytrzyma?” - pomyślałam i pograżyłam się w pracy.

Pochłoneła mnie tak, że kolejny kontakt z otoczeniem nawiązałam po kilku godzinach. Rozejrzałam się po pokoju. Wiktor nie było. Poszłam do łazienki. Pusto. Na tarasie pusto. „Pewnie siedzi przy basenie” - pomyślałam i wróciłam do komputera. - A jeśli obok siedzi Milena? - mruczałam do siebie i już wyobraźnia zaczęła pracować. - No nie, muszę iść zobaczyć, co on porabia.

Obeszłam wkoło basen. Odwiedziłam restaurację, gdzie podawano już obiad. Zawitałam w ogrodzie. - Jak cię namierzę z tą Mileną gdzieś w krzakach... - mruczałam do siebie jak niespełna rozumu, skradając się po cichu.

W końcu poszłam do baru. Był nieczynny o tej porze. Spojrzałam na bilard - miejsce wczorajszej klęski Wiktoru. Wiktor grał sam ze sobą. Brał bilę do ręki, ustawiał ją na stole i strzelał.

- Co robisz? - spytałam.
- Trenuję, Lenuś, trenuję.
- Ale przestawiasz bile ręką?
- No tak, próbuję w różnych wariantach tego twojego podwójnego rykoszeta.

- Ale przecież mówiłam, że wyszło mi to zupełnie przypadkiem.

- Przypadkiem, nie przypadkiem, ale trenować trzeba - mówił z jakąś obsesją w głosie.

- Chyba ci to słońce zaszkodziło - podsumowałam. -
Chodź na obiad.

- Już, tylko dokończę partyjkę. Chwilka.

Stałam i patrzyłam jak na wariata. Dobrana z nas para.
Szalony gracz i zwariowana zazdrośnica.

Po obiedzie wybraliśmy się na spacer nad ocean. Szliśmy
długim, ciągnącym się wzdłuż brzegu deptakiem. Wiał
przyjemny wiatr. Plaże były szare z drobnym piaskiem.

- A wiesz - zaczęłam - że na Teneryfie plaże są czarne.
Czytałam, że te tutaj są takie jasne, bo specjalnie pokrywają je
raz na jakiś czas białym piaskiem z Afryki. Ale to właśnie te
czarne, ze względu na sporą ilość minerałów, mają
właściwości lecznicze i odmładzające. Podobno niektórzy
zakopują się w nich po szyję.

- Może namówimy Klaudię i Leszka, żeby odwiedzić taką
plażę. Pewnie jest całkiem niedaleko.

- A co, chcesz mnie zakopać? - zaśmiałam się. - Kto
ostatni w oceanie, ten trąba! - rzuciłam hasło i biegiem
ruszyłam w stronę fal, rozbierając się po drodze.

- Nie wygrasz ze mną! - krzyknął i podążył moimi
śladami Wiktor.

Woda była całkiem ciepła i przyjemna. Fale unosiły nas na
swoich grzbietach. Wyglupialiśmy się w wodzie jak dwójka
małych dzieci. „W dorosłym musi być trochę dziecka -
pomyślałam. Inaczej staje się skostniały jak nieboszczyk”.

- Lenka, tam chyba pływa dziecko - usłyszałam nagle głos
Wiktora, który pokazywał w kierunku horyzontu. Wyteżyłam
wzrok. Faktycznie na falach, dość daleko od nas, unosiło się
coś kolorowego. To dziecko w czerwonym dmuchanym
kółeczku - rozpoznałam w końcu i chciałam przekazać to
Wiktorowi, ale jego już nie było. Silnymi, muskularnymi
ramionami tłukł wodę, nabierając rozpędu. Walczył z falami,
które im dalej od brzegu, tym stawały się coraz większe i

groźniejsze. Patrzyłam przerażona, jak Wiktor zмага się z żywiołem. Czasami woda całkiem go zakrywała, ale wynurzał się po chwili i płynął dalej. Spojrzałam na plażę. Nie było na niej ratownika. Na brzegu zobaczyłam jakąś czarnowłosą kobietę, która rozglądała się nerwowo. Popatrzyłam znowu na Wiktora. Zmagał się z oceanem, ale był coraz bliżej. Nagle zupełnie zniknął pod wodą.

Zamarłam z przerażenia. Serce skoczyło mi do gardła. - Wiktoru - zaczęłam szeptać, składając ręce jak do modlitwy. - Nie rób mi tego. Nadal nie było go na powierzchni. Łzy napłynęły mi do oczu. I wtedy zobaczyłam, że wynurzył się tuż obok dziecka. Teraz fale pomagały mu wrócić. Za chwilę był koło mnie. Dziecko było przerażone i sine. Mogło mieć zaledwie pięć lat. Razem wyciągnęliśmy je na brzeg, gdzie dopadła do niego czarnowłosa. Mówiła coś szybko po hiszpańsku, płakała. Była w szoku. Wokół nas utworzył się tłumek. Ktoś otulił małego ręcznikiem. Wiktor wyjaśniał jej coś po hiszpańsku. Pokazywał na fale. Zaczęła dziękować. Rozpłakała się jeszcze bardziej. Po jakimś czasie dołączył do niej krepły mężczyzna. Teraz ona mu coś tłumaczyła. Porwał Wiktora w objęcia. Potem wziął małego na ręce i razem odeszli.

Usiedliśmy na piasku wyczerpani. Spojrzałam na Wiktora z podziwem.

- Uratowałeś dziecko, kochanie. Uratowałeś życie - zarzuciłam ręce na jego szyję i wtuliłam się w jego szeroką pierś. Otoczył mnie ciasno ramionami.

Położyliśmy się na miękkim, ciepłym piasku i leżeliśmy tak przez chwilę w milczeniu.

- Był dokładnie w wieku mojego synka - powiedział cicho.

- Tęsknisz za nim, prawda?

- Tak chciałbym go teraz objąć i przytulić - mówił, a w jego oczach pojawiły się łzy.

Usiadłam.

- Wiktor, musisz coś zrobić, żeby dogadać się z byłą żoną. Jak ona ma na imię?

- Elen. Ma na imię Elen. To będzie trudne. Ale masz rację, muszę spróbować. Teraz, kiedy jesteś przy mnie, mam do tego siłę.

- Jest też w ostateczności sąd. Przecież tobie na pewno przysługuje prawo do odwiedzin, wakacji z nim.

- Niestety, sąd przyznał mi bardzo ograniczone prawa rodzicielskie - powiedział smutno. - W tamtym czasie faktycznie nie nadawałem się na ojca. Mam to, na co sobie zasłużyłem.

- Ale to chyba nie jest ostateczne? Chyba można to zmienić?

- To będzie trudne. Ale spróbuję. Spojrzałam na niego ze współczuciem.

- Pomogę ci - obiecałam. Objęci wróciliśmy do hotelu.

Wieczorem po kolacji razem z Klaudią i Leszkiem rozgrywaliśmy obiecaną partię bilarda.

- Co wy takie czerwone jak Indiance - śmiał się Leszek.

- A wiesz jak piecze - użalał się Wiktor. - Normalnie żywy ogień na skórze.

- Zapomnieliśmy o filtrach - przyznałam z bólem. - Byliśmy na plaży. Poszliśmy się tylko wykapać, ale zostaliśmy tam nieco dłużej. Wiktor ratował pięcioletnie dziecko z oceanu - dodałam z dumą. - Musiał stoczyć walkę z falami, które wyglądały bardzo groźnie. Nie wahał się ani sekundy.

- Naprawdę? - spytała Klaudia.

- Tak, gdyby nie on, aż boję się pomyśleć... Ocean zabrałby tego malca.

Klaudia poklepała Wiktora po ramieniu.

- Uratowałeś ludzkie życie. Jak mówią: „Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat”. Chylę czoła - powiedziała i spojrzała wymownie w moim kierunku.

- No toś mi, stary, zaimponował - dodał Leszek. - Chyba dam ci wygrać.

- Co to, to nie. Co prawda, jesteśmy z Lenką lekko niedysponowani, ale damy radę - oburzył się Wiktor.

- Z bilardem może sobie jeszcze poradzicie - uśmiechnął się Leszek - ale z tymi sprawami... Nie radzę próbować. Uuu. Straszny ból.

- Leszku, czyżby przemawiało przez ciebie doświadczenie? - zaczęłam się śmiać.

Tym razem Wiktor nie wbił czarnej kuli i w ogóle drużynowo szło nam bardzo dobrze.

- Wygraliśmy!!! - znowu odtańczyłam swój taniec. Wiktor dołączył do mnie.

- Teraz proponuję wznieść toast za tego oto odważnego człowieka - powiedziała Klaudia, wskazując na Wiktora.

Poszliśmy do baru.

- Tak - westchnęłam po którymś drinku, patrząc na wyświetlany na dużej plazmie teledysk, na którym w rytm muzyki maszerowało wojsko. - Jedni ludzi ratują życie innym, drudzy je zabierają. Ten nasz gatunek to jakiś niewypał. Jedyne chyba taki gatunek na Ziemi, który tak zaciekle zwalcza sam siebie. Ja w ogóle tego nie rozumiem - przemawiałam, a reszta towarzystwa smutno kiwała głowami. - Nie rozumiem tego. Żeby w dwudziestym pierwszym wieku państwa, które uważają się za tak wysoce cywilizowane, takie wspaniałe i szlachetne, wysyłały uzbrojonych po zęby żołnierzy do krajów, gdzie bieda aż piszczy. Gdzie umierają z

głodu dzieci. Gdzie ludzie walczą ze sobą o kawałek chleba. I po co? Nie żeby nieść pomoc. Co to, to nie. To w ogóle nie leży w ich interesie. Wiecie, po co? Żeby napędzać rynek zbrojeniowy. Żeby sprzedawać śmiertelne militaria. Żeby był ruch w interesie. Zabijają tych biedaków dla kasy. Rozumiecie? Co oni robią z tych żołnierzy? Co robią z ludźmi? Wmawiają nam potem, że to było konieczne, że to dla pokoju na świecie?

- Lenka, jak zwykle chodzi o kasę. Kasę i władzę - powiedział Wiktor.

- Właśnie. Ludzkością rządzą najniższe instynkty. Nic się nie zmienia. Tak było, jest i będzie. Tylko technologia zabijania się zmienia i coraz skrzętniej ukrywane są prawdziwe interesy, które załatwia się za pomocą wojny. Jesteśmy już tak omotani przez propagandę.

- Światem rządzą koncerny - włączyła się Klaudia. - Opanowały media, które kreują nasz świat. Świat dla maluczkich. Niewygodne sprawy są przemilczane. A czego nie ma w telewizji, to nie istnieje.

- Masz rację, kochana - pokiwałam smutno głową. - Dopiero teraz zrozumiałam film „Matrix”. A gdybyśmy się tak wszyscy zbuntowali?

- Dziewczyny, trzeba cieszyć się życiem. Proszę mi się tu nie upijać na smutno - zarządził Leszek.

- Sprzątnęli nawet mojego ukochanego Lennona - dodałam i zaczęłam nucić „All you need is love”, co zaraz podchwyciła Klaudia i stworzyłyśmy nawet niezły chórek. Wstałyśmy, objęłyśmy się za ramiona i robiłyśmy konkurencję muzyce, która płynęła z głośników. Ludzie z sąsiednich stolików patrzyli na nas z uśmiechem na twarzy.

- Peace, ludzie, pamiętajcie, peace - pokazywałam wszystkim ułożoną z palców literę V, znak pokoju. Niektórzy odpowiedzieli mi takim samym znakiem. Wiktor uśmiechał

się do mnie. „Może jest jeszcze nadzieja na lepszy świat” - pomyślałam.

Kolejne dni przebiegały bardzo podobnie. Do późnego popołudnia intensywna praca, dyskusje nad projektem, wybieranie tapet, kafli, koloru farb, i temu podobnych. Meble Klaudia miała już upatrzone. Potem relaks, spacer lub kąpiel w basenie, wieczorna imprezka, bilard. No i... seks. W czwartek wieczorem projekt był właściwie gotowy. Leszek sprowadził do hotelu kierownika budowy, który dobrze władał językiem angielskim. Przedstawiłam mu po kolei co i jak. Zrobił sobie swoje notatki. Ekipa wykonawcza miała od poniedziałku przystąpić do dzieła. Kierownik miał też za zadanie robić zdjęcia postępujących prac i przysyłać je na moje i Leszka konto mailowe.

- To co, jutro możemy wybrać się na wycieczkę? - spytał Leszek. - Projekt gotowy. Większość materiałów już kupiona.

Siedzieliśmy w barze, sącząc sangrię.

- Chętnie - odpowiedziałam.

- Może pokażemy im Maskę? - zaproponowała Klaudia.

- A nie Los Gigantes? - zapytał trochę zawiedziony Leszek.

- Loro Park też jest wart zwiedzenia - zauważyła Klaudia.

- To dobre dla dzieciaków. Już lepsza jest wycieczka katamaranem i oglądanie delfinów na wolności, a nie w niewoli.

- Garrachico jest takie urokliwe.

- A góry Anaga? Chyba nie powiesz, że są pozbawione uroku.

- Tam jest wiecznie zimno. Może rejs na Gomerę?

- Żebyśmy dostali choroby morskiej? Drzewo smocze w Icod de los Vinos.

Patrzyliśmy z Wiktorem to na nią, to na niego, jakbyśmy byli na meczu tenisa, a oni przerzucali się nowymi nazwami

na pewno przyjemnych miejsc, ale wypowiedzianych coraz mniej przyjemnym głosem.

- Lenka, a ty co wybierasz? - nagle piłeczka wypadła z kortu i trafiła mnie prosto w twarz. „No tak - pomyślałam, teraz będzie na mnie”.

- Nie wiem - powiedziałam bezradnie. - Ale chyba nie będziemy się o to kłócić.

- A czy my się kłócimy? - zapytała zdziwiona Klaudia. - My tylko dyskutujemy.

- Ja tam wybieram Los Gigantes. Ta nazwa podoba mi się najbardziej - oznajmił rozweselony Wiktor. - Jest taka... majestatyczna i imponująca.

Spojrzałam na niego jak na wariata. „Dobrze, grajmy w tę grę dalej” - pomyślałam.

- To ja stawiam na Maskę. Kojarzy mi się z romantyczną Wenecją.

Teraz oni patrzyli raz na mnie, raz na Wiktora, aż w końcu wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

- Tu jest atrakcji na miesiąc - stwierdziłam. - Trzeba będzie tu wrócić.

- Kochana, wrócisz na pewno. Masz już zaproszenie na uroczyste otwarcie domu - zapewniła Klaudia. - Oczywiście z Wiktorem, który dzielnie pomagał ci w pracach - dodała zaraz.

- Hmm, tak - odpowiedziałam sceptycznie. - Zrobił milion zdjęć. Zanim je przejrzałam i wybrałam te potrzebne, z ujęciami wnętrza, musiałam się naoglądać palm, motylków, widoczków z oceanem w roli głównej, a nawet moich wypiętych pośladków w wersji panoramicznej.

- No, nie wiedziałem, Wiktor, że z ciebie taki fotograf - powiedział z uznaniem Leszek.

- Tak, chyba zrobię wystawę w Luwrze - zażartował Wiktor. - I zapewniam cię, że największą oglądalność będą

miały właśnie twoje panoramiczne pośladki - dokończył zadowolony.

- No nie, teraz to już przegiąłeś. Ja nie mam żadnych panoramicznych pośladków. Spójrz - powiedziałam i wypięłam, co trzeba.

Przechodzący obok mężczyzna gwizdnął przeciągle, co od razu usadziło mnie z powrotem w fotelu.

- Wiecie co - zagadnął Leszek. - To żeby was pogodzić, to pojedziemy i do Maski, i do Gigantów. To nie są duże odległości. Damy radę.

I daliśmy. Pierwszym punktem wycieczki był punkt widokowy, z którego podziwialiśmy ogromne ściany skalne schodzące pionowo do oceanu o dumnie brzmiącej nazwie Acantilados de los Gigantes, co po polsku znaczy „Klify Olbrzymów”.

- Teraz rozumiem, skąd wzięła się ta nazwa - powiedział z uznaniem Wiktor. - To prawdziwe giganty.

- No, mają po osiemset metrów wysokości - przyznał zadowolony Leszek.

- Kochanie, mówisz z taką dumą, jakbyś sam je zbudował - zażartowała Klaudia.

- No nie, to ten szef wszystkich szefów zrobił - Leszek spojrzął w niebo. - I dzięki mu za to.

- To prawda. Świat jest piękny - jak urzeczona wpatrywałam się w klify i robiłam zdjęcia.

Podjechaliśmy bliżej, do miasteczka Los Gigantes. W jachtowym porcie pływały piękne czerwone ryby. Wpatrywałam się w nie jak zahipnotyzowana, gdy zadzwieczała moja komórka. Dzwoniła mama.

- Cześć, córeczko! Gdzie jesteś?

- W pięknym miejscu, mamusi. Mam widok na wspaniałe klify schodzące prosto do oceanu.

- Właśnie, Lenka! Uważaj na ocean. Miałam taki sen! Już kilka nocy temu. Powstrzymałam się, żeby do ciebie nie dzwonić, bo bałam się, że weźmiesz mnie za wariatkę.

- Jaki sen, mamó?

- Ktoś się topił w wysokich falach. I chyba właśnie Wiktor próbował tę osobę ratować - mówiła cała rozemocjonowana. - Ale nie wiem, jak to się skończyło, bo... ojciec mnie obudził. Akurat w najważniejszym momencie. Taka byłam na niego zła...

- Mamó. Wiktor uratował tego chłopczyka.

- Tak - ucieszyła się w pierwszym momencie. - A ty skąd wiesz? - spytała zaraz podejrzliwie. - No chyba nie miałaś tego samego snu?

- Nie, mamó. Naprawdę kilka dni temu Wiktor uratował pięcioletnie dziecko. Wyrwał je z macek oceanu - mówiłam przepełniona dumą i złapałam stojącego obok Wiktora za rękę.

- Naprawdę? Mamę zięcia bohatera!! - cieszyła się. - Pozdrów go ode mnie i wyściskaj.

- Mamó, nie galopuj tak, proszę cię.

- Pozdrowienia od zięcia! - krzyknął do komórki Wiktor, który musiał słyszeć, co mówiła.

- Pozdrowienia od teściowej! - wykrzykiwała zadowolona. - Bawcie się dobrze!

- No, pa, pa. Spojrzałam na Wiktora.

- Wybacz mojej mamie. Czasami ją ponosi.

- Już ją kocham.

- Ale z tymi snami to jednak dziwna sprawa. Nie uważasz? - spytałam.

- Cały ten świat jest dziwny, kochanie. Poza tym skąd wiesz, że teraz nie śnisz?

- Jak patrzę na te klify, to też mam wątpliwości - uśmiechnęłam się. - Biegniemy! Trzeba dogonić Klaudię i

Leszka! - rzuciłam hasło i pociągnęłam Wiktora za rękę, który rad nierad też zaczął biec.

Droga do Maski nie była usłana różami, raczej upstrzona zakrętami.

Siedziałam cicho, jedną ręką zasłaniając usta, drugą trzymając się Wiktora. Ręka na ramieniu Wiktora zaciskała się co jakiś czas, zupełnie bez mojego udziału, jakby żyła własnym życiem. Zwłaszcza w momentach, gdy na serpentynie, którą pięliśmy się powoli w górę, pojawiał się jadący z naprzeciwka samochód. Jedynym możliwym miejscem mijania były specjalne zatoczki, bo diabelnie kręta droga była wąska na jeden samochód. A od przepaści dzielił nas tylko niski murek. Czasami taki samochód pojawiał się nagle, tuż za zakrętem, i dostarczał mi dodatkowych wrażeń, a Wiktorowi dodatkowych siniaków.

- Też mi się zachciało Wenecji - mruzczałam do dłoni. Wiktor śmiał się ze mnie pod nosem, ale nic nie mówił.

Klaudia wyczuła mój strach i próbowała odciągnąć moją uwagę od przepaści.

- Zobaczysz, Lenka, widoki w Masce zrekompensują ci całkowicie trud tej podróży. Nie będziesz żałować.

- Dobrze, że nie wybraliśmy się na Gomerę. Tam to dopiero jest jazda. Autobusem, który prawie do połowy wystaje nad przepaść, żeby wziąć zakręt. Baby kwiczą, latają po autobusie. Cyrk na kółkach - mówił rozbawiony Leszek.

- Gomera to też wyspa kanaryjska, dużo mniejsza i bardziej zielona - tłumaczyła zaraz Klaudia. - Trzydzieści minut jazdy promem od Teneryfy. Ale piękna, magiczna. Bardzo górzysta. Góry wyglądają, jakby były zrobione z zielonego pluszu. Dużo mniej hoteli i komercji - opowiadała Klaudia. - Tylko trochę chłodniej niż na Teneryfie. Więcej opadów i chmur.

Po jakimś czasie, gdy mój błędnik oswoił się trochę z ciągłym bujaniem, a przepaść stała się normalnym elementem krajobrazu, odsłoniłam usta i puściłam biednego Wiktora, któremu pewnie ustawało już krążenie w ręce.

Mrugnął do mnie.

- Już dobrze?

- Cały czas było dobrze - powiedziałam z godnością, próbując zatuszować swoje panikarstwo. - Tylko było mi trochę niedobrze - powiedziałam i zaczęłam się śmiać z ułomności własnej logiki. A ponieważ śmiech jest zaraźliwy, za chwilę chichotali wszyscy. I w takiej wesołej atmosferze dojechaliśmy do celu.

- Jak tu pięknie - powtarzałam co chwila, patrząc na kolorowe, ukwiecone domki, obok których rosły wysokie daktylowe palmy.

Maleńką osadę otulały potężne, zielonobrunatne góry, pomiędzy którymi przebiegał wąwóz prowadzący aż do oceanu. Wybraliśmy się na spacer po osadzie. Dotykałam skórzaste agawy i delikatne żółte kwiatki kolczastej opuncji. Były tu sklepiki z ceramiką, biżuterią i innymi pamiątkami. Były też bary urządzone w zwykłych, małych domkach. Prosty wystrój, ale za to jakie widoki z panoramicznego okna. Weszliśmy do jednego z nich. Zwabił nas sokami robionymi ze świeżych owoców. Naprawdę były pyszne. Piliśmy i kontemplowaliśmy widoki ukwieconych gór.

- Dobry wybór, kochanie - uśmiechnął się do mnie Wiktor - piękne miejsce.

„Teraz jeszcze trzeba wrócić” - pomyślałam z drżeniem serca, próbując odwzajemnić uśmiech.

Ale nie pojechaliśmy wprost do hotelu. Leszek zabrał nas jeszcze na czarną jak heban plażę.

- O takim właśnie marzyła - stwierdził Wiktor, gdy zobaczył czarny, mialki piasek. - No, kładź się, Lena, zakopię cię.

Klaudia i Leszek spojrzeli na nas nieco zszokowani.

- Chcesz ją pogrzebać żywcem? - zainteresował się Leszek. - Czy ochronić przed kolejnym poparzeniem słonecznym?

- A nie może być jedno i drugie za jednym zamachem? - odpowiedział rozbawiony,

W piasku tuż obok nas bawiła się dwójka jasnowłosych dzieci. Obserwowałam, jak chłopiec zawzięcie kopał dół. Dziewczynka pracowicie nosiła wodę w wiaderku. Oboje wysmarowani na czarno nawet na słodkich twarzyczkach.

- Nie możesz mieć dzieci - powiedziała szeptem Klaudia, która przysunęła się bardzo blisko mnie.

Spojrzałam na nią zdziwiona.

- Skąd wiesz? Tego ci chyba nie mówiłam. Albo nie pamiętam.

- Osoba, która z taką czułością patrzy na dzieciaki, już dawno by sobie sprawiła przynajmniej jednego.

- OK, rozszyfrowałaś mnie. Jak stwierdził lekarz, wypstrykałam się z jajeczek - powiedziałam smutno, patrząc na ocean.

- A adopcja, Lenka? Myślałaś o tym? Trwa trochę, to prawda.

- A czy niezamężna kobieta może u nas adoptować dziecko? Teoretycznie tak. Praktycznie, zapomnij.

- Co tak szepczecie, babki? - zainteresował się Leszek.

- A nic, tak sobie rozmawiamy, o życiu.

Wieczorem zadzwonił Marek.

- Hej, Lenka! Wracaj spokojnie. Chojnicki jest jeszcze w szpitalu psychiatrycznym. Jego stan się nagle pogorszył.

- No, cześć! Myślałam, że już wyszedł, bo dzwonił do rodziców.

- Pewnie dzwonił ze szpitala. Ma do tego prawo. Musisz ich ostrzec - mówił zaniepokojony.

- Już to zrobiłam. To znaczy dopiero.

- Jak wyjazd? Udany?

- Bardzo. Dziękuję. Jest super - mówiłam zachwycona.

- Na niedzielę wyjeżdżam z miasta. Ale w niedzielę na pewno go nie wypiszą. Może spotkamy się w poniedziałek? - spytał.

- Zdzwoniemy się, OK?

- Trzymaj się, Lenka. Będę cię informować, jeśli coś się zmieni.

- OK. Dzięki. Pa!

- Chojnicki jest jeszcze w szpitalu - powiedziałam do Wiktora. - Marek dzwonił.

- Tak czy siak, zaraz po powrocie idziemy na policję. Zaczęliśmy się powoli pakować.

- Lenka - Wiktor przygarnął mnie do siebie. - Co z nami będzie? Zamieszkasz ze mną w Paryżu? - intensywnie wpatrywał się w moje oczy.

- Ja w Paryżu? Ja nawet nie znam francuskiego. A co z moją pracą? - spuściłam na chwilę wzrok.

- Zamieszkaż ze mną na razie, chociaż na miesiąc - patrzył błagalnie. - Poznasz mojego synka. Obiecałaś mi pomóc. Pamiętasz?

- Daj mi trochę czasu. Muszę sobie to wszystko poukładać.

- Kocham cię - zapewniał z całą mocą.

Obdarzyłam go ciepłym uśmiechem. Ale słowo „kocham” nie mogło mi przejść przez usta.

- Dziękuję ci za ten czas - powiedziałam po chwili. - Było wspaniale.

- Nie, Lenka. To ja tobie dziękuję. Wiem, że ciągle mi nie ufasz. Rozumiem to. Ale cieszę się, że tak zbliżyliśmy się do ciebie. Cieszę się, że na to pozwoliłaś.

Zeszliśmy do baru i dołączyliśmy do Klaudii i Leszka, którzy już siedzieli przy stoliku.

- Jak samopoczucie przed jutrzejszą podróżą? - zagadnął Leszek.

- Daj spokój. To dopiero jutro. Dzisiaj się jeszcze bawimy. Idziemy tańczyć - tym razem rządy przejęła Klaudia.

Szaleliśmy przy szybkiej muzyce, gdy nagle podszedł do nas kelner i powiedział coś do ucha Wiktora. Ten zaskoczony spojrzał we wskazywanym kierunku. Na brzegu parkietu stał chłopiec, a za nim znajomy krępy mężczyzna i czarnowłosa kobieta.

- Chodź, Lenka - powiedział Wiktor. - Chyba mamy gości. Podeszliśmy do nich. Patrzyłam na chłopca. Nie poznałabym go. Błysk w brązowych oczach, zawadiacki uśmiech. Wyciągnął rękę do Wiktora i powiedział coś z uśmiechem po hiszpańsku. Wiktor porwał go w objęcia.

- Podziękował mi za uratowanie życia - powiedział do mnie wzruszony i mocno przytulił chłopca.

Rozdział 5

Zaraz po wylądowaniu zadzwoniłam do rodziców, żeby ich uspokoić, że wróciłam cała i zdrowa. Leszek odwiózł nas do domu. To znaczy do wynajmowanego przeze mnie mieszkanca, które teraz wydało mi się jeszcze mniejsze.

- Lenka - zaczął Wiktor. - Jutro wieczorem mam lot do Paryża. Muszę wracać, i tak cudem dostałem ten tygodniowy urlop. Po prostu go wyzebrałem. Leć ze mną!

- Przylecę do ciebie - obiecałam. - Na pewno. Ale daj mi ochłonąć i pomyśleć.

- Wiedziałem, że się nie zgodzisz. Ale zawsze warto spróbować - posmutniał. - Jeśli chcesz, jutro mogę obejrzeć obrazy tego kucharza - zaproponował. - Ale pod warunkiem, że zaliczymy też wizytę na komisariacie.

- Dobrze. Zgoda. Widzisz, jaka jestem ugodowa? - powiedziałam z uśmiechem.

„Zadzwonię do niego” - pomyślałam i poszłam szukać karteczki z numerem. Grzebałam po kieszeniach płaszcza.

- Jest! - wykrzyknęłam zadowolona, gdy natrafiłam na świstek z rzędem cyferek.

- Co masz? - spytał Wiktor.

- Numer do malarzo - kucharza. Zadzwonię do niego. Wystukałam numerki na komórce. Odebrała kobieta.

- Dzień dobry, czy ja mogę prosić pana Janka do telefonu? - zaczęłam uprzejmie.

- To pomyłka - odpowiedziała kobieta. - Chociaż właściwie to nie pomyłka. To zrządenie losu. Wyczuwam niebezpieczeństwo i strach - mówiła spokojnym, niskim głosem. - Proszę do mnie jak najszybciej przyjść. Zła energia została już uwolniona. Ale jeszcze nie jest za późno. Spróbujemy temu zaradzić.

Słuchałam zdumiona. Nagle olśniło mnie. Szybko odtworzyłam wydarzenia sprzed tygodnia. W kieszeni

płaszczka były dwie karteczki z numerami. Jeden dostałam od Janka, drugi wsunęła mi kosmetyczka. I był to telefon do... wróżki.

- Ale gdzie miałabym przyjść? - pytałam trochę zbita z tropu.

- Kwiatowa 5. Nazywam się Ailia. Proszę się pospieszyć. Zegar tyka, również tam, w szpitalu, gdzie czas i myśli płyną zupełnie innym torem. Teraz lub potem - dodała na koniec.

Musiałam mieć niewyraźną minę, bo Wiktor patrzył na mnie zaniepokojony.

- Co się stało? Gdzie on ci kazał przyjść?

- Nie, to nie on. To była pomyłka. Odebrała... wróżka. Całkiem zwariowana. Podała mi swój adres.

Zaczęłam analizować, co usłyszałam. „Dlaczego powiedziała o szpitalu?” - rozmyślałam. „Chojnicki jest w szpitalu”. Myśli kłębiły się w mojej głowie. „Przecież nie polecę do jakiejś wróżki. Ja nie wierzę w takie rzeczy. Chciała mnie nastraszyć i wyciągnąć pieniądze”. Zaczęłam dalej grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu właściwego numeru. Znalazłam. Tym razem odebrał Jan. Był trochę zaskoczony moim telefonem, ale pamiętał mnie. Wyjaśniłam, o co chodzi. Umówiliśmy się na niedzielę, wcześniej rano. Tylko ten termin wchodził w grę. Podał mi swój adres.

- Załatwione - uśmiechnęłam się do Wiktora. - Jutro obejrzysz jego prace. A ja zlecę mu namalowanie obrazu.

- A co chcesz, żeby ci namalował? Czeka, czeka. Niech zgadnę. Mój portret?

- Nie. Wystarczy mi twoje zdjęcie. Jutro się dowiesz.

- Coś masz za dużo tych tajemnic przede mną - uśmiechnął się.

Zadzwoił telefon. Spojrzałam na wyświetlacz.

- Mama już się stęskniła - powiedziałam do Wiktora.

- Lenka. Bo jak sobie właśnie pomyślałam, że wy przecież z panem Wiktorem nie macie tam co jeść. Przyjdźcie do nas na kolację.

- Dziękuję za zaproszenie, mamó. Ale muszę porozmawiać z Wiktorem. Nie wiem, czy...

- Ja chętnie - do rozmowy wtrącił się Wiktor.

- No widzisz - mówiła zadowolona. - Czekamy.

- Nie wiesz, w co się pakujesz - powiedziałam ze śmiechem, szykując się do wyjścia. - Mama przepytła cię ze wszystkich snów z ostatniego dziesięciolecia, a tata przeegzaminuje z zasad aerodynamiki. I nie przejmuj się, jak zaczną nas swatać - żartowałam. - Od lat próbują mnie wydać za męża.

Wiktor zaczął się śmiać.

- Będzie ciekawie, bo teraz im się uda - powiedział zadowolony, wiążąc krawat.

Popatrzyłam na niego podejrzliwie.

- No, no, żadnych paktów za moimi plecami.

- Kochanie, jeszcze dziś poproszę twojego ojca o rękę.

- O, na pewno zostaniesz przyjęty. Ale z nim się nie ożenisz. Zajęty - chichotałam, malując rzęsy.

- Nie śmieję się ze mnie. O twoją rękę - poprawił się.

- Mama jest tak zdesperowana, że gotowa mi ją urwać i podać ci na srebrnej tacy, żeby tylko zobaczyć mnie na ślubnym kobiercu.

- Nie bój się. Nikomu nie dam naruszyć twojej całości cielesnej.

- No już, wychodzimy - komenderowałam.

Drzwi otworzyła mama. Wystrojona i wymalowana jak na wesele. Tata na szczęście bez makijażu, ale pod krawatem. „Pewnie siłą mu założyła” - pomyślałam. Przywitaliśmy się wylewnie. Wiktor wręczył mamie kupione po drodze kwiaty, ja upominki z Teneryfy.

- Ale przystojniacha - szepnęła mi do ucha.
- Niestety - odpowiedziałam. Usiedliśmy przy stole.
- Panie Wiktorze - zaczęła mama.
- Wiktorze, proszę mi mówić po imieniu - popatrzył z uśmiechem na rodziców.

- Wiktorze - kontynuowała mama. - Jest nam bardzo miło, że możemy pana, to znaczy ciebie, gościć. Proszę się częstować.

- Dziękuję - odpowiedział z uśmiechem Wiktor i dzielnie zabrał się za wielką golonkę, która nagle znalazła się na jego talerzu.

Spojrzałam na niego z podziwem. Tata nalał wódki. „No tak, dziś staropolska gościnność, a jutro kosmiczny rozstrój żołądka” - pomyślałam. Wznieśliśmy toast za gości. W końcu jakaś kolejność obowiązuje. Podnosiłam kieliszek, ale nie piłam. Nie miałam ochoty na alkohol.

- Podobno jesteś historykiem sztuki - przemówił ojciec. - Czyli tak właściwie to co robisz? Bo wiesz, mi to bliżej do nauki niż do sztuki.

- Głównie wykładam na uczelni - odpowiedział Wiktor.
- Aaa. Czyli budżetówka. To zarobki raczej kiepskie, co?
- Jeszcze książki piszę - dodał szybko Wiktor. - I jak? Można coś z tego wyciągnąć?

- Nie narzekam.

Popatrzyłam przepaszającym wzrokiem na Wiktora.

- Daj spokój, ojciec - wtrąciła się mama. - Za gości - podniosła kolejny kieliszek.

- Nie, teraz za gospodarzy - powiedział Wiktor.

- Wiktoru - zaczęła mama. - Czy ty lubisz dzieci? - Mamo! Co za pytanie! - teraz już musiałam interweniować. - Przecież Wiktor ma synka.

- Mieć dzieci, a lubić dzieci to są dwie różne sprawy. Dzieci pojawiają się na świecie z powodu seksu, ale nie

zawsze z powodu miłości do nich - stwierdziła słodkim głosem.

- Mamo, a co to ma do rzeczy?

- Poczekaj, Lenka. Lubię dzieci. Kocham dzieci - powiedział Wiktor. - Mam jednego syna. Ale byłbym wdzięczny losowi, gdyby było ich więcej.

Poczułam nagły ścisk żołądka.

- To dobrze - stwierdziła zadowolona mama.

- No nie. Czy to jest teleturniej „Sto jeden podchwytliwych pytań do nieszczęsnego kandydata na zięcia”? - zdenerwowałam się. - A jak nie odpowie poprawnie? To co? Wyproście go z domu czy może jak w operze „Turandot” skróćcie o głowę?

- To teraz za gości - ojciec wzniosł kieliszek. - Nie słuchaj jej - szeptał do Wiktora. - Za dużo oper się naoglądała.

- Lenka, nie denerwuj się tak. Wszystko gra - uspakajał Wiktor. - Bardzo smaczne jedzenie - zwrócił się do mamy. - Wódeczka też zmrożona jak należy - kiwał z uznaniem głową w stronę taty.

Rozmowa potoczyła się na bardziej neutralne tematy. Opowiadaliśmy o naszym pobycie na Teneryfie. Pokazałam im trochę zdjęć na laptopie. Zachwycili się kanaryjskimi krajobrazami. Gdy na ekranie komputera pojawiło się zdjęcie, na którym Wiktor trzymał mnie na rękach tuż po ataku podstępnej jaszczurki, mama uśmiechnęła się zadowolona.

- Jak pięknie wyglądacie - mówiła rozmarzona. Pewnie w wyobraźni dołożyła mi białą sukienkę, Wiktorowi elegancki garnitur, a wulkaniczny krajobraz zamieniła na dom młodej pary, którego próg właśnie przekraczamy.

- Nie przywiązuj się tak, mamusiu, do tego widoku - przerzuciłam slajd.

- Dlaczego nie? - zaczął Wiktor, chwytając mnie za rękę. Domyślając się, do czego to zmierza, zmarszczyłam czoło i posłałam mu piorunujące spojrzenie.

- Proszę się nie martwić - kontynuował niezrażony Wiktor - nasz ślub to tylko kwestia czasu. Jeszcze doczekacie się gromadki wnuków - wypalił, aż skuliłam się na krześle, czując, jakbym dostała serię z karabinu prosto w brzuch.

Mama z zadowolenia aż klasnęła w ręce.

- Mówiłam! Trzeba to oblać. Masz nasze błogosławieństwo, Wiktorku.

Następnego dnia wstaliśmy wcześniej i pojechaliśmy pod wskazany adres. Jan wraz z mamą i młodszą siostrą mieszkali w starej, bardzo podupadłej kamienicy. Trochę zawstydzony warunkami, w jakich przyjmuje gości, zaprowadził nas do swojej małej pracowni. Panował w niej artystyczny, kolorowy nieład. Powietrze przesycone zapachem farb i chemikaliów, przyprawiało o lekki zawrót głowy. Wiktor z uwagą oglądał prace. Dotykał płócien.

- Chciałby pan zrobić wystawę swoich obrazów w Paryżu? - zagadnął w końcu.

Młody mężczyzna aż usiadł z wrażenia na rozwalającym się krzeselku.

- W Paryżu? Tym we Francji? - dopytywał. - To nie żarty?

- Musiałby pan wziąć się ostro do roboty i stworzyć więcej prac. Widzę tu talent. Zarekomenduję pana obrazy. Ma pan dużą szansę dostać się na wystawę młodych twórców w Paryżu. Ale czasu jest niewiele. Wszystko trzeba przygotować do końca maja. Więc jak?

- Oczywiście. Jasne. Będę malował do utraty tchu! - wykrzyknął z entuzjazmem.

- W przyszłym tygodniu porozmawiam w pana sprawie. I dam znać co i jak.

- A ja mam dla pana zlecenie na nowy obraz - uśmiechnęłam się i pokazałam zdjęcia bazaltowej maczugi, które zrobiłam na Teneryfie. - Czy jest pan w stanie namalować taki krajobraz na podstawie zdjęć?

- Tak, myślę, że tak - mówił oszołomiony. Porozmawialiśmy jeszcze chwilę.

- Będziemy w kontakcie - zapewniłam. - Powodzenia! Wyszliśmy na świeże wiosenne powietrze.

- I jak, rzeczywiście ma talent, czy tylko nie chciałeś go urazić? - zagadnęłam.

- Wiesz, sam talent to mało. Prawdziwy artysta musi przemawiać obrazami, musi pokazać w nich jakieś nowe, świeże spojrzenie na świat. Tu nie chodzi o ładne widoczki. Obraz ma wywoływać emocje. Jan jest młody, ale widać, że ma olbrzymią wyobraźnię. A tak właściwie dlaczego chcesz mu pomóc?

- A dlaczego nie? To dobry, skromny chłopak i ma talent. Brakuje mu wsparcia i zachęty. Resztę osiągnie sam.

- Ach, ty moja filantropko - Wiktor przygarnął mnie do siebie. - Teraz idziemy na komendę. Nie ma gadania.

- Ale zastanów się. Co ja im powiem? - próbowałam się z tego wymigać.

- Prawdę, kochanie.

- Pójdę w poniedziałek. Nie psujmy sobie tej niedzieli. Ja nie cierpię komisariatów.

- Ale jutro pójdziesz? Obiecujesz? - Wiktor kapitulował.

- Pójdę. Na pewno.

Wsiedliśmy w samochód i ruszyliśmy w stronę domu.

- Nasze dzieci też będą niezwykle utalentowane - Wiktor złapał mnie za udo.

Odsunęłam się jak oparzona. Spojrzał zdziwiony, ale nie powiedział. Weszliśmy do mieszkania. Wiktor zaczął przeglądać swoje maile. A ja pograżyłam się w rozmyślaniach. „Dzieci - myślałam - dzieci, których nigdy nie będzie”. Przypomniała mi się rozmowa z poprzedniego wieczoru i coraz bardziej ogarniało mnie zwątpienie. „Wiktor potrzebuje innej kobiety - myślałam. On chce mieć więcej dzieci. A ja... Cudów nie ma. Przecież mu ich nie dam. Zostawi mnie prędzej czy później. Lepiej będzie jak...”

- Co się tak zamyśliłaś? - usłyszałam nagle głos Wiktora.

- Wiktor, musimy poważnie porozmawiać - zaczęłam.

- Ojej, już się boję - uśmiechnął się.

- To poważna sprawa. Myślę, że nie powinniśmy być razem - wypaliłam.

Jego uśmiech powoli gasł, aż zamienił się w zdumienie. - Ale możemy zostać przyjaciółmi - dodałam zaraz. - Wiesz, ja chyba nie dam rady.

- Nie możesz mnie pokochać, rozumiem - powiedział cicho. - W końcu ja też nie umiałem pokochać żony, matki swojego dziecka. Rozbiłem rodzinę. Spieprzyłem dzieciństwo synka. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Zło wprowadzone w obieg powraca ze zdwojoną mocą.

Słuchałam zaskoczona, nie mogąc wydusić z siebie słowa. I w tym momencie zadzwonił telefon, jego telefon. Odebrał i na jego twarzy najpierw pojawiło się zdziwienie. A zaraz potem przerażenie, paniczny, dziki strach. Ale najgorsze było to, że milczał. Jego oczy zrobiły się puste, a twarz trupio blada.

- Wiktor, co się dzieje? - dopytywałam wystraszona.

- Muszę natychmiast wracać do Paryża. Nie mogę o tym rozmawiać - powiedział cicho. - Proszę, zamów mi taksówkę. Jadę na lotnisko.

- Odwiozę cię - zaczęłam się ubierać.

- Nie - powiedział bardzo kategorycznie. - Zamknij dobrze drzwi i uważaj na siebie. Zadzwoń, jak będę mógł.

Pocałował mnie mocno w usta.

Zostałam sama i dygotałam jak liść na wietrze. Czułam, że stało się coś bardzo niedobrego. Miałam wyrzuty sumienia, że rozstaliśmy się w ten sposób. Uszła ze mnie cała energia i padłam na kanapę bezwładna jak szmaciana lalka. Zrobiło mi się słabo. Nie wiem, czy zemdlałam czy zasnęłam, ale kiedy się ocknęłam, był wieczór, a głowę rozsadzało mi jakieś dzwonienie. Co tak dzwoni? Minęło parę chwil, nim zorientowałam się, że to dzwonek do drzwi. Zupełnie skołowana zaczęłam skradać się po ciemku w kierunku wejścia. Dzwonek zamilkł. Zastygłam w bezruchu, żeby nie robić hałasu. Wtedy odezwał się na nowo. „A może to po prostu Wiktor wrócił. Pewnie zaszła jakaś pomyłka” - pomyślałam z ulgą i rozpromieniona otwarłam drzwi. To był... Chojnicki!!!

- Witaj, kochanie - powiedział jakimś sadystycznym głosem. - To miło, że tak ucieszyłaś się na mój widok.

Chciałam szybko zatrzaskać drzwi, ale nie mogłam. Spojrzałam w dół. Wcisnął swój bucior pomiędzy drzwi a framugę. Pchnął mnie i wtoczył się do środka. Zaczęłam w panice szukać komórki.

- Nie radzę - usłyszałam pewny siebie ton.

Spojrzałam na niego. Trzymał pistolet. Wycelowany prosto we mnie, czarny śmiercionośny przedmiot. Skuliłam się przerażona. Całe życie mignęło mi przed oczami. „Dobrze, że nie mam dzieci - do głowy napływały absurdalne myśli. Ale rodzice. Zostaną sami. Przyjaciółki. Wiktor. Nie zdążyłam mu niczego wyjaśnić. Nie zdążyłam powiedzieć mu, że go kocham”.

- Nie zrobię ci krzywdy - Chojnicki przerwał ten galop. - Nie zrobię ci krzywdy, jeśli będziesz grzeczna - dodał, potrząsając pistoletem.

- Czego ode mnie chcesz, ty, ty... potworze? - mówiłam przez łzy.

- Dlaczego zaraz „potworze”? Mów do mnie: Staszku. Jak dawniej, pamiętasz? Staszek i Ewa. Zakochani na śmierć.

Drgnęłam.

- Zabiłeś ją. Morderco!

- Stul pysk! Nie pozwalaj sobie. Odwołałem stąd twojego kochasia i mam nadzieję, że już się koło ciebie nie będzie kręcić. Niech lepiej się zajmie swoją rodziną.

- Co ty mu zrobiłeś? Co im zrobiłeś? - zaczęłam się trząść i płakać.

- Jeszcze nic. Ciii. To tajemnica. I radzę nie robić żadnych pochopnych ruchów, bo wtedy na pewno coś złego się wydarzy. Może jemu, może twoim rodzicom. No, to teraz grzecznie pójdziesz ze mną do samochodu. Nie radzę uciekać. Pamiętaj o bliskich.

Chwycił mnie pod ramię i siłą wyciągnął z mieszkania. Byłam zupełnie bezwładna. Nawet gdybym mogła, nie byłam w stanie uciekać. Wpakował mnie do jakiegoś starego samochodu na miejsce dla kierowcy i kazał prowadzić. Kluczyliśmy po mieście. Stanowczym głosem wydawał krótkie polecenia.

- Dlaczego oni cię wypuścili? - myślałam na głos.

- Zaraz tam wypuścili. Sam wyszedłem. Chcieli ze mnie czubka zrobić. I tak długo się męczyłem z tymi wariatami. Myśleli, że Chojnickiego zatrzymają - zaczął rechotać.

Zadzwoiła jego komórka.

- Rób, co ci kazałem - mówił podniesionym głosem. - Z bachorem sobie nie umiesz poradzić?!

- Błagam cię, Staszek, nie rób im krzywdy - przerażona, zaczęłam grać w jego grę.

Spojrzał na mnie zadowolony.

- Wypuść ich, a ja zrobię, co zechcesz - mówiłam łagodnym głosem. - Przecież kochasz swoją Ewę, prawda? - popatrzyłam mu w oczy. „Muszę wziąć się w garść, dla Wiktora i jego dziecka” - myślałam.

- No, nie za ostro tam z nim - powiedział do telefonu. - Nie rób mu krzywdy, Rudy.

- Gawędziarz jeden - zamruczał pod nosem. - Wybrał ksywkę Rudy. Chociaż wcale nie jest rudy - zarechotał.

- Gdzie jedziemy? - spytałam spokojnie, wszystkimi siłami próbując ukryć strach.

- To niespodzianka - odpowiedział zadowolony.

- A może pojechalibyśmy do twojego nowego domu? Zabrałeś się w końcu za wykończeniówkę według mojego projektu? - próbowałam ściągnąć go w miejsce, gdzie mogłaby namierzyć go policja. Bo miałam nadzieję, że już go szukają.

Popatrzył na mnie, aż mnie ciarki przeszły.

- Nie kombinuj, Lena. Nie dam się nabrać - zasyczał. - Pojedziemy w miejsce, gdzie nas nie znajdą.

- Oczywiście, gdzie tylko zechcesz, Staszku - próbowałam załagodzić.

Wjechaliśmy na osiedle domów gdzieś na obrzeżach miasta. Nigdy wcześniej tam nie byłam. Większość domów była jeszcze w budowie. W kilku paliły się światła. Pojechaliśmy na sam koniec osiedla. Droga skończyła się. Dalej był już tylko las. Zatrzymałam samochód. Dopadły mnie czarne myśli. Zginę ciemną nocą w czarnym lesie. Jak w najgorszym koszmarze. Przypomniało mi się straszne zdarzenie z dzieciństwa, gdy zabłądziłam w lesie i tułałam się po nim, aż zapadł zmrok. Przerażona jak zaszczute

zwierzątko, zapłakana, zasikana i brudna, leżałam skulona na mchu, oczekując na najgorsze. Drzewa przybierały postać wiedźm i sięgały po mnie długimi, krogulczymi łapami. Myślałam wtedy, że to koniec.

- Wsiadaj - usłyszałam nagle rozkazujący ton, aż podskoczyłam na siedzeniu.

Nie ruszyłam się z miejsca. Strach sparaliżował wszystkie moje kończyny.

- Ewciu, nie bądź niemądra. Wsiądź, proszę - powiedział miękkim głosem.

- Ale tutaj? - głos mi drżał.

- Tutaj nikt nas nie znajdzie. Będziemy mogli ze spokojem dopełnić ceremoniału. Nikt nam nie przeszkodzi. Nie bój się. Już ci wybaczyłem.

Wsiadłam. Spojrzałam na las.

- No, chodź - pociągnął mnie za rękę w stronę domów.

Odetchnęłam z ulgą. Byłam mu prawie wdzięczna, że nie ma zamiaru zawlec mnie w ciemną gęstwinę drzew. Szliśmy spory kawałek drogą. Rozglądałam się wkoło w poszukiwaniu jakiegoś człowieka, jakiegoś ratunku. Ale osiedle było jak wymarłe. Weszliśmy do jednego z domów. Okna szczelnie zasłaniały zewnętrzne rolety. W środku panowały egipskie ciemności. Zapalił światło i... oniemiałam. Dom urządony był dokładnie według projektu, który dla niego stworzyłam. „Planował to wszystko od dawna” - pomyślałam przerażona. Bezwiednie wróciłam myślami do momentu, kiedy poznałam Chojnickiego. To było jakieś trzy miesiące temu. Zadzwoił do mnie. Mówił, że z polecenia, że mój numer dostał od jednego z moich klientów, bardzo zadowolonego z projektu. Nie wymienił nazwiska - przeglądałam wszystkie zakamarki umysłu w poszukiwaniu najdrobniejszych nawet szczegółów naszej znajomości.

- Pięknie to urządziłaś - usłyszałam nagle jego głos. -
Widzę, że nie spodziewałaś się takiego efektu.

- Jest idealnie - zapewniłam. - Czuję się jak w domu -
dodałam z uśmiechem, kombinując, że jeśli będę uległa, może
uda mi się jakoś wyjść z tego cało. „Przecież zaczną mnie
szukać. Mama na pewno zrobi alarm. Marek... Właśnie, co się
z nim dzieje? Miał trzymać rękę na pulsie. Widocznie sam
został zaskoczony. Ale już na pewno wie, co się stało, i
znajdzie sposób, żeby mnie uwolnić. Żeby tylko Wiktorowi i
jego bliskim nic się stało. Co on chce z nimi zrobić?”

- Na pewno jesteś głodna - powiedział troskliwie. - A ja
jestem na to przygotowany - zarechotał zadowolony sam z
siebie.

Weszliśmy do jadalni. Na stole stało wykwintne jedzenie.
Zapalił świece. Mdlilo mnie na samą myśl, że mam tu
cokolwiek zjeść. Z drugiej strony pomyślałam sobie, że dawno
już nie jadłam. „Nie mogę teraz opaść z sił. Muszę być czujna
i mieć bystry umysł. Ale jeśli on chce mnie otruć?”

- Czy mogę się trochę odświeżyć? - spytałam cicho.

- Oczywiście. Czuj się jak u siebie. Bo jesteś u siebie -
odpowiedział z uśmiechem, który za chwilę zmienił się w
upiorny grymas. - Tylko nie próbuj opuszczać tego miejsca.
Bo na zewnątrz jest baaardzo niebezpiecznie.

Do łazienki trafiłam bezbłędnie. Plan tego domu miałam w
głowie od dawna. Zamknęłam się od środka. Puściłam wodę
do pięknej błękitnej wanny, którą sama wymyśliłam.
Spojrzałam w lustro, którego kształt zaprojektowałam. Jestem
uwięziona we własnej wyobraźni. Czy to jakiś psychodeliczny
sen? Zaczęłam płakać. „Co on chce ze mną zrobić? O jakim
rytuale mówi? Kamieniowania niewiernej czy upuszczania
krwi opętanej?” Przypomniały mi się słowa kobiety, do której
omyłkowo zadzwoniłam: „Proszę do mnie jak najszybciej
przyjść... Zła energia została już uwolniona”.

- Wszystko w porządku? Nie zaśnij w wannie. Czekam na ciebie - na dźwięk jego głosu dostawałam dreszczy.

- Lena, weź się w garść. Nie jesteś Ewą. Nie dasz się wykończyć - zagrzewałam sama siebie do walki. Bardzo nierównej walki. - Nie mam zamiaru się tu kąpać - mruczałam do siebie. Umyłam tylko ręce i twarz. Zakreśliłam wodę. „Gdybym poczekała, aż zaśnie, a potem wykradła mu kluczyki od samochodu - zaczęłam obmyślać plan. Albo gdybym chociaż dorwała się do jakiegoś telefonu. Nie wiem, gdzie jestem. Nie znam adresu. Nie pamiętam drogi. Było ciemno i zakreśliliśmy milion razy”.

- Chodź w końcu. Ile można czekać!! - wrzasnęła. Wyszłam ze sztucznym uśmiechem na twarzy.

- No, bo już myślałem, że się źle poczułaś - powiedział ze sztuczną troską. - W twoim stanie trzeba uważać - dodał.

Zastygłam bez ruchu. Ewa była w ciąży?! Z tym potworem? Patrzyłam, jak łapczywie pochłania jedzenie i robiło mi się niedobrze. Ale przyklejony uśmiech nie schodził z mojej twarzy. Zmusiłam się do jedzenia. „Skoro on je, to chyba jedzenie jest czyste.”

- Późno się zrobiło - stwierdził. - Czas spać. Chodź, przygotowałem dla ciebie sypialnię - wskazał ręką na schody. - Panie przodem.

W ostatniej chwili, niepostrzeżenie zgarnęłam ze stołu nóż i ukryłam go pod bluzką. Szłam na górę jak na skazanie. „Teraz rzuci się na mnie” - myślałam z obrzydzeniem. Ale tak łatwo mu nie pójdzie. Dotknęłam kojącego swym zimnem, ukrytego kawałka metalu. Piętro również było urządzone zgodnie z moim projektem. Salon, a z niego wejścia do czterech pokojów. Wszystkie drzwi były zamknięte z wyjątkiem jednych. Pchnął mnie w ich stronę. Weszłam do środka. Wszystko wyglądało tak jak się spodziewałam, poza jedną rzeczą. Na drzwiach szafy wisiała długa, biała,

koronkowa suknia ślubna. Identyczna jak ta, którą podziwiałam w Paryżu na Champs - Elysees. Stałam i patrzyłam zdumiona, podczas gdy za mną z hukiem zamknęły się drzwi. Usłyszałam zgrzyt przekręcanych na zewnątrz kluczy.

- Śpij dobrze, kochanie - mówił przez drzwi. - Jutro wielki dzień. Aha, i nie martw się. Na pewno nikt nam nie przeszkodzi. Zatarłem wszelkie ślady. Jutro będziesz w końcu moja.

Rozejrzałam się po pokoju. Zadbał o wszystko. Na stoliku leżały owoce, jakieś przekąski. Obok stały pudełka z moim ulubionym grejfrutowym sokiem. W łazience, do której wchodziło się wprost z sypialni, roіło się od różnych flakonów i pudełek z kremami. „On wie nawet, jakich kosmetyków używam” - pomyślałam zdumiona. Umyłam się i w ubraniu weszłam do łóżka. Na białej pościeli leżała różowa, jedwabna koszula nocna. Nie miałam zamiaru jej wkładać. Bałam się, że wejdzie do pokoju, gdy będę spała. Czuwałam więc i rozmyślałam.

Podeszłam do okien. Zakryte pancernymi żaluzjami. Szukałam włącznika, żeby je podnieść. Ale w tym pokoju nie było żadnego włącznika. Obadałam drzwi. Nie do ruszenia. Zamontował jakieś straszne zamki. „Tym nożykiem nic nie zdziałam. Pokój - więzienie” - myślałam.

Zaczełam oglądać suknię. Sprowadzona z Paryża. „Czyżby Marek dostarczał mu aż tak szczegółowej informacji o moim pobycie we Francji? - poczułam się oszukana. Może on nadal współpracuje z tym potworem? Może nabierał mnie, że skończył pracę dla niego, żeby łatwiej było mnie podejść, żebym nie poszła na policję i zaufała mu, a tak naprawdę szykowali plan porwania mnie? A ja głupia wzruszyłam się, kiedy opowiadał o swojej córce”. Narastała we mnie złość. Zaczełam walić w drzwi.

- Skąd masz tę suknię, mów!! - krzyczałam jak oszalała, nie zważając na nic.

Musiał być blisko, bo już za chwilę stał pod drzwiami.

- Uspokój się. Przecież taka ci się podobała, prawda?

- Ale skąd o tym wiesz?! Kto ci doniósł? Mów!

- A co to ma za znaczenie? Uspokój się! - krzyknął i otworzył drzwi.

- Marek Leszczyński, prawda? To on ci pomaga? Ile kasy mu zaproponowałeś, żeby uczestniczył w tym chorym koszmarze?

- Jaki znowu Marek Leszczyński? Masz kolejnego gacha? Mów, dziwko! - złapał mnie za szyję. - Podobno niejeden łaził za tobą po Paryżu.

- Twoje dziecko - szeptałam przerażona, próbując się ratować, wskazywałam na brzuch.

- Ten bękart?! - krzyczał. - Masz mnie za wariata?! Przecież jeszcze nie było nocy poślubnej!

Patrzyłam przerażona, próbując łapać oddech. Nagle jego ręce rozluźniły się.

- Nie popełniamy tych samych błędów - jego ton zmienił się na łagodny. - Wybaczylem ci. I zostaniesz moją żoną.

Kupiłem ci wymarzoną suknię. Jutro ją włożysz i złożymy sobie przysięgę małżeńską. Mam obrączki, które wybraliśmy razem.

- A co będzie potem? - zachrypiałam.

- Kładź się w końcu - wepchnął mnie do pokoju i znowu przekreślił klucz.

Dopiero teraz poczułam, jak bardzo boli mnie szyja. Spojrzałam w lustro. - Ty nieobliczalna wariatko - mruczałam do siebie, patrząc na czerwone ślady. - Przecież mógł cię udusić. Miałaś grać w jego grę.

„To nie jest jego dziecko. To znaczy to nie było jego dziecko - analizowałam. Może tego przyjaciela, o którym

wspominał Marek. Ten potwór chyba nie zna Marka. Jak to możliwe? Może zna go tylko pod jakimś pseudonimem? Coś mówił o Rudym. Ale ten Rudy przetrzymuje chyba właśnie Wiktora i jego rodzinę. Czyżby Marek był zdolny do czegoś takiego? To straszne, że mu zaufałam. Nic już nie wiem. Chaos, chaos... Muszę poczekać, aż w głowie ułoży mi się jakiś plan. Muszę dać sobie czas".

Nie wiem nawet, kiedy zasnęłam. Śniły mi się jakieś koszmary, ale kiedy się obudziłam spocona i rozdygotana, wcale nie poczułam ulgi. Nie wiedziałam, która jest godzina. Okna były szczelnie zasłonięte. Z zewnątrz nie dochodził żaden hałas. Pewnie śpi. Poszłam do łazienki wziąć prysznic. Spojrzałam w lustro. Ślady na mojej szyi przybrały teraz fioletowy kolor. Miałam podkrążone oczy i dzikie spojrzenie. Nie bałam się tak bardzo o siebie, jak o synka Wiktora. „Muszę coś zrobić - myślałam. Znaleźć jakiś sposób, żeby uwolnił to dziecko. Kto mógłby go nakłonić, żeby je uwolnił? Jak się stąd wydostać? Muszę działać nieracjonalnie. Może to zadziała na wariata". Przypomniałam sobie, co mówił o Chojnickim Marek. „Ma hopla na punkcie przepowiedni" - powtarzałam w myślach i nagle zestawiałam to ze słowami zwariowanej wróżki... „Kwiatowa 5... Proszę się pospieszyć... Teraz lub potem". Ubrałam się i zaczęłam łomotać w drzwi.

- Staszku! Porozmawiajmy. Proszę. Chętnie zostanę twoją żoną. Ta suknia to spełnienie moich marzeń. A ty jesteś najwspanialszym mężczyzną, jakiego znam. Drzwi otworzyły się.

- O czym chcesz rozmawiać? - spytał podejrzliwie.

- Nie uważasz, że powinniśmy pojechać do wróżki? Mam zamiar na taką z prawdziwego zdarzenia. Przecież musimy zasięgnąć jej rady.

- Tak? - spojrzał na mnie z zainteresowaniem. - Tak uważasz?

- Tak - uśmiechnęłam się.
- A po co? - jego oczy świdrowały mnie na wylot.
- No jak to? Przed takim ważnym momentem w życiu.
Przecież zawsze było to dla ciebie bardzo cenne.

Uśmiechnął się szeroko.

- Pamiętasz? Tak, masz rację. Pojedziemy. Jaki to adres?
- Kwiatowa 5 - odpowiedziałam bez wahania. - Wróżka
Ailia.

- Słyszałem o niej. Jej imię w obie strony czyta się tak samo. To ważne - dodał przejęty. - Poczekasz tu, a ja rozejrzę się, czy droga wolna.

- Oczywiście, kochanie - powiedziałam, siląc się na beztroskę. - Musimy być ostrożni. Cii - przyłożyłam palec do ust.

Wyszedł, zamykając drzwi na kilka zamków. Komórkę i broń zabrał ze sobą. „Nawet jeśli wezmę z domu jakieś ostre narzędzie i spróbuję go zaatakować, nie uwolni to zakładników Rudego - zaczęłam gorączkowo szukać jakiegoś ratunku. Nie wiem, jakie tamten dostał polecenia. Nie spytam o to Chojnickiego. Rozwściecza go, kiedy tylko wspomnę o innym mężczyźnie”.

Wsiedliśmy do samochodu. Tym razem on prowadził. Na dworze panowała ciemna noc. Musiałam więc spać bardzo krótko. Trochę kluczyliśmy, ale w końcu dojechaliśmy pod wskazany adres. W oknach domu paliło się światło, jakby Ailia czekała na nas. Zadzwoniliśmy i otworzyła natychmiast. Spodziewałam się rozczochranej, siwej staruszki z krukiem na ramieniu i szklaną kulą w rękach. Tymczasem drzwi otworzyła piękna, czarnowłosa kobieta, ciut może starsza ode mnie.

Popatrzyła głęboko w moje oczy, aż mnie ciarki przeszły. Czulałam, jakby przez chwilę siedziała w mojej głowie. Za to konsekwentnie unikała jego wzroku. Zaprowadziła nas do

pokoju bez okien, którego ściany i sufit pomalowane były na granatowy kolor. Nie było w nim żadnych mebli poza okrągłym stołem z kilkoma krzesłami. Po bokach paliły się przyćmione światła. Na suficie wymalowane były gwiazdozbiory północnego nieba. Usiedliśmy. Dosłownie czułam jej oddziaływanie. Dodawała mi sił i otuchy. Byłam zdumiona tym, co się dzieje. Chociaż tak naprawdę nie działo się przecież nic.

- Co was do mnie sprowadza? - zapytała pewnym głosem.

- Chcemy się pobrać - zaczął mówić. - Wiem, że Ewa jest mi pisana. Nie zaprzeczaj - zasyczał. - Spraw, żeby stała się Ewą, moją Ewą. I nie kombinuj - wyciągnął broń. - Czuję, że chcesz mną manipulować - podniósł głos.

Przeraziłam się. „Naraziłam tę kobietę na niebezpieczeństwo - pomyślałam. Ten wariat może ją zabić”. Ale ona była spokojna.

- Oto twoja Ewa - powiedziała głośno i wskazała w stronę drzwi.

Poczułam się jak świadek aktu stworzenia kobiety. Wszystko było takie surrealistyczne, że zastygłam w bezruchu i z zapartym tchem patrzyłam w miejsce, na które pokazała.

I w drzwiach pojawiła się kobieta. To była... Ewa. Dużo starsza niż na zdjęciu, ale nadal piękna. Teraz byłam pewna, że jednak śnię. Chojnicki z wrażenia wypuścił broń i wtedy do pokoju wpadł Marek z rewolwerem w ręce. Chojnicki sięgał po upuszczony pistolet.

- Synku, uważaj! - krzyknęła Ewa.

- Ręce do góry! - odezwał się stanowczym tonem Marek. Chojnicki już trzymał broń w rękach i mierzył do... Ewy.

Padł strzał. Krzyknęłam przeraźliwie. Patrzyłam z przerażeniem na Ewę. Ale ona nadal stała. Za chwilę na podłogę z łoskotem upadł Chojnicki. Marek doskoczył do niego i sprawdził puls.

- Nie żyje - powiedział sucho.

Zrobiło mi się słabo i niedobrze. Wybiegłam z pokoju, bo czułam, że się tam duszę. Za chwilę pojawiła się przy mnie Ailia. Zaprowadziła mnie do salonu i posadziła na fotelu, a potem podała szklanekę wody.

- Ale on więzi synka Wiktora - zaczęłam płakać.

- Już nie - powiedziała.

Do salonu weszli Marek i Ewa.

- Wezwałem już policję - powiedział.

Ailia podała wszystkim jakiś ciepły ziołowy napój i wyszła.

- To naprawdę pani? - patrzyłam na Ewę. - Pani żyje. Skąd się tu wzięliście? To wszystko jest zupełnie nieprawdopodobne. Ta niesamowita wróżka, która była tu przed chwilą - mówiłam w zupełnym szoku. - Ja nic nie rozumiem. A może ja już jestem na tamtym świecie? Może Chojnicki mnie po prostu otrul.

- Spokojnie, moje dziecko - odezwała się Ewa. - Chojnicki nie zabił ani mnie, ani ciebie. Chociaż próbował. Całe życie ukrywałam się przed nim. Na szczęście miałam dla kogo żyć - posłała uśmiech w stronę Marka.

- Tak. Jestem synem Ewy - przygarnął matkę. - I tylko ze względu na nią do tej pory ukrywałem prawdę. Chojnicki skutecznie ją zastraszył. Wtedy tuż przed ślubem, do którego tak naprawdę próbował ją zmusić, dotkliwie ją pobił. Była w trzecim miesiącu ciąży. Groził, że jeśli pójdzie na policję lub ucieknie, to ją zabije. A wraz z nią jej dziecko. Mój ojciec nie mógł nas chronić. Zginął w wypadku na budowie, zanim jeszcze Ewa poznała Chojnickiego. To była prawdziwa miłość.

- Ale przecież mówiłeś, że przyłapał Ewę w łóżku z przyjacielem.

- Nie wszystko, co ci mówiłem, jest prawdą - powiedział.
- Musiałem osłaniać mamę. Przyrzekłem jej, że nikt nie dowie się, że żyjemy.

- Zdecydowałam się uciekać - mówiła Ewa. - To były zupełnie inne czasy. Rodzice, kiedy dowiedzieli się, że jestem w ciąży, wyrzucili mnie z hukiem z domu. Przygarnął mnie Chojnicki. Myślałam, że znalazłam nowy dom. Ale to było piekło. Nie mogłam pozwolić, żeby moje dziecko żyło w piekle. Wyjechałam na drugi koniec Polski. Tam postarałam się o nowe dokumenty na nazwisko Leszczyńska. Dziecko, które nosiłam w sobie, dodawało mi sił. Przeprowadzałam się jeszcze wiele razy...

Ewa umilkła, pogrążona we wspomnieniach.

- Wybacz, Lena. Ale nie mogłem mówić ci całej prawdy. Chyba rozumiesz... - powiedział Marek.

- Domyślam się, że nie pracowałeś też dla Chojnickiego - powiedziałam.

- Nigdy! On mnie w ogóle nie znał. Od kilku lat, kiedy mama wyznała mi w końcu całą prawdę, przeprowadziłem się i zacząłem interesować się jego życiem. Nie mogłem przeboleć, że żyje sobie jak pączek w maśle, że nigdy nie poniósł żadnych konsekwencji swego czynu, że mama nadal się go obawia - mówił rozgoryczony. - Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, nie wierzyłem oczom. Nie mogłem dopuścić, żeby cały koszmar powtórzył się na nowo. Chociaż niezupełnie mi się to udało - dodał ciszej. - Oszukałem cię, że pracuję dla Chojnickiego, żeby jakoś wytłumaczyć ci powód, dla którego cię śledzę, ale równocześnie chciałem cię w ten sposób przed nim ostrzec. Może to był głupi pomysł. Ale taki przyszedł mi wtedy do głowy. Chciałem ci jakoś pokazać, jaki on jest naprawdę.

- Ale jak tu trafiliście? Skąd wiedzieliście, że tu przyjedziemy.

- Nie wiedzieliśmy - odpowiedziała Ewa. - Marek przyjechał do mnie wczoraj. Opowiedział mi o tobie. W międzyczasie dostał telefon od pana Wiktora.

- Od Wiktora? - zdziwiłam się.

- Tak, dzwonił z jakiegoś telefonu na lotnisku. W tle słyszałem zapowiedzi lotów. Powiedział, że grozi ci niebezpieczeństwo, i prosił o pomoc. Potem się rozłączył - wyjaśnił Marek. - Wtedy w Paryżu na komisariacie dałem mu mój numer telefonu, tak na wszelki wypadek. Po jego telefonie od razu postanowiłem jechać do ciebie.

- A ja chciałam jechać z Markiem - wtrąciła się Ewa. - Zmierzyć się w końcu z demonami przeszłości. Spojrzeć mu w oczy i powiedzieć, że żyję - zamilkła na moment. - Byliśmy w twoim mieszkaniu. Było otwarte i puste.

- Zastanawiałem się, gdzie mógł cię zabrać - wyjaśniał Marek. - I przyszedł mi w końcu do głowy ten dom pod lasem. Wiedziałem, że buduje dwa domy. Do jednego zapraszał cię jako projektantkę. O drugim nie wiedziałaś.

- Ale Chojnicki musiał mnie znać dużo wcześniej, niż zadzwonił do mnie z prośbą o projekt. Przecież nie wybudował go w miesiąc.

- Najwidoczniej tak. Ale nie kontaktował się z tobą, dopóki nie zamknął pierwszego etapu swojego diabolicznego planu. Podjechaliśmy w pobliże tego domu. Chciałem się tylko zorientować, czy tam jesteś. Potem zawiadomić policję. Trochę błędziliśmy, zanim trafiliśmy pod właściwy adres. Dawno już tam nie byłem. Ale dojechaliśmy w końcu na miejsce i stanęliśmy na działce nieopodal. Duży płot zasłaniał nasz samochód. I akurat wyszliśmy z tego domu w dobrej komitywie. Chojnicki spytał cię jeszcze: „Kwiatowa 5?” i wsiedliśmy do auta. Odczekałem chwilę i ruszyłem pod ten adres. Chyba jechałem krótszą drogą, bo byliśmy pierwsi. Po kilku dzwonek Ailia wpuściła nas do środka. Nie znaleźmy

jej. Ona nie знаła nas. Ale знаła ciebie i bardzo szybko ustaliliśmy plan działania. Na szczęście wszystko się udało. Ona naprawdę jest jasnowidzem - ściszył głos, mimo że nie było jej w pokoju. - Wiedziała nawet, o co spyta Chojnicki.

Pod dom zajechał policyjny radiowóz, a za chwilę karetka. Wynieśli ciało Chojnickiego. Policjanci zaczęli nas przesłuchiwać. Potem zabrali Marka do radiowozu. Nam kazali zgłosić się na komisariat na drugi dzień. Ekipa dochodzeniowa zajęła granatowy pokój.

Ailia usiadła z nami na sofie. Jeszcze nie wierzyłam, że ten koszmar się skończył.

- Nawet nie wiem, jak pani dziękować - zwróciłam się do niej.

- Mów do mnie po imieniu - przygarnęła mnie do siebie.

- Będę ci wdzięczna do końca życia - uścisnęłam ją mocno. - Jak to się dzieje? Skąd wiesz, co się wydarzy? Dotąd nie wierzyłam w takie rzeczy.

- Ja sama nie wiem skąd. Kiedy kogoś widzę lub słyszę, powstają w mojej głowie obrazy i odczucia. Nie zawsze. Ale często. Niektórych sama nie rozumiem. Wtedy mówię wprost, co widzę i czuję. Nauczyłam się z tym żyć. Nie jest to łatwe. Przychodzą do mnie ludzie, którzy szukają zaginionych bliskich. Czasami widzę upiorne sceny.

Patrzyłam na nią zdumiona.

- Na podłodze w twoim mieszkaniu leżała komórka - powiedziała Ewa. - Proszę - podała mi mój telefon. - Pewnie będziesz chciała do kogoś zadzwonić.

Spojrzałam na komórkę. Było na niej mnóstwo nieodebranych połączeń od Wiktora.

- Na pewno się niepokoi. Zadzwoń.

- Nie śpi, czeka - powiedziała Ailia.

Zadzwoniłam. Odebrał i usłyszałam jego zmęczony, drżący głos.

- To ja, Lena. Wszystko w porządku? Co z synkiem?

- Lena - powiedział z ulgą. - Jesteś wolna. Markowi się jednak udało.

- Przyjedź do nas. Potrzebujemy cię - powiedział cicho. - Mam Krzysia u siebie w domu. Elen leży w szpitalu. Urowadzono go z placu zabaw. Kiedy zorientowała się, że zniknął, puściła się w szaleńczy bieg po ulicach i wpadła pod samochód. Straciła przytomność. Ale już jest lepiej. Jest poturbowana, ale cała - zamilkł na chwilę. - No chyba że rzeczywiście nie chcesz być już ze mną.

- Przyjadę - zapewniłam gorliwie. - Jutro będę - spojrzałam na zegarek. Dochodziła trzecia w nocy. - Dzisiaj - poprawiłam. - Muszę jeszcze jechać na komendę i złożyć zeznania... Kocham cię, Wiktor. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że mogę ci to powiedzieć.

- Ja też cię kocham. Daj znać, o której przylatujesz.

Ailia i Ewa popatrzyły na mnie z uśmiechem.

- Cieszę się, że twoje losy potoczą się zupełnie inaczej - powiedziała Ewa.

Zaprosiłam ją do siebie. Wezwałyśmy taksówkę. Jeszcze raz uściskałam Ailię. Gdy nasze głowy zbliżyły się do siebie, szepnęła mi do ucha:

- Lenka, teraz musisz szczególnie dbać o siebie.

- Pani Ewo - zaczęłam, gdy tylko weszłyśmy do mieszkania. - Ja nie zdążyłam jeszcze pani podziękować. Pani naprawdę poświęciła się dla mnie. Mogła pani zginąć - mówiłam płaczącym tonem. - Pani i Markowi zawdzięczam wolność.

- Lenka, ja zrobiłam to też dla siebie. Chciałam w końcu podnieść głowę, którą tyle lat trzymałam tak nisko, że aż ścierpł mi mój stary kark. I właśnie nadszedł ten moment, żeby go w końcu rozprostować. Nawet nie wiesz, jaka to ulga.

Nie chciałam jego śmierci. Ale jak widać, on cały czas pragnął mojej.

Spłynęło ze mnie całe napięcie. Zaczęłam trząść się i płakać. Ewa objęła mnie i przytuliła jak matka dziecko. Czułam, jak bardzo jesteśmy związane przez wspólną historię i dziwne fizyczne podobieństwo. Wypłakałam cały strach.

Kiedy się obudziłam, słońce było wysoko na niebie, Ewa siedziała przy stole i piła kawę. Uśmiechnęła się do mnie.

- Wyspałaś się? - spytała, przyglądając się uważnie mojej twarzy.

- To dziwne uczucie widzieć siebie o dwadzieścia lat młodszą? - uśmiechnęłam się.

- Pewnie podobne, jak widzieć siebie o dwadzieścia lat starszą - mrugnęła do mnie. - Marek dzwonił. Czeka na nas na komisariacie - dodała.

- Więc jedźmy.

Kiedy opowiadałam swoje dramatyczne przeżycia na policji, z oczu pociekły mi łzy. Funkcjonariusz podał mi chusteczkę i zaproponował przerwę. Wyszłam na dwór. Była piękna wiosenna pogoda. „Nikt mi już nie zagraża” - pomyślałam z ulgą. Za chwilę obok mnie pojawił się Marek.

- Jestem twoją dozgonną dłużniczką - powiedziałam, patrząc mu w oczy. - Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował pomocy... - zaczęłam.

- Nawet nie wiesz, ile ja zawdzięczam tobie - przerwał mi.

- Tak. W sumie wiem o tobie bardzo niewiele.

- Kiedyś umówimy się na koniak i wszystko ci wyśpiewam - odpowiedział uśmiechem.

Dołączyła do nas Ewa.

- Ale w jaki sposób uwolniłeś Krzysia, synka Wiktora? - nie dawało mi to spokoju.

- Nie ja go uwolniłem. To dzieło paryskiej policji. Pamiętasz nasz pobyt we francuskim komisariacie?

- O, bardzo dobrze. Gdybyś słyszał, jak Weronika nawciskała wtedy temu polskiemu policjantowi...

- Wyobrażam sobie. No więc, wtedy poinformowałem ich, że Chojnicki współpracuje z pewnym drobnym złodziejaskiem o pseudonimie Rudy. To on śledził was w Paryżu z polecenia Chojnickiego. I to on naprowadził Chojnickiego na przystań nad Sekwaną.

- Tam gdzie próbował mnie zaatakować - dodałam. - Tak myślałam, że nie mogli tego zrobić moi rodzice.

- Tak, sorry za drobne kłamstwo - Marek popatrzył na mnie przepraszająco. - Skoro ja wcieliłem się w szpiega Chojnickiego, nie mogłem ci opowiadać o Rudym.

- Rozumiem.

- Policja zainteresowała się tym typkiem.

- A jak wygląda ten Rudy? - zaciekałam się, tknięta pewną myślą.

Marek wyjął komórkę. Mam tu jego zdjęcie zrobione ukradkiem, gdy was szpiegował.

- Przecież to Konrad Walenrod - wypaliłam.

- No to chyba za dużo powiedziane - zauważył ze śmiechem Marek.

- To on nas zaprosił w Paryżu na kawę i opowiadał historię swojego nazwiska. Mówił, że nazywa się Konrad Walenrod przez jedno „l”.

- Tak - Marek uśmiechnął się. - Podobno słynie z gawędziarstwa. Ale nie wierz w ani jedno jego słowo. To on uprowadził małego. Ale kidnaping to na szczęście nie jest jego mocna strona. To raczej groteskowa postać. Robił wszystko ze strachu przed Chojnickim i dla jego pieniędzy, ale bez przekonania.

- Czyli Rudy zadzwonił do Wiktora, gdy ten był u mnie i poinformował o porwaniu?

- Pewnie tak. Tego nie wiem. Wiem, że Wiktor wrócił do Paryża i po zorientowaniu się w sytuacji postanowił pójść na policję. Ale zanim tam poszedł, jeszcze raz zadzwonił do mnie. Był cały roztrzęsiony. Chciał się dowiedzieć, czy mam z tobą kontakt, bo on nie może się do ciebie dodzwonić. Telefon od niego zastał mnie akurat, gdy weszliśmy do twojego mieszkania. Wyjaśniłem Wiktorowi całą sytuację. Był załamany. Opowiedział mi o porwaniu synka. Podałem mu trop. Rudy. I to właśnie przekazał policjantom z tamtego komisariatu. Policja wiedziała już, gdzie go szukać. Przeprowadziła błyskawiczną akcję. Podobno nawet nie próbował stawiać oporu. Po wszystkim Wiktor dał mi znać, że mały jest wolny.

Pokiwałam głową.

- To wszystko musiało dziać się bardzo szybko - powiedziałam.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę. Potem Marek z Ewą wsiedli do samochodu i odjechali. Dokończyłam składanie zeznań i pojechałam prosto do rodziców.

- Lenka, jak ty kiepsko wyglądasz - już od progu słodko witała mnie mama.

- Mamo, jaka ja jestem głodna! - wykrzyknęłam beztrąsko. - Daj mi coś, bo zaraz padnę.

Mama popatrzyła na mnie badawczo.

- A może masz ochotę na ogórki kiszzone? Albo lody?

- Mamusiu, najbardziej na lody ogórkowe - porwałam ją w ramiona.

- A co tu za ściskanie odchodzi? - na korytarz wparował tata i też przyłączył się do rytualnego tańca powitalnego.

- No, już starczy. Muszę nakarmić córkę - mama pomaszerowała do kuchni.

- Tato, jak ja się cieszę, że cię widzę - ostatnie przeżycia paradoksalnie uruchomiły we mnie całe pokłady prostego pierwotnego szczęścia.

„Szczęście jest dzisiaj towarem bardzo deficytowym - rozmyślałam, gdy ojciec przygarnął mnie do siebie. W dzisiejszych czasach trzeba mieć szczęście, żeby umieć je odczuwać. Straciliśmy tę piękną umiejętność wraz z rozwojem cywilizacji. Opętani, zaprogramowani na sukces, gonimy za ułudą, tracąc najważniejsze. A wystarczy przystanąć, cieszyć się z samego życia, z bliskich" - uśmiechnęłam się do ojca.

- Co ty dzisiaj taka szczęśliwa? - zagadnął.

- Po prostu. Cieszę się, że żyję - odpowiedziałam. - Dzisiaj lecę do Wiktora.

- Lecisz do Wiktora?!

„Mama ma wciąż rewelacyjny słuch" - pomyślałam.

- Przecież on dopiero co odleciał! - krzyczała z kuchni.

- Mam z nim kilka ważnych tematów do obgadania.

- Leć, dziecko, leć i uściskaj go od nas. Może w końcu doczekamy się zięcia z prawdziwego zdarzenia - mruzczała zadowolona.

Na samą myśl o ślubie i białej sukni zrobiło mi się niedobrze. Postanowiłam, że na razie nie będę częstować rodziców tą koszmarną historią. Nie umiałabym jej teraz przekazać w wersji możliwej do przełknięcia. Nie umiałabym, mówiąc o swoich traumatycznych przeżyciach, ukryć emocji. Nie chciałam przeżywać tego kolejny raz. Policjant, który mnie przesłuchiwał, zaproponował pomoc psychologa. Grzecznie odmówiłam. „Przecież lecę do Wiktora - pomyślałam. To będzie najlepsza terapia".

Rozdział 6

Stali przy bramce. Duży mężczyzna i mały chłopczyk trzymający go kurczowo za rękę. Te same oczy i usta. To samo spojrzenie. Na lotnisku jak zwykle kłębił się tłum ludzi. Ale ja widziałam tylko ich. Wiktor na krótko porwał mnie w ramiona i zaraz przedstawił:

- To jest Krzysiu, a to ciocia Lena.

Powiedział coś do małego po francusku. Krzysiu trochę nieufnie wyciągnął rączkę i powiedział „Dzień dobry” z pięknym francuskim akcentem. Ucałowałam go serdecznie.

- Jest trochę zagubiony i przestraszony - powiedział Wiktor. - Jutro idę z nim do psychologa. Szczęście w nieszczęściu, że ten porywacz go dobrze traktował i nie zrobił mu krzywdy.

Uśmiechnęłam się przepaszajaco.

- Wybacz, gdyby nie ja... - zaczęłam.

- Nawet nie chcę o tym słyszeć - ostro zareagował Wiktor. - To nie twoja wina. Też byłaś ofiarą tego zwyrodnialca.

Pojechaliśmy do apartamentu Wiktora. Zjedliśmy kolację i Wiktor utulił synka do snu.

- Jest taki słodki - powiedziałam z uśmiechem.

- Jeszcze poczekaj, aż się rozbryka. Nie nadążysz za nim. Usiedliśmy blisko obok siebie.

- Wiktor - zaczęłam. - Muszę ci coś wyjaśnić. Wtedy gdy mówiłam, że nie możemy być razem - na chwilę zamilkłam. - Pamiętasz, jak spytałeś mnie o marzenia? A ja powiedziałam, że jest już na nie za późno? Ja po prostu już nie mogę mieć dzieci - z oczu pociekły mi łzy. - A ty...

- Ciii - przygarnął mnie Wiktor. - Myślałaś, że z tego powodu przestanę cię kochać? Jak mogłaś w ogóle tak pomyśleć?

Siedzieliśmy tak przytulenie i poczułam nieodpartą chęć uwolnienia z siebie tych strasznych emocji, których doświadczyłam ostatniej nocy. Wiktor słuchał uważnie, a ja drżącym głosem wyrzuciłam z siebie tę niesamowitą, mroczną historię i poczułam ulgę.

- Kiedy odebrałem ten telefon - zaczął Wiktor - czułem, że mój świat rozpada się na tysiące drobnych kawałków. Ty dopiero co oznajmiłaś mi, że nie możesz być ze mną, a nieznany męski głos powiedział, że porwał mojego synka i nakazał natychmiast wracać do Paryża. Nie mogłem nawet powiedzieć ci o tym, bo zagroził, że jeśli puszcę parę z ust, nigdy więcej go nie zobaczę. Wpadłem w panikę i dopiero na lotnisku odważyłem się zadzwonić do ciebie, ale na wszelki wypadek nie ze swojego telefonu. Pamiętasz, jak mi zginął, a potem niespodziewanie się pojawił? Pokiwałam głową.

- Nie odbierałaś - kontynuował. - Zadzwoniłem do Marka.

- Tak, wiem, opowiadał mi. Nie odebrałam, bo... chyba zemdlałam. Gdy się ocknęłam... Już wiesz, co było dalej.

- Kocham cię, Lena - znowu przygarnął mnie do siebie.

- Ten telefon mnie uratował - powiedziałam cicho.

- A wskazówki Marka uratowały mojego synka - dodał Wiktor. - Będę musiał mu podziękować osobiście.

- Ja będę musiała podziękować osobiście tobie - powiedziałam i pocałowałam go prosto w usta.

Obudziłam się i ze zdziwieniem zobaczyłam, że nie leżę obok Wiktora. Tylko dużo mniejszego mężczyzny, który wgramolił się pomiędzy nas do łóżka.

- Krzysiu - uśmiechnęłam się do niego. - Jak spałeś?

Krzysiu zaczął coś opowiadać. Słuchałam jak zahipnotyzowana jego francuskiego, dziecięcego szczebiotu,

nie rozumiejąc ani słowa. „Nie będzie łatwo - pomyślałam. Zaczynam uczyć się francuskiego”.

- Opowiada o wypadku mamy - powiedział Wiktor. - Będę musiał zabrać go dziś do niej do szpitala.

- Oczywiście - pokiwałam głową.

- Masz faceta z dzieckiem - uśmiechnął się.

- Uwielbiam tego faceta. I uwielbiam dzieci.

Krzysiu przysłuchiwał się naszej rozmowie, zdziwiony, że nic z niej nie rozumie. Patrzył raz na mnie, raz na Wiktora, i jego duże niebieskie oczy robiły się coraz większe i większe.

- Czy on nigdy nie słyszał, jak mówisz po polsku? - spytałam. - A jak porozumiewa się z dziadkami? Twoimi rodzicami.

Wiktor przygryzł wargę.

- No nie. Chyba nie powiesz mi, że nie pokazałeś go nigdy rodzicom?

- Moi rodzice - zaczął Wiktor - rozwiedli się dawno temu, kiedy jeszcze byłem w szkole. Każde założyło swoją rodzinę. I jakoś przestałem być obiektem ich zainteresowania - powiedział smutno. - Nasze kontakty są bardzo sporadyczne... Tak właściwie to nie widziałem ich już dobrych parę lat.

Popatrzyłam na niego ze współczuciem. Po śniadaniu Wiktor z Krzysiem wyszli. Zostałam sama. Nie na długo, bo już po chwili dzwoniła mama.

- Mamusiu, nie pamiętam, co mi się śniło - uprzedziłam jej pytanie. - Ale spałam smacznie i w dobrym towarzystwie.

- Lenka, ale ja w ogóle nie dzwonię w tej sprawie. No, ale z tego towarzystwa to się cieszę. Słuchaj. Właśnie rozmawiałam z Pytlakową, wiesz, tą spod szóstki. I podobno jej syn widział cię wczoraj w południe na komisariacie. Powiedziałam jej, że chyba mu się przewidziało. Ale szła w zaparte. Co się dzieje, Lenka? Coś z tym Chojnickim? Boję się, że on nigdy nie da ci spokoju.

- Chojnicki nie żyje, mamusiu - powiedziałam cicho. - Tylko, proszę, nie zemdlej mi tam. Opowiem ci kiedyś o tym. Ale nie teraz. Jeszcze nie.

Zapadło milczenie.

- Mamo, halo. Jesteś tam?! Halo!! - krzyczałam zaniepokojona.

- Nie krzycz tak, dziecko, bo mi bębenki porozrywa - odezwała się w końcu. - Uważaj na siebie. Pa, kochanie!

- Pa, mamo!

Wzięłam laptopa i zerknęłam na maile. Jeden był od Leszka. Potrzebne były zmiany w projekcie. Ochocho wzięłam się do pracy, żeby zabić wlokący się bez Wiktora czas. Poprawki były niewielkie. Więc po jakimś czasie zaczęłam snuć się po mieszkaniu. Zajrzałam do kuchni. „Nie, nie będę gotować. Nie zrobię im tego. Dobrze im życzę”. Weszłam do sypialni Krzysia. Na łóżku leżał jego pluszowy miś i zdjęcie. Wzięłam je do ręki. Z fotografii uśmiechała się do mnie sympatyczna, czarnowłosa kobieta. „To pewnie jego mama - pomyślałam. To Elen”.

Weszłam do gabinetu Wiktora. Było tam mnóstwo książek. Zauważyłam też albumy ze zdjęciami. Zaczęłam przeglądać jeden z nich. Trafiłam akurat na dzieciństwo Wiktora. Chociaż w pierwszej chwili pomyślałam, że to zdjęcia Krzysia. Był tak podobny do swojego synka. „Mały Wiktorek z rodzicami - patrzyłam z rozczeniem. Trzeba doprowadzić do ich spotkania”. Nagle usłyszałam zgrzyt klucza w zamku. Przeszły mnie ciarki. Ten dźwięk tak bardzo przypominał mi moment, kiedy Chojnicki zamykał mnie w pokoju. Zamknęłam szybko album i odłożyłam na miejsce.

- Jesteśmy - powiedział Wiktor z ulgą, gdy weszli do mieszkania. - I mamy ze sobą obiadek - pokazał na papierowe torby. Usiedliśmy do stołu.

- Jutro Elen wychodzi ze szpitala. Prosiła, żeby jeszcze zaopiekować się Krzysiem. Jest słaba.

- A kto się nią opiekuje?

- Nie martw się. Ma opiekę - uśmiechnął się Wiktor. - Jej przyjaciel - dodał. - Chyba nabrała do mnie zaufania. Dzięki tobie.

- Dzięki mnie? - zdziwiłam się.

- Tak. Powiedziałem jej, że niedługo zamierzamy się pobrać. Uwierzyła, że w końcu się ustatkowałem.

- Powiem ci jedno - zaczęłam. - Na widok białej sukni robi mi się niedobrze, a słowo „ślub” przyprawia mnie o dreszcze.

- To klasyczne objawy gamofobii - stwierdził Wiktor tonem eksperta. - Klaudia nam pomoże.

- Czego? - popatrzyłam na niego ze zdziwieniem. - Gamy są OK. Nigdy nie miałam z nimi kłopotów. W szkole podstawowej uczyłam się nawet gry na pianinie.

- Lenka. Nie udawaj, że nie rozumiesz. Gamofobia to lęk przed małżeństwem.

- Ale ja zawsze chciałam wziąć ślub. To wszystko przez tego Chojnickiego. Tak bym chciała wymazać go z pamięci.

Krzysiu wyczuł niepokój. Patrzył trochę przestraszony na moje łzy w oczach. Wiktor tłumaczył mu coś spokojnie po francusku.

- Przepraszam. Nie powinnam przy dziecku.

- Nic się nie stało. To lepiej, że nas nie zrozumiał. Ale muszę zacząć uczyć go polskiego.

- A mnie ucz francuskiego - zażądałam. - Będę projektować wnętrza dla Francuzów.

Wieczorem zadzwoniłam do Julki.

- Lenka! Wróciłaś w końcu z tych wojaży - ucieszyła się.

- Nie, kochanie. Jestem w Paryżu z Wiktorem.

- Naprawdę? Czy mnie wkrećasz?

- Naprawdę. Byłabym głupia, gdybym odpuściła tę miłość.

- Co racja, to racja.

- Ale mów, co u was. Widziałaś już córeczkę Marty?

- Tak. Jest cudowna. Marta poza nią świata nie widzi. A ja walczę z całym światem o odrobinę czasu na pisanie, ale kiepsko mi to wychodzi.

- Dzwon do moich rodziców. Nalegam. Mama ciągle wspomina twoje dzieci. Tęskni chyba.

- Zadzwoń, obiecuję.

- Przy następnym spotkaniu opowiem wam taką historię, że pospadacie z krzesel - obiecałam. - To będzie niezły pisarski kąsek.

- Chętnie wykorzystam - ucieszyła się Julka.

- A co porabia Weronika?

- Zaczęła jeździć na castingi. Marzy jej się rola uwodzicielskiego wampa - śmiała się Julka.

- Tak, ta rola pasuje do niej jak ulał - też zaczęłam się śmiać. - Tęsknię za wami. Przekaż dziewczynom uściski.

Była piękna niedziela. Wracaliśmy właśnie z wystawy młodych talentów. Obrazy Jana wzbudzały duże zainteresowanie. Naprawdę robiły wrażenie. Weszliśmy do parku.

Siedzieliśmy we trójkę na ławeczce i wygrzewaliśmy się w czerwcowym słońcu. Patrzyłam zachwycona na morze kwitnących róż. Radosna i spokojna. Wiktor patrzył na nas i czule się uśmiechał. Za chwilę przygarnął mnie do siebie i delikatnie położył dłoń na moim, nieco już zaokrąglonym, brzuchu. Przymknął oczy i rozkoszował się ciepłem. Spojrzałam w niebo. Znowu było w kolorze błękitu paryskiego.

Wyjęłam z torby plik papierów. Na ostatniej tradycyjnej kolacyjce, która tym razem odbyła się w Paryżu, Julka wręczyła mi jednak pierwszy rozdział. Na szczęście tym razem gotował Wiktor. Uśmiechnęłam się na wspomnienie jej słów: „Twoje dziecko po prostu czekało na właściwego ojca”. Zaczęłam czytać:

„Nie cierpię gotować. Bo, bądźmy szczerzy, nie potrafię. Należę do mniejszości, do jakiegoś dziwnego podgatunku kobiet antykulinarnych. W kuchni jestem ostatnią łamagą. Zawsze coś przypalę lub przesolę. I tak jak nie ma dymu bez ognia, to u mnie nie ma sosu bez jakichś dziwnych podejrzanых grudek. Taka karma...”